

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/519 1990



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. KACZMAREK: **MIĘDZYNARODOWE
CZYNNIKI ROZWOJU GOSPODARCZEGO**

Cz. MIŁOSZ: **NOWE PRZEKŁADY**

K. WOLICKI: **DO PRZODU I POD GÓRĘ**

INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW

ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1990

SPIS RZECZY


Robert Kaczmarek:	<i>Międzynarodowe czynniki rozwoju gospodarczego</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	16
WIERSZE		
Czesław Miłosz:	<i>Nowe przekłady: Juda Al-Harizi: Błyszawica; Słońce; Lutnia; Dżelaluddin Rumi: (Powoli, powoli odłączaj się); Aloysius Bertrand: Murarz; Valery Larbaud: Obrazy; Kenneth Rexroth: Sygnatura wszystkich rzeczy; Serce Heraklesa</i>	30
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Marek Zieliński:	<i>Przewrót od góry (Rozmowa z redaktorem pisma „Głosność” Siergiejem Grigoriancem</i>	37
Janusz Mondry:	<i>Japońska wizja lat 90-tych</i>	43
Stanisław Bieniasz:	<i>Niebezpieczny zakręt w stosunkach polsko-niemieckich</i>	46
WYWIADY „KULTURY”		
Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Polska w UNESCO (Rozmowa z ministrem pełnomocnym R.P. przy UNESCO, Władysławem Nenemanem</i>	51
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Do przodu i pod górę</i>	57
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	64
Zofia Ziemięcka:	<i>Czytając prasę</i>	74
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Imprezy Klubu im. J. Mieroszewskiego</i>	79
—	<i>The German Marshall Fund</i>	82
Teresa Piekarska, Galina Subotowicz-Romanowa, Dymitrij Basow:	<i>Polski Dom</i>	84
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Jezuici</i>	86
Dominik Morawski:	<i>Biskupi ze Wschodniej Europy na Synodzie</i>	93
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	97
Józef Darski:	<i>Kronika litewska, białoruska i ukraińska</i>	102
KRONIKA KULTURALNA		
Wiesław Myśliwski (opr. Krystyna Prendowska):	<i>Tworzenie nie jest aktem stadnym</i> ...	107
—	<i>Dni literatury polskiej we Francji</i>	117
—	<i>Nagrody</i>	118

Ciąg dalszy na str. 176

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień – Décembre 1990

INSTYTUT  LITERACKI

KULTURA

REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornek, Toronto, ON (Kanada), po raz 23-i	F.	250,00
Wiesław K. Brodowski, Spartanburg, SC (USA) — pamięci brata, 15-letniego Grzegorza, zabitego w grudniu 1970 r. — Dol. US 50,00	F.	245,00
Ignacy Fonberg, Jonesborough, TN (USA), po raz 10-ty — Dol. US 22,00	F.	108,00
Karol Jabłoński, Miami, FL po raz 23-i — Dol. c. 70,00	F.	298,00
Józef K. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA), po raz 8-y — Dol. US 20,00	F.	98,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia), po raz 33-i	F.	200,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 14-ty	F.	500,00
Teresa Romer, St. Eustache, PQ (Kanada), po raz 17-ty — Dol. c. 27,00	F.	115,00
Paulina i Jarosław Semkow, Frankfurt (RFN) — w pierwszą rocznicę śmierci niezapomnianego przyjaciela, Fryderyka Topolskiego — DM 100,00	F.	335,00
S.P.K., Koło Nr 35, Newark, NJ (USA) — Dol. US. 100,00	F.	490,00
Lucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 26-ty — Dol. US 894,00	F.	4.380,00

DZIĘKUJEMY!

Międzynarodowe czynniki rozwoju gospodarczego

Początków cywilizacyjnego przewrotu należy szukać przed pierwszą wojną światową, kiedy Ford radykalnie obniżył cenę samochodu, narzucając jednocześnie własny standard konsumpcyjny. Kariere zrobiło motto założyciela firmy: „U mnie można nabyć auto w dowolnym kolorze, pod warunkiem, że będzie to kolor czarny”. Ujednolicenie produkcji wraz z wprowadzeniem w 1913 roku systemu taśmowego umożliwiło Fordowi obniżenie ceny modelu T blisko trzykrotnie: z 850\$ do 260. W roku następnym dopełnił swoją strategię, podważając z dnia na dzień podstawową pensję robotników: z dniówką 5\$ każdy jego pracownik stawał się potencjalnym nabywcą własnego wytworu. Ford mówił: „Każdy człowiek powinien zarabiać tyle, żeby go było stać na domek, pięćdziesiąt ziem i samochód”.

W efekcie sprzedaż modelu T przekroczyła 15 milionów egzemplarzy, co znamionowało początki nowych czasów w obyczajach produkcyjnych i, co za tym idzie, społecznych. Ale decydujący krok wykonał dopiero General Motors, który w latach dwudziestych przyciągnął konsumentów poprzez różnicowanie asortymentu i dzięki temu w ciągu pięciu lat wyprzedził Forda na rynku amerykańskim. Od tej pory rodzaj i kierunek dynamiki cywilizacyjnej został przesądzony. Jeszcze pojawili się szaleńcy czy szarlatani i wyrodziły się ideologie, za co świat zapłacił horrendalną cenę — ale nic nie powstrzymało frenetycznego rozwoju strategii gospodarczego rozwoju i rozpowszechniania dóbr. Dziś wchodzimy w okres porządkowania planety nie podług historycznych kryteriów wojennych czy ideowych, lecz zgodnie z możliwościami i potrzebami konsumpcyjnymi społeczeństwa.

Nie oznacza to bynajmniej że zanika znaczenie bezpieczeństwa narodowego czy równowagi społecznej — ich kamieniami

węgielnymi jednak nie są już ksenofobia i partykularne interesy uprzywilejowanych, lecz produkcja dóbr na wielką skalę, a najbardziej wymownym świadectwem nowego układu cywilizacyjnych sił jest upadek komunizmu.

Intensywny rozwój gospodarczy wymaga stałego przyspieszenia kadencji zmian w procesach wytwórczych, agresywnej postawy handlowej i transferu umiejętności technologicznych, co perspektywie gospodarczej nadaje charakter ponadnarodowy i prowadzi do najgłębszych powiązań na skalę globu.

Planetarny wymiar gospodarki przez lata był domeną Stanów Zjednoczonych. Po drugiej wojnie w uderzający sposób ujawniła się nowa logika cywilizacyjna w akcie odbudowy Europy, a także w pewnym stopniu Japonii: w obu obszarach Amerykanie zaangażowali wielkie kapitały, ponieważ leżało w ich interesie stworzenie pojemnych i prężnych rynków zagranicznych.

Warunkiem skutecznego wykorzystania kapitałów jest celowa i wytrwała praca. W największym stopniu zdobyli się na to Niemcy i Japończycy, stąd narody te wraz z Amerykanami tworzą dziś trzy bieguny planetarnego współzawodnictwa gospodarczego. Decentralizacja potęgi gospodarczej, skupionej przed laty na obszarze Ameryki północnej, jest skutecznym środkiem napędzającym trwałą koniunkturę na całym Zachodzie.

Stanowi to oznakę najgłębszego przewartościowania cywilizacyjnych trendów. Tradycyjne kryteria ekspansji na przykład uległy odwróceniu. Stany Zjednoczone zupełnie nieźle wychodzą na konkurencyjnej agresywności nowych wytwórców, którzy wprowadzają nową technologię, ale za to zapewniają eksplozję spożycia po bardzo niskich cenach oraz uruchamiają instynkt zaradności i przyspieszają mutacje gospodarcze. W gruncie rzeczy w powyższych przykładach mamy do czynienia z tym samym mechanizmem integracyjnym. Sprowadza się on do zaniku klasycznego modelu dominacji wojskowej, politycznej czy gospodarczej. Niemcy nie mogły zrobić nic lepszego, niż przegrać wojnę. Wymarzonym spełnieniem komunizmu jest jego bezwarunkowa kapitulacja. Jednym z bardziej korzystnych dla USA następstw ich dominującej w świecie roli jest utrata tej pozycji po rozpowszechnieniu własnych norm skuteczności gospodarczej.

OTWARTOŚĆ REGIONÓW WARUNKIEM ICH ROZWOJU

Powyższe paradoksy dobrze ilustrują nieprzystawalność historycznych kategorii do nowych czasów. Tendencje dominacyjne nadal są motorem politycznego działania, ponieważ człowiek

się nie zmienił, inne są jedynie formy i bezpośrednie cele ekspansji. Stany utraciły czelową rolę w wielu szczegółowych dziedzinach, lecz ich przebogate zasoby materialne i ludzkie zapewniają im decydujący wpływ na przekształcenia w skali globalnej. Atrakcyjność amerykańskiego centrum powoduje, że tamtejszy rynek zapełniony jest towarami pochodzącymi z innych terenów, głównie z Azji południowo-wschodniej. Ich promocja ułatwiona jest nie tylko poprzez niskie ceny, lecz także wskutek utrzymania w handlowej praktyce Stanów Zjednoczonych stale ujemnego bilansu handlowego. Taniemu importowi dóbr towarzyszy rosnący drenaż mózgow z całego świata. Lokata owoców wysiłku produkcyjnego krajów peryferyjnych w Stanach nie wynika z nacisku wojskowego, lecz jest następstwem międzynarodowego układu finansowego, który faworyzuje wprawdzie bogatych, lecz i stwarza ubogim możliwość wydobycia się z nędzy pod warunkiem nabycia przez nich obyczajów rygoru produkcyjnego. Przejęcie przez peryferie szeregu funkcji wytworzenia i dystrybucji podnosi je do rangi obszarów gospodarki intensywnej, a Amerykanów przygotowuje do wejścia w epokę post-industrialną, oznaczającą koncentrację na najbardziej lukratywnych zajęciach — takich jak czysta produkcja, innowacje technologiczne czy sterowanie informacją, a przede wszystkim zarządzanie i kontrola finansowa. Wymownym przykładem jest tu sprawa norm telewizji wysokiej gęstości obrazu, gdzie z technologicznego punktu widzenia Stany zostały całkowicie zdystansowane przez Japonię z jednej, a Europę z drugiej strony — tym niemniej to właśnie USA poprzez swój przyszły wybór jednej z norm narzuca własną kontrolę planetarnego rynku obliczanego na setki miliardów dolarów.

Dodajmy na marginesie, że możliwe jest narzucenie światu innego rodzaju hegemonii amerykańskiej w tej dziedzinie, w przypadku mianowicie, gdyby w drodze skoordynowanego wysiłku rozwinęli oni normę numeryczną. Prowadzi ona do lepszej jakości obrazu i jest bardziej dostosowana do aparatów będących w użyciu. Fakt bowiem, że Japończycy mają piętnaście lat przewagi nad Amerykanami oznacza jednocześnie, że ich norma już jest o te piętnaście lat przestarzała, co raz jeszcze uwypukla paradoksalność świata dzisiejszych technologii, gdy mierzyć go tradycyjnymi kategoriami.

Innymi słowy w rozszerzonym obszarze gospodarki rozwiniętej nadal utrzyma się podział na bardziej i mniej zaawansowanych, lecz napięcia stąd wynikające mają znikomą szansę zdegenerowania się do klasycznego konfliktu wojennego. Podlegają one bowiem modulującej roli lokalnych obyczajów konsumpcyjnych, poddanych nowej logice uniwersalizmu i chęci dorównania najlepszym. W przodujących regionach pierwszorzędnego zna-

czenia nabiera jakość oraz zindywidualizowanie przedmiotów spożycia, w rozwijających się zaś — nadal czynnikiem strategicznym będzie wzrost ilościowy. Narzuca to wymogi celowego i wydajnego gospodarowania na nieznaną dotąd skalę, określoną przez liczebność i polityczną siłę społeczeństw, które z rozwojem praktyk demokratycznych oraz doskonaleniem środków komunikacji znajdują skuteczne sposoby kontrolowania własnych rządów.

Spełnienie masowych potrzeb spożycia możliwe jest tylko w ramach strategii gospodarczych o zasięgu globalnym. Tym sposobem zapewnione jest sprzężenie gospodarki centrum i peryferii. Wprawdzie obie strony od czasu do czasu sięgają po psychologiczne i polityczne środki obrony, wysuwając wzajemne oskarżenia — jedni o imperializm Amerykanów czy Niemców, drudzy o zalew tanimi towarami azjatyckimi albo południowo-europejskimi — ale w gruncie rzeczy nikt nie jest przeciwny integracji gospodarczej, ponieważ w ogólnym rachunku przynosi ona korzyść wszystkim zaangażowanym stronom. Praktyczna ksenofobia pozostaje jak dotąd specjalnością regionów o rozwiniętym integralnym religijnym oraz władz niektórych krajów ekskomunistycznych, głównie Polski.

Globalne współzawodnictwo i rozwijająca się współzależność nie usuwają polityki na dalszy plan, przeciwnie — koordynatorem rozwoju gospodarczego wszystkich terenów gospodarki intensywnej jest i pozostanie wola polityczna, zrywająca z historycznymi kompleksami, za to umiejąca dostrzec nowe kryteria i poszukiwać praktycznych rozwiązań. Tym sposobem obawa przed dominacją japońską jest jednym z głównych motorów jednoczenia się Europy zachodniej. W Stanach zagrożenie japońskie skłania administrację waszyngtońską do szeroko zakrojonych programów wewnętrznych dla popierania *competitiveness*, czyli amerykańskiej konkurencyjności, co zapewnia rozwój jedynej skutecznej formy obrony — mianowicie przez atak. Programy te nabierają charakteru misji narodowej, tak jak w swoim czasie były nimi obrona, przestrzeń kosmiczna, rolnictwo czy ubezpieczenia socjalne.

Istotą polityki jest dziś przekształcenie zagrożenia w bodziec uruchamiający własną zaradność gospodarczą. To cecha nowego typu władzy, wykreowanego przez epokę konsumeryzmu i praktykę intensywnej gospodarki. Stare, zużyte struktury władzy, jak ta która na ruinach komunizmu osiedliła się w Polsce, zdominowane są przez instynkt biernej obrony, pielęgnujący znane sobie rozwiązania bez względu na realne koszty. Jednego z licznych przykładów dostarcza tu wschodnia polityka gospodarcza rządu RP. Stosunków gospodarczych z ZSSR nie możemy narazić na destabilizację poprzez otwarcie się na Zachód,

ponieważ powiązania z imperium są tak głębokie, że zmuszeni jesteśmy do utrzymania wymiany naszych bublek za kiepskie surowce. Wszak nie sprostamy zachodnim normom — stanowią one ZAGROŻENIE dla polskiego przemysłu... Uważanie że bodziec jest zagrożeniem logicznie prowadzi do postawy zachowawczej, w przekonaniu, że skoro jest źle, to lepiej nic nie zmieniać, bo będzie gorzej. Z takim rozumieniem spraw trudno dziś liczyć na sukcesy nawet w zarządzaniu straganem warzywnym, znacznie przecież mniej wymagającym niż gospodarka narodowa.

Dodajmy, że w szczególnym przypadku bieżącej polityki surowcowej kurczowe trzymanie się opcji rosyjskiej nie na wiele się zda, bo polityczny rozkład imperium, a konkretnie strajki górnicze wraz z technologiczną katastrofą sowieckiego przemysłu wydobywczego już w roku '91 mogą bardzo ograniczyć tamtejsze dostawy ropy i gazu tak, że przyszły rząd RP *nolens volens* zmuszony będzie do szukania innych źródeł. Tyle, że z nożem na gardle negocjuje się znacznie trudniej i za wyższą cenę. Dotyczy to także innych obszarów wymiany towarowej: Związek Sowiecki zbliża się do katastrofy, która jak wszystko w historii tego kraju będzie totalna i pociągnie w głąb tych, co w porę nie ograniczą swego sowieckiego zaangażowania.

Tymczasem gdzie indziej w świecie górę nad nostalgicznym gdybaniem biorą kategorie wymierne i logika rozwoju bez względu na historyczne kompleksy. Ogólnie można stwierdzić, że nadrzędnym celem zawodowej ruchliwości społeczeństw jest tworzenie miejsc pracy, zwłaszcza wysoko wyspecjalizowanych, oraz priorytet dla technologii o dużej wartości dodanej. Zwiększają one obrót nowych towarów i stwarzają nowe zawody, powiększając tym sposobem wartość produktu narodowego i podnosząc poziom zawodowych umiejętności pracowników.

Chodzi przy tym, powtórzmy, o konwersję na wielką skalę. Kapitał, środki surowcowe i możliwości zbytu w obrębie jednego kraju byłyby do takich celów niewystarczające, stąd rozwój międzynarodowych grup i globalnego handlu. Prowadzi to do nowych sytuacji w rozkładzie światowych mocy produkcyjnych. Na przykład Honda sprzedaje w USA więcej samochodów, niż w Japonii. IBM posiada 45% swojej siły roboczej poza Stanami i sprzedaje za granicą 60% wyrobów. Hewlett Packard, modelowe przedsiębiorstwo amerykańskie, połowę mocy produkcyjnych ma w Europie i w Azji. Jedną z największych fabryk Toyoty znajduje się w Georgetown, Kentucky, większość jej pracowników to Amerykanie i produkcja fabryki liczy się do dochodu narodowego USA. Adidas zakupiony został ostatnio przez Franca Tapie. Dodajmy przy tym, że siłę nabywczą tego ostatniego oceniano na jedną piętnastą wartości niemieckiego giganta, co dowodzi priorytetu przedsiębiorczości i odwagi nad zawartość-

cią sakiewki. Inny symbol niemiecki, Singer, w drodze ryzykownej spekulacji wchłonięty został przez amerykańskiego konkurenta. We Francji 20% pracowników przemysłu zatrudnionych jest w przedsiębiorstwach o przewadze kapitału zagranicznego. We francuskich dziś regionach przygranicznych, systematycznie w historii anektowanych to przez Niemców to Francuzów, udział kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego, sięga 30% — w Lotaryngii i 40% — w Alzacji. To tak, jak gdyby na Śląsku co trzecie przedsiębiorstwo znajdowało się w rękach niemieckich. Przypuszczam zresztą, że to wizja nie do uniknięcia, natomiast można jej nadejście opóźnić, utrzymując izolację i konanie Śląska. Z pewnością ceny za to nie będą płacić ci, co podkręcają dziś bębenka krajowej hysterii antyniemieckiej.

W tym bowiem czasie w Polsce, w atmosferze zgodnego chóru władz i środków przekazu, przestrzegających przed niebezpieczeństwem niemieckim, ponad 60% ludzi deklaruje obawę przed bardzo hipotetyczną krucjatą kapitału niemieckiego na byłe ziemie Reichu. Niedawno wysoki urzędnik krajowy przekonywał mnie, że trzeba się zabezpieczyć, bo Niemcy po zjednoczeniu wystąpią z żądaniem korytarza do Królewca. Rząd premiera Mazowieckiego albo bagatelizuje kartę niemiecką w swojej polityce międzynarodowej, albo daje wyraz obsesjom, na przykład w okresie zabiegów traktatowych. Kiedy wreszcie kandydat Wałęsa w swym programie wyborczym umieszcza postulat mocnej armii, koniecznej jego zdaniem wobec wzrostu potęgi zjednoczonych Niemiec, wówczas zaczyna to wyglądać na zły sen.

Resentymenty historyczne na Wschodzie i żalosa w swojej nieskuteczności polityka zagraniczna Polski, zmierzająca chyba do okrążenia Niemiec, nie będą miały żadnego wpływu na rozwój wspólnoty europejskiej XXI wieku, gdzie dynamizm i rygor gospodarczy Niemców podporządkują im rozległe obszary życia gospodarczego kontynentu. Ich rola cywilizacyjna w nadchodzących dekadach może być porównywalna z germańską ekspansją wczesnego średniowiecza. Niektórzy sądzą, że wystarczy pięć lat, by Europa, politycznie zjednoczona i napędzana gospodarczą lokomotywą niemiecką, przejęła od Stanów główną rolę na świecie.

Gigantyczna machina amerykańska zaczyna bowiem wykazywać przejawy ostrego przegrzania, które prawdopodobnie nie ma charakteru przejściowego, lecz wynika z głębokich przyczyn strukturalnych.

KRYZYS IMPERIALNEJ ROLI USA

Trwałą dolegliwością Stanów jest brak umiaru w spożyciu wewnętrznym i w utrzymywanym zakresie wpływów międzynaro-

dowych. Obie te dziedziny tworzą ściśle ze sobą powiązany układ czynników stymulujących rozrzućność i na dłuższą metę destabilizujących gospodarkę amerykańską.

Nikt nie zaprzeczy wysokiej wartości pracy amerykańskiej, która tworzy obfite dobra; jednak tendencje wzrostu ponad wszelką miarę wytworzyły u nich obyczaj życia na kredyt, dzięki czemu wewnętrzne zadłużenie przekroczyło trzy tysiące miliardów dolarów. Niczego nie zmienia tu fakt, że część tego zadłużenia ma charakter inwestycyjny. Z drugiej strony masowe zadłużenie USA w obronę czy kontrolę Zachodu nie tylko obciąża budżet federalny, ale i stwarza psychologiczną rację kredytowania części spożycia poprzez stały deficyt handlu zagranicznego. Deficyt ten, zdaniem niektórych Amerykanów, równoważy także ich nadzwyczajny wkład w rozwój cywilizacji technicznej, z czego korzysta cały świat. Bronimy was własnym kosztem, finansujemy odkrycia technologiczne, więc trudno nam zrównoważyć bilans handlowy — mogą powiedzieć Amerykanie rozważając swój sześćsetmiliardowy dług zagraniczny.

Masowe bankructwo setek kas oszczędnościowych, obciążające finanse państwa rachunkiem sięgającym pięciuset miliardów dolarów, to kolejna katastrofa o głębokich przyczynach strukturalnych. Zdaniem rządowej komisji badającej falę bankructw, co drugi upadek kasy i co trzeci upadek banku spowodowany był kryminalnymi operacjami finansowymi. Jednak systematyczność tego zjawiska dowodzi, że, podobnie jak w sprawie zadłużenia, nie sposób tu mówić o przypadku. Przyczyną ogólną jest chyba fakt, że system finansowy Stanów, od dziesięcioleci dobrze okopany za światową funkcją dolara i korzystający z ogólnego układu finansowego, który jeszcze do niedawna faworyzował amerykański handel, niezbyt dobrze radzi sobie z nową sytuacją w świecie, wyznaczoną przez agresywną konkurencję innych ośrodków — azjatyckiego czy europejskiego. W tych warunkach skuteczność inwestycji amerykańskiego kapitału nie jest już rzeczą tak pewną, jak dawniej i coraz częściej operacje mają charakter spekulacyjny. W pogoni za gigantyzmem rynek finansowy oderwał się od swej tradycyjnej funkcji — a mianowicie realnej miary produkcji i obrotu towarowego. Przyspieszając w ostatnim dziesięcioleciu ruch kapitałów na rynku znacznie mniej stabilnym, niż przed laty, inwestorzy kas pożyczkowych zaczęli popełniać błędy, jak każdy finansista, który ignoruje objawy nowych czasów.

Przyczyny narastającej horrendalnej nierównowagi gospodarki amerykańskiej wynikają, jak sądzę, z przeżycia się cywilizacyjnej roli Stanów, których gospodarka siłą bezwładności nadal kręci się na obrotach wyznaczonych przez ich bezdyskusyjnie wiodącą niegdyś rolę. Kolosalne zadłużenie na wszystkich fron-

tach spowodowane jest przez nieopanowaną gorączkę konsumpcji, która w USA ma jawny charakter rozrzutności na skalę całego globu. Wystarczy powiedzieć, że przy porównywalnym dochodzie, spożycie energii na głowę mieszkańca jest tam dwukrotnie większe, niż w Europie zachodniej. Dzieje się to w czasie, gdy odpowiedzialność za zasoby planety nabiera charakteru ważnej motywacji politycznej i społecznej, a często bywa wręcz przejawem instynktu samozachowawczego. Wprawdzie niektórzy sądzą, że rozrzutność Amerykanów jest czynnikiem równowagi w świecie w tym sensie, że poprzez nadmierny import sprzyjają oni rozwojowi produkcji gdzie indziej, ale to równowaga niestała i niebezpieczna dla gospodarki całego świata.

NOWY UKŁAD ŚWIATOWYCH POTĘG

Dla przeciwdziałania kryzysowi konieczne jest, by z jednej strony Amerykanie nałożyli sobie skuteczne cugły w marnotrawieniu dóbr, a z drugiej by nowe regiony gospodarki rozwiniętej w świecie drogą skoordynowanych działań politycznych przejęły przypadającą na nie odpowiedzialność za dalszy rozwój cywilizacji. Prowadzić to musi w szczególności do nowego układu finansowego, który zastąpiłby historyczny układ z Bretton Woods, nowego systemu obronnego, zwalniającego Stany z roli żandarma świata oraz nowej pragmatyki gospodarczej, zwartej regionalnie i opartej o wspólną odpowiedzialność za planetę. Pragmatyka ta wypełniłaby dziurę po koniecznym zaniku ideologii „wzrostu za wszelką cenę”.

Na razie jesteśmy świadkami procesów przygotowujących nowe rozdanie kart na światowej scenie. Dwa z trzech światowych biegunów gospodarczych stoją w obliczu ograniczeń o długotrwałym charakterze. Dla USA konieczne okaże się stopniowe zmniejszenie zaangażowania w świecie i ograniczenie wewnętrznego spożycia. Japonia z kolei, jeśli przyjdzie jej borykać się ze wzrostem tendencji ochronnych w Stanach i w zjednoczonej Europie, może się szerzej otworzyć na region Pacyfiku, innymi słowy zmuszona wówczas będzie — podobnie jak Stany — do działań w zasadzie redukcyjnych na swych największych rynkach. Ważnym czynnikiem ograniczającym zdumiewającą dynamikę Japończyków może być społeczna niepewność dalszych motywacji gospodarczego wzrostu w narodzie, który w swoim czasie bił się z bezwarunkowym fanatyzmem, później pracował z bezprzykładnym samozaparciem, a dziś zadaje sobie pytanie, na co to wszystko.

Tylko trzeci biegun, a mianowicie europejski, dysponuje pełnią warunków rozwojowych. Przewaga liczebna, zwartość tery-

torialna i wreszcie nadzwyczajna koniunktura polityczna dają Europie możliwości integracyjne i produkcyjne nieznanne w historii. W regionie tym wiodąca rola Niemiec jest bezdyskusyjna, gdy zważyć ich potencjał po zjednoczeniu RFN i NRD. A przecież liczyć jeszcze trzeba Austrię, która rychło dołączy do EWG, zamykając potężny region germańskiej kultury i produktywności. W rzeczywistości region ten będzie jeszcze większy, rychło bowiem może nastąpić integracja Węgier, co nie pozostanie bez wpływu i na Czechy. Żaden wysiłek, zmierzający do zespolenia Polski z tym terenem nie może być przeceniony, pod sankcją marginalizacji kraju i uwiecznienia podziału Europy na ubogich i zamożnych.

Zauważmy przy tym, że ściślejsze zjednoczenie Europy, także poprzez dołączenie wschodnich jej terenów, może być czynnikiem zapobiegającym zasadniczemu zbliżeniu Niemiec z Japonią, czego ślad zarysowuje się już w postaci unii przemysłowej Daimlera z Mitsubishi, dwóch gigantów, których imperium obejmuje blisko milion pracowników. Jeśli z braku rozwojowych interesów w pobliżu, zachodniemieckie grupy zwrócą się w większym niż dotąd stopniu w region Pacyfiku, gospodarka europejska znaleźć się może w kleszczach osi Stany-Niemcy-Japonia, co dla Europy oznaczałoby podzwonne na długie dziesięciolecia.

Rola ubogich terenów w bilansie europejskim polegać będzie w pierwszym etapie na nakręcaniu koniunktury przez zwiększanie ogólnego spożycia. Ten proces daje się już odczuć w Niemczech, gdzie wielkie nadwyżki budżetowe RFN po raz pierwszy od lat uległy zmniejszeniu w następstwie wschodniemieckiej fali zakupów oraz inwestycji. Zjednoczenie Niemiec nie może służyć za model integracyjny *in extenso*, ale płyną zń praktyczne wskazówki dla innych. W szczególności uwidacznia się sterylność recesyjnego programu gospodarczego, takiego jak ten, który dewastuje Polskę. Jego następstwem jest ubożenie ludności, całkowity upadek etosu pracy i pogłębiające się odosobnienie kraju. Dla zagranicznych inwestorów interesujący jest tylko taki kraj, gdzie ludzie zarabiają dużo i mogą kupować coraz więcej produktów. Problem polega więc na tym, jakim sposobem ruszyć z martwego punktu.

W POSTAWIE OBRONNEJ NIE MOŻNA WYGRAĆ

Postawa obronna jest psychologicznym obciążeniem neofitów. Wyraża się ona przede wszystkim potrzebą wyjaśnienia własnej identyczności poprzez *a priori* korzystne porównania. Ponieważ nie jesteśmy w stanie sprostać pewnym wartościom,

więc je odwrócimy. Chaos w sejmie zatem to znak wybicia się na demokrację, niedołęstwo rządu oznacza odwrót od twardej ręki totalizmu, ksenofobia — przejaw własnej odrębności, a brak odwagi to przeczność. Przy takim pojmowaniu spraw każdy z istotnych problemów rozważany jest w niedorzecznych kategoriach egocentryzmu, dzięki czemu niczego nie można rozwiązać, ponieważ na wszystko odpowiedź znana jest z góry. Obrona własnych wizji jako treść procesu poznawczego, to przyczyna pomieszania pojęć, fatum nieskuteczności i upadku.

W dziedzinie gospodarczej postawa obronna przejawia się minimalizmem celów, wynikającym z przekonania o braku środków na rozległe projekty. Stąd w planie międzynarodowym polskiej polityki gospodarczej dominują umowy licencyjne i układy typu *joint-ventures*, pojmowane przez władze raczej jako umowa kapitałowa, niż porozumienie dla promocji przedsiębiorczości. Natomiast do sprzedaży przedsiębiorstw praktycznie nie dochodzi, ponieważ, jak wyjaśnił w lecie min. Syryjczyk, proponowane przez zagranicznych kontrahentów ceny znacznie odbiegają od tego, czego oczekuje resort.

Błąd popełniany przez ministra przemysłu ma to samo podłoże, co cała strategia gospodarcza rządu, która oparta jest na aksjomacie centralizmu finansowego. Celem takiej polityki jest przede wszystkim ochrona centralnej sfery budżetowej, innymi słowy rozwój gospodarczy kraju identyfikowany jest ze wzrostem obrotów finansowych władzy centralnej. Żeby było dobrze, rząd musi mieć dużo gotówki. Potem rząd zarządzi, co trzeba. Ta polityka przelewania z pustego w próżne znajduje swoje integralne odbicie w poczynaniach wewnętrznych, gdzie pełnia finansowych środków min. Balcerowicza skierowana jest na utrzymanie dodatniego bilansu centralnego za cenę zduszenia spożycia i produkcji. Pozbawione motywacji finansowych, nie znajdujące politycznego oparcia w resorcie przemysłu przedsiębiorstwa wyhamowują produkcję, a w sferze strukturalnej ulegają rozproszeniu na cząstkowe spółki, których celem jest szybki i mały zysk konsumpcyjny. Symbolicznym przykładem jest tu Stocznia Gdańska. Jej sprzedaż nie mogła się powieść wobec trudności wyceny, odzwierciedlających wysokie apetyty strony polskiej, a dziś znaczna jej część rozdrapana została pomiędzy liczne spółki. Otóż, trzeba było ją w całości sprzedać za jednego dolara oraz ustawowo zagwarantować liberalne stosunki pracy i wysokości zarobków. W zamian należało żądać zagwarantowania tysięcy miejsc pracy w środowisku nowoczesnych technologii. Rzeczą pani Johnson byłoby stworzenie nowoczesnej firmy, to znaczy określenie jej profilu i strategii, demontaż przestarzałych urządzeń, instalacja nowych maszyn, znalezienie i wyszkolenie kadr do skutecznej produkcji i zarządzania oraz zapewnienie dys-

trybucji wyrobów. Warunki umowy winny przewidywać finansowanie przez nową firmę części wydatków związanych z przeszkoleniem zwalnianych pracowników. Budżet centralny i gdańskie kasy związkowe zarobiłyby niewiele, za to na skrawku Polski powstałby nowoczesny zakład, dający zatrudnienie, wykształcenie i godziwy zarobek wielu ludziom.

To oczywiście obraz idealny, który w rzeczywistości uzupełniony byłby przez mnóstwo problemów, sytuacji konfliktowych i niepowodzeń. Wystarczy wspomnieć o tysiącach pracowników wyrzuconych na bruk, tysiącach innych poddanych nieznanemu w Polsce rygorowi pracy za znikomą przez pewien okres zapłatę. W ogóle przy tym nie jest pewne, czy dyrektorzy firmy Johnson podjęliby ryzyko. Z całą natomiast pewnością wiadomo, że brak wyobraźni, dynamiki ustawodawczej i umiaru w roszczeniach finansowych Polaków ujawnił handlową nierzetelność polskiej propozycji i przedłużył okres gospodarczego upadku regionu gdańskiego.

RZĄD BOGATY CZY RZĄD SPRAWNY

Chodzi tu w gruncie rzeczy o spór o zasady, o kierunek strategii gospodarczej. Warszawa, podobnie zresztą jak i Moskwa, zabiegają przede wszystkim o pieniądze, co wynika z nieświadomości trendów rozwojowych w świecie, braku umiejętności gospodarowania i niedostatku politycznej odwagi. W zrujnowanym kraju nie o to bowiem chodzi, by polityka rządu wydzielala nadwyżki budżetowe za wszelką cenę, lecz by stworzyła podstawy systemu wytwarzającego dobra. Rząd nie ma i nie będzie miał pieniędzy, udając zaś że jest inaczej, prowadzi kraj do upadku. Przy tym nie zasobność rządowej kiesy, ani triumfy polityków na zagranicznych występach wyprowadzą gospodarkę kraju z zaułka, lecz masowa wymiana potencjału przemysłowego i wprowadzenie powszechnych mechanizmów motywacji do pracy w Polsce. Sądzę zatem, że wobec braku własnej gotówki warunkiem rozwoju jest sprzężenie dwóch czynników: kapitału zagranicznego i krajowej pracy.

Taki mechanizm dostrzec można już we wspomnianym przypadku konwersji NRD. Mamy tam do czynienia z sytuacją wyjątkowo korzystną, ponieważ z różnych powodów zachodni inwestorzy mogą tam liczyć na szybki zwrot kosztów. W odniesieniu do pozostałych krajów wschodnioeuropejskich, może z wyjątkiem Węgier, w grę wchodzi zyski dopiero na dłuższą metę. Z drugiej strony kraj przeznaczenia nie może liczyć na szybką gotówkę za wyprzedz przestarzałego przemysłu. Obaj partnerzy mają interes odgrywania czynnej roli w gospodarczych

procesach na skalę regionu i świata oraz w perspektywie dziesięcioleci. Koniecznością bowiem wszystkich firm, a zwłaszcza wielkich grup jest stały rozwój, także poprzez prześcignięcie konkurencji w dostępie do przyszłych rynków. Koniecznością zaś ubogich regionów jest szybkie wydobywanie się z nędzy, możliwe dziś tylko przez integrację z regionami zamożnymi, czego warunkiem jest rezygnacja z przywiązania do historycznych kategorii lokalnej suwerenności.

Wyprowadzanie zakładów kapitałowi zagranicznemu, który zainteresowany będzie raczej instalowaniem montowni, niż samodzielnych technologicznie jednostek, stanowić może jedynie część strategii rozwoju kraju. Ostatecznym celem tej strategii musi być zbudowanie własnego potencjału gospodarczego. Składać się nań będą wielkie grupy o lokalnym kapitale, zdolne do konkurencji na rynku międzynarodowym, oraz gęsta tkanka średnich i małych przedsiębiorstw, z natury swej funkcjonujących blisko konsumenta krajowego. Powstanie sprawnych firm krajowych nie jest jednak możliwe bez dwojakiego impulsu: masowego pojawienia się dynamicznych jednostek gospodarczych zagranicznych, które stanowić będą technologiczny i finansowy bodziec tworzącego się rynku, oraz zasadniczego wzrostu siły nabywczej ludności. Narzuca to konieczność pełnego zwrotu w polityce finansowej i gospodarczej władz RP, o czym pisaliśmy niejednokrotnie. Innym warunkiem niezbędnym jest liberalizacja prawa pracy, tak by w sposób naturalny doszło do wytworzenia nowej obyczajowości w tej sferze.

SAMOTNOŚĆ CZY INTEGRACJA — DYLEMAT KULTUROWY

W ostatecznym rachunku warunki zaradności gospodarczej mają charakter kulturowy. Oznacza to nie tylko konieczność zmiany obyczajów zawodowych, lecz odrzucenie wszystkich przyzwyczajęń pogłębiających izolację społeczeństwa w świecie. Samotność w epoce integracji nie jest kategorią neutralną, lecz oznacza wybór opcji cywilizacyjnej o powszechnych następstwach. Odwrotną bowiem stroną procesów zjednoczeniowych jest zaostrzająca się izolacja tych, których nie stać na dotrzymanie kroku, albo którzy nie mają na to ochoty. Natomiast w obrębie społeczeństw zamożnych dynamicznemu rozwojowi klas średnich towarzyszy względna pauperyzacja mniejszości, czego następstwem są getta miejskie, lokalny wzrost zagrożeń, przestępczości, narkomanii i wreszcie otwartych zaburzeń, jakich widownią bywały miasta amerykańskie, a obecnie coraz częściej zachodnioeuropejskie i wschodnioazjatyckie. W skali świata zaś

szybkim rozwojowi stref uprzemysłowionych towarzyszy wzrost tendencji odosobnienia obszarów podatnych na integrację religijną czy narodową oraz ubożenie i gospodarcza dezintegracja trzeciego świata. Wobec wyraźnie zróżnicowanych regionalnie wektorów rozwoju, mechanizmów solidarności ze strony zamożnych oraz ich woli zaangażowania się oczekiwać można tylko w stosunku do tych, co wybiorą tendencje cywilizacyjne właściwe dla krajów rozwiniętych. Nie mogą na to liczyć kraje będące siedliskiem konfliktów narodowościowych, źródłem integrizmu religijnego czy kulturowej arogancji. Antysemityzm, historyczna resentymenty, czcze moralizowanie, nadmierna rola polityczna Kościoła, polonocentryzm, stałe pretensje, wreszcie systematyczny brak odpowiedzialności za własne zobowiązania, afiszowany zarówno w postawach społecznych jak i przede wszystkim w poczynaniach polityków polskich, już zaszkodziły interesom gospodarczym kraju, a na dłuższą metę stanowić mogą czynniki trwałej izolacji cywilizacyjnej.

Zmiana obyczajów władzy i rozwój etyki zawodowej społeczeństwa to warunki konieczne, lecz niewystarczające dla nadania gospodarce kraju życiowego impulsu. Kluczowe bowiem znaczenie będzie miała rzeczowa strategia rozwoju ekonomicznego, innymi słowy technologiczny model gospodarczy, jaki poprzez nadanie priorytetów najbardziej obiecującym dziedzinom produkcji, handlu i usług wykorzysta światową i regionalną koniunkturę nadchodzących lat. To jednak temat na odrębne opracowanie.

Paryż, 3.11.90

Robert KACZMAREK

Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 lutego 1989

Antoni Dudek i Grzegorz Pytel napisali dobrą książkę o Bolesławie Piaseckim. Ich „próba biografii politycznej” jest sumienna, obiektywna, oparta na bogatym materiale, może chwilkami zanadto drobiazgową, chociaż ta pedantyczność ma sens o tyle, że pozwala mit sprowadzić na ziemię, ukazać pustkę i nędzę jednej z głośniejszych polskich legend politycznych. Bo jakąż konkluzją przeszło trzystustronicowej biografii politycznej Piaseckiego? Że „wielki talent polityczny” (zdaniem Kisielewskiego), człowiek urodzony „z genami przywódcy Narodu” (zdaniem J.J. Lipskiego) przegrał po kolei wszystkie swoje gry polityczne: przed wojną z sanacją, potem z Niemcami, z Rosjanami, z komunistami, z Kościołem. Włodzimierz Szarnbachowski, jeden z głównych w książce „świadców historii”, w epoce oenerowskiej bliski współpracownik Piaseckiego, dziś pepeesowiec i serdeczny mój przyjaciel, dokładnie to samo mi powiedział w rozmowie o biografii politycznej swego dawnego Wodza: *politycznie* nic mu się nie udało, porażka za porażką, zdarzało mu się to i owo zreszcie załatwić czy wyrwać, ale jego „plany”, jego słynne „dalekosiężne plany”, rozszypywały się jeden po drugim jak domki z kart. Dlaczego? Kisiel twierdzi w swoim *Abecadle*, że „wielki talent polityczny trafił na złe rozdanie kart”. Innymi słowy, nałogowy gracz nieustannie pcha się do *każdej* gry politycznej, a przekorny Los wciąż źle rozdaje karty polityczne. Na czym więc polegał „wielki talent polityczny” Piaseckiego? Kisiel wielokrotnie opowiadał mi z zachwytem historyjkę, którą teraz powtarza w *Abecadle*: wypił mianowicie bruderszaft z Piaseckim i „Bolcio” dla przypiecztowania uroczystego aktu szepnął mu na ucho złotą i ściśle tajną myśl: „Słuchaj, bolszewicy stąd nigdy nie wyjdą, więc wiesz... resztę sobie dośpiewaj”. Nasz czołowy

geopolityk dośpiewywał sobie latami ową resztę, a dziś pewnie ochrypl i nie jest już może tak święcie przekonany o „wielkim talencie politycznym” Piaseckiego. Autorzy biografii politycznej Piaseckiego piszą: „Nie wiemy, jak udało mu się przekonać generała Sierowa, ale określenie tego ostatniego *genialny malczuk* w odniesieniu do osoby przedwojennego kierownika ONR mówi właściwie wszystko. Nie na darmo jeden z ludzi oczarowanych osobą Piaseckiego napisał o nim, że jego wielkość polegała na umiejętności wydobywania z siebie największych sił w chwili, która wydaje się kłęską”. Tym „człowiekiem oczarowanym osobą Piaseckiego” był Dobraczyński. Od niego słyszałem tuż po wojnie w Rzymie trochę inną wersję rozmowy Sierow-Piasecki. Wysłuchawszy cierpliwie Piaseckiego, Sierow zanotował na aktach jego sprawy: „Błądzi, ale można wykorzystać”. Wydaje się to bliższe i prawdy i zawodowej deformacji rozmówcy sowieckiego, niż *genialny malczuk*.

W ogóle oceny polityczne są w *Abecadle Kisiela* osobliwe, żeby nie powiedzieć coś bardziej niegrzecznego o zasłużonym ogromnie felietoniście. Hasło poświęcone Adamowi Ciołkoszowi zaczyna się tak: „Najpocziwszy człowiek świata i najbardziej naiwny, jaki chyba istniał”. Polityczny wyga, wystawiający innym takie właśnie stopnie na cenzurkach, nigdy zdaje się nie pomyślał, że sam mógłby uchodzić za żywy okaz naiwności. Adam Ciołkosz opowiadał mi o swojej przygodzie (trudno to inaczej nazwać) z Kisielem w Londynie w roku 1976. Znakomity gość z Warszawy miał wtedy w „Ognisku” odczyt o perspektywach i walorach „finlandyzacji” (to był jego ówczesny konik czy gwóźdz w mózgu). W dyskusji zabrał głos Adam i powiedział m.in. (plus minus) co następuje: „Obecnego systemu rządzenia nie da się poprawić. Jest śmiertelnie chory, nie da go się uleczyć, trzeba go w całości usunąć i zniszczyć jego polityczną nadbudowę. Kto to może uczynić? Mogą to uczynić tylko robotnicy, nie dlatego że są ludźmi ulepionymi z lepszej gliny, lecz dlatego że warunki bytu zmuszają ich do solidarności i walki”. Nazajutrz Kisielewski był u Ciołkoszów na kolacji. W pewnej chwili powiedział (znowu plus minus) tak: „Kochany Panie Adamie, Pan wie jak w Polsce Pana szanujemy i cenimy, ale z tymi robotnikami to się pan gruntownie myli. To nie są robotnicy, jakich Pan znał i pamięta, to są ludzie ze wsi i na nich liczyć nie można”. Adam usiłował mu uprzytomnić, że i dawni robotnicy pochodzili ze wsi, ale na próżno. Uparty Kisiel obstawał przy swoim. W kilka tygodni potem był Radom i Ursus, zaczęło się preludium do Gdańska. Tego tropiciel cudzej naiwności nie przewidział.

Przy sposobności dodam, że pogląd zbliżony do poglądu Adama głosił od lat uparczywie Jerzy Giedroyc, co Kisiela do-

prowadzało do białej gorączki i głupawych uszczypliwości (które później uczciwie odszczekał). A skoro już o tym piszę, przypominę że byłem świadkiem (i uczestnikiem) dyskusji Jerzego z profesorem Lipińskim, który również z ogromną irytacją próbował nam wybić z głowy „liczenie na robotników”, opisując ich jako zbrutalizowanych podludzi. Trudno się nie uśmiechnąć na myśl, że został później animatorem i bodaj przewodniczącym KOR i z dumą podkreślał przy byle okazji półwiekową przeszłość socjalistyczną. No, ale to są wspomnienia z okresu, gdy w warszawskich salonach panowała moda wyrażania się o robotnikach per „robole”...

Maisons-Laffitte, 15 września

W doskonałym tekście Smecza w ostatniej *Kulturze* zdanie: „Cały ten kraj (Polska) jest dzieckiem nie kochanym przez historię”. A więc nie tylko ja zauważyłem ostatnio narodziny infantylizmu czy raczej „ferdydurkizmu” polskiego, zapędzenia (przez kogo? przez co?) w dzieciństwo, w niedorosłość, przy pozorach wielkiej dojrzałości, rozważa i nasyczonej doświadczeniem. Dzieci brodate o starych, zmęczonych i rozbieganych oczach.

Można podać kilka przykładów tej dziecinnady na różnych polach. Psychologicznie rozumiała, i w pewnym stopniu wy tłumaczalna, ucieczka od słowa „partia” wywołuje pogoń za rozmaitymi „centrami”, „sojuszami”, „roadami” (z angielska), „forami”, „ruchami”, byle tylko uniknąć słowa, któremu komuniści nadali złowrogi wydźwięk. Ale ta dziecinnada zabawa w subtytucję jest marnowaniem, stratą czasu: wielopartyjność (nie mówiąc o „partyjniactwie”), ma wszelkie możliwe wady i jedną istotną zaletę — nikt dotąd nie wymyślił, i prawdopodobnie nie wymyśli, lepszego sposobu funkcjonowania demokracji. Więc albo albo, albo się tej demokracji naprawdę chce, albo traktuje się ją jako obowiązkowy *lip-service* nad grobem komunizmu. Z chwilą zakończenia Okrągłego Stołu było jasne, że Czapa Solidarności z orzelkiem w koronie, z piórkiem i z wizerunkiem Matki Boskiej Jasnogórskiej jest za ciasna na wszystkie pchające się pod nią głowy. Już wtedy należało tworzyć konkretne opcje polityczne, zamiast podtrzymywania na siłę i za wszelką cenę złudnego Monolitu Narodowego. Pamiętam dwie rozmowy w kwietniu 1989, z Michnikiem w Cortonie i z Geremkiem w Rzymie. Wydawało mi się naturalne, że ludzie o inklinacjach lewicowych pomogą J.J. Lipskiemu w odbudowaniu PPS (historyczna formacja Piłsudskiego, Jodki, Perla, Daszyńskiego, Niedziałkowskiego, Pużaka, Arciszewskiego, Ciołkoszów była jedynym lewicowym składnikiem post-komunistycznej demokracji,

który nie kłębły Polaków w oczy słowami „partia” i „socjalizm”). Michnik oświadczył krótko, że to niemożliwe, roztracając uroki i korzyści narodowej Jedności pod wodzą Wałęsy (w którym był zakochany). Geremek, dla uprzytomnienia mi dla czego niemożliwe, wyjaśnił że w radomskim okręgu wyborczym Lipski, aby być wybranym do Senatu, musi występować w barwach Solidarności, a nie — uchowaj Boże — jako przywódca PPS. Dzisiaj... Dzisiaj obaj panowie „lewicowcy”, dla których zabrakło miejsca pod ciasną Czapą, powinni przeczytać to, co świeżo napisał rozsądny „prawicowiec” Wasiutyński: „To straszne złudzenie, że zamiast partii mogą być jakieś pospolite ruszenia, jakieś święte ligi, bezpartyjne bloki, bezgraniczne koalicje. To wszystko są złudzenia, może marzenia, może obłudne życzenia. Prawda jest prosta i nietrudna do zauważenia. Alternatywą partii są kliki”.

„Kliczki”, chciałoby się powiedzieć zdrobniale, małe mafijki lub sitewki Chłopców z Placu Broni.

Okrągły Stół, ów Mebel dokładnie opisany przez Konstantego Geberta, wciąż jeszcze osnuty pajęczyną „tajnej dyplomacji”, odegrał gorzej czy lepiej swoją rolę i przestał być — jak wolno było ufać — modelem na przyszłość. Skądże znowu! Zabawa w Okrągły Stół zasmakowała starym koniom przemienionym w Młodziaków. Czytam, że po wizycie Wałęsy w Castel Gandolfo odbędzie się „mały Okrągły Stół” u prymasa Glempa z udziałem stron poważniejszych w „kryzysie prezydenckim”. Dlaczego u prymasa? Kościół wystąpił słusznie jako mediator, gdy naprzeciw siebie stały władza komunistyczna i opozycja demokratyczna. Ale obecnie? Mediacja między odnogami nowego, post-komunistycznego *Establishment*’u? Z jakiego tytułu? Jan Paweł II zawdzięcza część swojej popularności we Włoszech takiemu profilowi pontyfikatu, który doprowadził — mówiąc językiem znawców przedmiotu (Spadolini) — do „poszerzenia Tybru”, czyli zdecydowanego przekreślenia tradycji wtrącania się Stolicy Apostolskiej do polityki włoskiej. Przez lata włoska chadecja wisiła na kłamce Spizowej Bramy, każdy desygnat na premiera pędził najpierw do papieża, po tamtej stronie Tybru uzyskiwało się (albo nie) błogosławieństwo na drogę. Tradycję „wąskiego Tybru” przełamał już Jan XXIII, lecz odrzucił ją całkowicie dopiero Jan Paweł II. Podejrzewam, że jego przyjaźń z socjalistycznym prezydentem republiki Pertinim miała, prócz wzajemnej ludzkiej sympatii, uprzytomnić włoskim chadekom, że skończyła się epoka kościelnej kurateli i protekcji politycznej. Bierze ochota zapytać, czemu ta sama mądra zasada okazuje się niewskazana wobec Polaków.

Przenieśmy się na teren kulturalny. Gastronomiczny *Kinderbal* u Wierzyńka w Krakowie urządził dla swych młodocia-

nym admiratorów Czesław Miłosz (w asyście Jana Błońskiego). O dziwo!, myśleliśmy że jest już dawno po chorobie, a tymczasem świetne potrawy (obficie zakrapiane, mam nadzieję) spowodowały nagle u autora *Zniewolonego umysłu* recydywę starych, podskórnych ciągów marksistowskich. W młodych umysłach uczestników uczty u Wierzyńka, nietkniętych dramatycznym i diamatycznym zniewoleniem powojennym, zapanował nagle zamęt. „Poprzez komunizm — zapewnił ich Miłosz — Polska znalazła się po raz pierwszy w orbicie myśli europejskiej, na złe czy dobre... Łatwość, z jaką marksizm w ujęciu Moskwy podbił umysły w Polsce, w dużym stopniu tłumaczy się tym, że oni nie umieli się opierać, nie mieli przygotowania. To trafiło na prawie dziewiczy grunt”. (A podbił — dodam od siebie — w ten sposób umysły, że Ważyk po 1956 roku powtarzał, w rozmowie rzymskiej z Silonem, co dwa zdania: „Kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo”. Wat był zachwycony formułą Ważyka, Sylon wyszedł z tej rozmowy obrzydzony). Dalej Miłosz: „Komunizm czy marksizm dawał szansę”. No bo przecież bez magla komunizmu czy marksizmu nie mielibyśmy — zgroza pomyśleć! — Kołakowskiego, nie wiadomo jakie wiersze pisałby Różewicz. „Mnie się wydaje, że wy, to znaczy młode pokolenie, nie zdajecie sobie sprawy, jaką siłę miał stalinizm. Intelktualną siłę. Fantastyczną”. W końcu jednak Miłosz, uprzytomniwszy sobie może że posunął się trochę za daleko w ogłupianiu młodego pokolenia, wprowadził — dzięki Bogu — do *Kinderbalu* u Wierzyńka ton rodzicielski: „Ja moim studentom amerykańskim często mówię, że jestem reakcjonistą, bo wierzę że istnieje zło i dobro”. I po co to wszystko? Po to, żeby jeszcze raz wziąć w obronę czasy „zniewolonych umysłów” przed okrzykiem Spinozy: „Do jakich szaleństw zmusza ludzi strach!”.

W Polsce nie zdzieciniałej (lub ściślej: nie dziecinniejącej) Herbert nie napisałby sążnistego listu otwartego do Barańczaka, dotknięty polonistycznym „odkryciem” Łapińskiego (rzecz zupełnie bez znaczenia w twórczości Herberta) oraz zarzutem Barańczaka (powtórzonym przez Pawlaka), że był „niesprawiedliwy” w wywiadzie udzielonym Trznadłowi. Niesprawiedliwy! Barańczak ma, jak z tego widać, szczególny — infantylnie bałamutny — obraz „okresu minionego”. Można o sprawach poruszonych przez Trznadła nie mówić, w imię nie rozjątrzenia podgojonych ran, ale jeśli się chce mówić — jak chciał mówić Herbert po latach milczenia — to przymiotnik „niesprawiedliwy” jest tu po prostu głupstwem. Odnaleziono niedawno tekst Pawła Jasienicy z lipca 1956. „Najgorsza bieda w tym — pisał Jasienica tuż przed Październikiem — że prosty, szeregowy Polak mówił o rozmaitych sprawach o wiele szczerzej i uczciwiej niż wielu... in-

żynierów dusz ludzkich. Trzeba dogonić własny naród, napisałem w *Po prostu* jesienią zeszłego roku (a więc przed XX Zjazdem) i słowa te uważam za ciągle aktualny i zdrowy program pisarski”.

Nasi „inżynierowie dusz ludzkich” zdołali już dziś co prawda dogonić własny naród, ale wciąż po kryjomu wzdychają w krótkich spodenkach do swojej dorosłej przeszłości „inżynierskiej”.

20 września

Pożyteczna *Maleńka encyklopedia totalizmu* Jana Józefa Szczepańskiego zyskałaby wiele na wprowadzeniu, i to na czołowym miejscu, hasła „Strach”. Jeden z filarów totalitaryzmu, niezależnie od jego barwy, tak istotny w całej budowlu, że bez niego rozlega się natychmiast trzeszczenie. Chwył, którego Wodzowie nauczyli się od Machiawela. Niczym zdanie wyjęte z *Księcia* brzmi przypisywana Stalinowi odpowiedź na pytanie, czy woli ludzi posłusznych mu z pobudek ideowych, czy ze strachu: „Ze strachu, bo pobudki ideowe przemijają, a strach trwa wiecznie”. Nawet u totalitarystów niższego autoramentu, jak Mussolini i Franco, szerzenie strachu jest zabiegiem wstępnym. I to strachu szczególnego, aż nazbyt dotykającego a jednocześnie nieuchwytnego, „kapryśnego” i przez to paralizującego. Z faszyzmem włoskim związana jest *La Grande Paura*, Wielki Strach wybity przez Strykowskiemu w tytule powieści o podsowieckim Lwowie (powieści zresztą lichej, najłabszej w twórczości tego pisarza, jakby po tylu latach autor bał się wciąż pisać otwarcie o bojaźni). Pamiętam drobny i błahy pozornie epizod z Hiszpanii pod rządami *Caudillo*. Tuż przed wyjazdem do Hiszpanii przeczytałem w prasie wiadomość o samobójstwie lub zabójstwie komunisty hiszpańskiego Grimau w więzieniu pod Burgos. Postanowiłem to więzienie zobaczyć. Żadna taksówka nie chciała mnie tam zawieźć, wreszcie jeden szofer dał się skusić dobrą zapłatą, ale pod warunkiem, że nie każę mu się przed więzieniem zatrzymać, że zatoczy tylko koło na placu przed nim i natychmiast wróci do miasta.

Strach jest uczuciem upokarzającym, toteż wystraszeni lub zastraszeni lubią go przystrajać rozmaitymi esami floresami „filozoficznymi”. Ale przynosi to nikłe i przelotne korzyści, strach ma upodobanie do bezwstydnego nagosci.

25 września

List do przywódców Związku Sowieckiego Solżenicyna, datowany 5 września 1973, czytano na Zachodzie (ukazał się w

największych pismach europejskich i amerykańskich) z delikatnym uśmiechem. Ale czego? Nie udało mi się nigdy ustalić jednoznacznie czego. Prawdopodobnie z uśmiechem, który łączył sympatię (niekiedy podziw) z ironią zaprawioną politowaniem. Choć było już wówczas oczywiste jakiego formatu pisarzem i człowiekiem jest Sołżenicyn, dla wielu rady udzielane Kremlowi robiły w jego ustach wrażenie megalomanii: jak gdyby nowoczesny Dawid, bezbronny prorok, usiłował przemówić do rozsądku potężnemu Goliatowi w ciężkiej zbroi. Szybko też, zwłaszcza w kołach umiarkowanej nawet lewicy, przyklepiono Sołżenicynowi po jego *Liście* etykietkę staroświeckiego reakcjonisty, rosyjskiego nacjonalisty i cerkiewnego kaznodziei.

Wielki tygodnik rzymski *L'Espresso* zaprosił mnie wtedy do udziału w dyskusji, a raczej w dialogu, na temat *Listu*. Moim rozmówcą był Lucio Colletti, profesor filozofii na Uniwersytecie Rzymskim, badacz Hegła, inteligentny znawca marksizmu i problematyki komunistycznej, umysł błyskotliwy. Także u niego zauważyłem ten dziwny uśmiezek. Przy całym uznaniu dla Sołżenicyna, przy niezmiernie krytycznym stosunku do ZSSR i komunizmu, zdawał się widzieć w *Liście* donkiszoterię, „nieadekwatną” w stosunku do siły zaatakowanego Systemu.

Upłynęło siedemnaście lat od napisania i opublikowania *Listu*. Reakcja na Zachodzie uprzytomniła mi, jak mało wiedziano o ZSSR, o wzbierającym w nim kryzysie, jak bardzo wierzono (niezależnie od własnych poglądów politycznych) w stabilność ustroju sowieckiego, w ostateczne uformowanie „człowieka sowieckiego”, *homo sovieticus*. Sacharow polemizował co prawda z *Listem*, według mnie na ogół trafnie, ale nie miał wątpliwości, że Sołżenicyn dobrze wie o raku toczącym państwo Lenina i Stalina. Sacharow zarzucał Sołżenicynowi przecenianie roli ideologii w ZSSR (pisał, że „współczesne społeczeństwo sowieckie opanowane jest ideologicznym indyferentyzmem i pragmatycznym wykorzystywaniem ideologii jako wygodnej fasady”), oraz nadmierny opór wobec niepowstrzymanej industrializacji i urbanizacji. Podkreślał „utopijność” sołżenicynowskiego planu kuracji raka. Odpowiadając Sacharowowi, autor *Listu* nie powstrzymał się od okrzyku: „W naszej sytuacji bez wyjścia jakże czasem i utopii nie próbować?”

Napisana w lipcu 1990 i wydana w tych dniach broszura Sołżenicyna, także przełożona natychmiast na wiele języków, nosi tytuł *Kak nam obustroit Rossiju?* i jest współczesnym odpowiednikiem *Listu* sprzed siedemnastu lat, choć nie zwraca się do obecnych przywódców ZSSR. Sołżenicyn ma dziś ułatwione zadanie: przemawia do przekonanych, na twarzach jego zachodnich słuchaczy miejsce delikatnego, ironicznego uśmieczku zajął cień zgrozy w oczach; jaki jest koń (czyli Związek Sowiec-

ki), każdy nareszcie widzi; co będzie (pytanie szczególnie częste na Zachodzie), gdy ostatnie imperium na świecie albo zawali się w procesie stopniowego rozkładu, albo w przedśmiertnych drgawkach zdoła jeszcze wyłonić, drogą przewrotu wojskowego, agresywną i awanturniczą dyktaturę?

Jest rzeczą paradoksalną, że rosyjski Dawid chce teraz podtrzymać ślaniającego się na nogach sowieckiego Goliata. W obawie przed anarchią, powtórzeniem roku 1917, „coś niecoś w obecnym państwowym ustroju należy chwilowo zachować po prostu dlatego, że już istnieje”. Ale, rzecz jasna, więcej niż „zachować” trzeba odrzucić. Sołżenicyn zaleca, w ramach postulatów „samoograniczenia”, pozbycie się jedenastu republik sowieckich; apeluje, tylko apeluje, do Ukrainy i Białorusi, by pozostały z związku z Rosją. Nie stroni od sugestii politycznych, przede wszystkim jednak występuje jako moralista. „Życie polityczne nie jest wcale głównym przejawem życia człowieka, polityka nie jest bynajmniej upragnionym zajęciem dla większości ludzi. Im bardziej rozbuchane w kraju życie polityczne, tym więcej ponosi strat życie duchowe. Polityka nie powinna dławić duchowych sił i twórczego tchnienia narodu”.

Prawdopodobnie zawodowi politycy wzruszą tu ramionami i załamią ręce nad „naiwnością” Sołżenicyna. Ja uważam moralistyczne rozważania Sołżenicyna za najcenniejsze w broszurze. Być może w nowoczesnych, przemysłowych społeczeństwach masowych jest już za późno na wrażliwość i mądrość tego typu, lecz musimy przynajmniej wiedzieć ku czemu idziemy i co nam grozi, aby spróbować ocalić godność życia zrzeszonego. Sołżenicyn nadzwyczaj trafnie głosi pochwałę „demokracji małych przestrzeni”, słusznie przywiązuje ogromną wagę do prowincji i samorządów najniższego szczebla, rozumie wychowawczą potrzebę bezpośredniego udziału człowieka w rozwoju niewielkich, społecznie i moralnie zwartych wspólnot. Powołuje się przy tym na stare wzory rosyjskie, nie ukrywając równocześnie jak dużo dał mu pobyt w Szwajcarii, w kantonie Appenzell. Znamienna rzecz: na emigracji w Szwajcarii utrwaliła się w Silonem niechęć (żeby nie powiedzieć więcej) do rozdętych nad wszelką miarę, przenikniętych anonimowością, organizmów społecznych i aparatów partyjnych, w imię rzeczywistego uczestnictwa obywatela w demokracji żywej i autentycznej, a nie tylko wypisanej na sztandarach i zredukowanej do przedstawicielstwa parlamentarnego (często formalnego).

27 września

W wieku osiemdziesięciu dwóch lat umarł Alberto Moravia, nie doczekawszy się Nagrody Nobla. Nie znaczy to, że czekał

na nią, jakkolwiek był od dawna wymieniany co roku wśród najpoważniejszych kandydatów. Pokpiwał raczej z noblistów, zdaje się, że za większy tytuł do dumy uważał posłowanie do Parlamentu Europejskiego. Pisanie traktował niemal jak pracę biurową, dzień w dzień od wczesnego rana do południa przy maszynie, nawet gdy twórcza wena tętniła słabo; i rok w rok nowa książka, nie licząc współpracy z prasą. Lubił podróżować i był niekiedy, w reportażach i listach z podróży, ciekawszy niż w powieściach i opowiadaniach. Wszechstronnie czytany, w życiu osobistym zachłanny, w poglądach politycznych dość cyniczny (jak większość Włochów) chciał być ciągle na widoku publicznym, nie znosił pauz w cieniu. Ostatnio — co było czasem trudne do zniesienia — uczynił z metaseksu alfę i omegę wszechświata; podejrzewam, że w ten sposób zamierzał dotrzymać kroku młodym, nie dać się wypchnąć poza nawias „nowoczesności”. Jego pierwsza żona Elsa Morante, autorka cudownej *Wyspy Artura*, stała się pisarką o wiele od niego większą.

Czy był pisarzem wybitnym, lub choćby znaczącym? Nie jestem tego pewien. Jego ogromny dorobek zapewnił mu sławę pierwszego pisarza współczesnych Włoch, według mnie niezbyt zasłużoną. Z biegiem lat udoskonalił swoje *metier*, rzecz dla pisarza niebezpieczna, jeśli jest *tylko* sprawnością techniczną. Zwykło się mówić „Moravia dobrze pisze”, co jest dwuznaczną pochwałą. Kiedyś, z należytej perspektywy, okaże się moim zdaniem, że z długiej listy jego książek ocaleją naprawdę tylko dwie: pierwsza, preegzystencjalna powieść *Gli Indifferenti*, którą napisał w dwudziestym roku życia, przykuty do łóżka paralizem dziecięcym; wyborny obraz bogatego mieszczaństwa rzymskiego w latach faszyzmu; oraz *Agostino*, krótka powieść o miłości rozbudzonego podczas wakacji nad morzem chłopca do własnej matki. Obie mają wyraźny podkład autobiograficzny.

W jednym trzeba mu oddać sprawiedliwość, „czuł” Rzym jak mało który z pisarzy włoskich, mimo że go nie lubił. Jego *Nowele rzymskie* nie zawsze uderzały pomysłami, rysunkiem postaci i sylwetkami — przeciwnie, nie raz zdumiewały banalnością u pisarza tak kulturalnego i wytrawnego, — ale zawsze przynosiły odprysk Rzymu oglądanego z niezrównanym znawstwem i z krystaliczną jasnością: rzymskie obyczaje, rzymska mentalność, rzymskie odcienie społeczne, pejzaż miasta, zmienne kolory powietrza, nieba i kamienic, brudny ściek Tybru, atmosfera „eleganckich” placów, ulic i ogrodów, bujne bogactwo ludzkie ubogich uliczek. *La Romana*, powieść o prostytutce rzymskiej, tylko temu zawdzięcza swoją sugestywność.

Wiele szkody wyrządziły Moravii filmowe wersje jego powieści, spłaszczając dodatkowo wszystko co w nich płaskie, spływając dodatkowo wszystko co w nich płytkie. Jedyna może

La Ciociara, wojenna historia z okolic Monte Cassino płađrowanych i tratowanych przez oddziały marokańskie, budzi jednakowe wzruszenie w lekturze i na ekranie.

Przyjemne u Moravii było to, że nie obnosił się ze swoją sławą, nie „pontyfikował”, miał niewyczerpaną ciekawość świata, życia i ludzi, sam przymrużywszy oko śmiał się ze swoich słabości, umiał bez cienia zawiści podziwiać pisarstwo swoich młodszych kolegów. Był nieodłączną częścią Rzymu, z tym swoim długim krokiem wyrzucanej do przodu bezwładnej nogi.

29 września

Dużą rolę w mojej *Wieży* odgrywa Pielgrzym Świętokrzyski z okolic Nowej Słupi. Mam w neapolitańskim pokoju na ścianie dwie *dawne* fotografie Pielgrzyma, które przysłał mi ktoś anonimowy z Kraju wkrótce po ukazaniu się *Wieży* w *Kulturze*. Podkreśliłem słowo „dawne”, bo jak widzę z nowych albumów Rejonu Świętokrzyskiego figura kamiennego Pielgrzyma została dziś ogrodzona, podmurowana i schowana pod daszkiem ochronnym — pomysł tyleż irytujący, co po prostu śmieszny.

W ostatniej *Twórczości* Rafał Węgrzyniak wydrukował notę *Pielgrzym*, sprowokowaną przez moje opowiadanie. Autor noty podaje moją wersję legendy o Pielgrzymie Świętokrzyskim, podkreśla ścisłość mojego opisu figury, lecz zaznacza że legendy nie przytoczyłem „dosłownie”, poddałem ją „istotnej rewizji”, rozumiejąc zresztą dłaczego: artystycznie tylko moja prywatna, zmyślona po części wersja legendy pasuje do opowiadania, pozostałe cztery „oficjalne” (odtworzone przez Węgrzyniaka) nie miałyby z nim wiele wspólnego. Chodzi jednak o coś ważniejszego od artystycznej motywacji owej „istotnej rewizji”. Ja w takiej właśnie formie usłyszałem legendę o Pielgrzymie Świętokrzyskim od mieszkańców Nowej Słupi i Świętej Katarzyny i tak ją z Polski wyniosłem w młodocianej pamięci. Do czego zmierzam? Legendy zmieniają się nieustannie, aż przybierają formę doskonałą, najbardziej wymowną, wolną od zbędnego balastu. Taki charakter ma legenda, którą wspominałem pisząc *Wieżę*.

1 października

Z chwilą gdy emigracja wygrzebała się naraz ze „śmietnika historii” i skoczyła wprost na szerokie wody rewolucyjnych (bądź kontrewolucyjnych) przemian, gdy emigranci z bankrutów i *bywalszych* ludzi przeistoczyli się w czcigodnych partnerów, gdy wyklęci niegdyś pisarze emigracyjni wydawani są obficie i z hono-

rami w swoich krajach rodzinnych, bierze ochota spojrzeć wstecz, na „blaski i nędze” (określenie Józefa Wittlina) czy „dogodności niedogodności” (określenie E.M. Ciorana) wygnania.

Tekst Ciorana ukazał się w roku 1952 w *Kulturze*, opatrzone komentarzem Gombrowicza. „Słowa Ciorana — pisał Gombrowicz — zięją piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu, ale zanadto są małostkowe”. Dokładnie tak. Rumuński pisarz chlusnął podreęczną u niego zawsze porcją czerni, odmalował przede wszystkim niedogodności wygnania, naszkicował portrecik emigranta zbankrutowanego. Na trzech stroniczkach — rekord zwiększający w stosunku do takiego tematu — roi się od sadomasochistycznych zwrotów. „Kto porzuca swój język dla innego, zmienia swą osobowość, dokonuje heroicznej zdrady” (niezmiernie rzadkie były wypadki porzucenia języka ojczystego przez pisarzy emigracyjnych). „Bolesne szamotanie się w próżni”. „Wygnanie jest szkołą szaleństwa”. „Wygnanie? To stolica Nicości, ojczyzna na wspak”. Jeszcze raz Cioran, w sprawie dotyczącej go bezpośrednio, dał popis rozpaczliwego, jakkolwiek przyciszzonego, kameralnego i stylistycznie doskonałego, lamentu na bezludziu.

Komentarz Gombrowicza jest majstersztykiem inteligencji i wnikliwości w przyszpileniu desperackiej małostkowości Ciorana. „Sztuka naładowana jest pierwiastkami samotności i samowystarczalności... Ojczyzna? Przecież każdy z tych wybitnych, wskutek po prostu wybitności swojej, był cudzoziemcem nawet u siebie w domu”. „Zaiste, jest dosyć obojętne w jakim miejscu świata męczą się pisarze, którzy nie są dość pisarzami, aby być naprawdę pisarzami. I może zdrowsze jest, że zostali oni pozabawieni zapomóg, poklasku, tych drobnych karesów, jakimi darzyło ich za dobrych czasów państwo i społeczeństwo w imię popierania rodzimej twórczości”. „Cioran opowiada, jak ginie pisarz oderwany od swego społeczeństwa. Lecz pisarz ten nigdy naprawdę nie istniał: to embrion pisarza. Mnie raczej wydaje się, że — teoretycznie biorąc i pomijając trudności materialne — to zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podniętę dla literatury”. „Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla kogo ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat”.

Majstersztyk, tak, ale z lukami. „Zanurzenie się w świecie jako podnieta dla literatury”, pisarze dla których „ojczyzną jest świat”, wszystko to wydaje mi się rozumne i słuszne, stanowi antidotum na Ciorana, byłoby jednak i pełniejsze i prawdziwsze, gdyby „świat” skrzyżowało z krajem pochodzenia pisarza. Sam Gombrowicz wyzuty całkowicie z Polski, ze „zmienioną osobo-

wością”, nie wzniosłby się nigdy na takie wyżyny pisarstwa. Płodne jest skrzyżowanie, niekoniecznie zresztą widoczne gołym okiem, podskórne, w podtekście, zauważalne dla każdego wrażliwego czytelnika. „Niemcy są tam, gdzie jestem ja” powiedział podobno Tomasz Mann, i powiedział zarozumiałe, pompatyczne bałamuctwo. Niemcy ożenione pisarstwo ze światem towarzyszyły Mannowi na wygnaniu, jak Polska ożeniona pisarstwo ze światem szła za Gombrowiczem z takim uporem, że pierwszą oznakę skradania się śmierci wyczuł na spacerze w berlińskim Tiergartenie, w nagłym przypływie zapachów z Małoszyc i Bodzechowa. Według mnie dzięki wkładowi pisarzy emigracyjnych cała nasza literatura wypiękniała i spoważniała, dopiero teraz mają możliwość przekonać się o tym czytelnicy w Kraju. Jerzy Stempowski marzył nie bez powodu, u progu naszego wygnania, o antologii pisarzy emigracyjnych od Owidiusza do dwudziestowiecznych wygnańców.

6 października

W nowym kwartalniku francuskim *Gulliver* odkopano pojedynki Kundera-Havel z przełomu 1968-1969, oraz uzupełniono *dossier* fragmentem *Przestuchania na odległość* Havla poświęconym także polemice z Kunderą. Warto rzecz przeczytać, nie żeby była szczególnie rewelacyjna. Jest po prostu pouczająca, bo od intelektualistów typu Kundery roilo się niegdyś w „demoludach”, rzadziej natomiast spotykało się ludzi równie prawych i rozsądnych jak Havel.

O co poszło nazajutrz po Praskiej Wiosnie? Trzeba najpierw przypomnieć, że w latach pięćdziesiątych Kundera należał do literackich beniaminków reżymu: zdarzały się czasem krótkie spięcia, ale rządzący cenili na ogół młodego pisarza, stawiali na niego, wyróżniali go i nagradzali. W redakcyjnym wprowadzeniu *Gullivera* porównuje się jego sytuację w Pradze do sytuacji Jewtuszenki w Moskwie. W tym samym czasie Havel uczestniczył co prawda w oficjalnym czeskim życiu literackim, wspomina jednak w *Przestuchaniu na odległość* swoją *malaise* ilekroć dał się wciągać w organizacyjne tryby Związku Pisarzy.

Czeski los Kundery, napisany w grudniu 1968, jest pochwałą Praskiej Wiosny. Rzecz zupełnie naturalna, gdyby nie całkowity prawie brak odwołań w grudniowym tekście do wypadków sierpniowych. Kundera zdaje się sądzić, że mimo inwazji, proces podziwianej przez cały świat „odnowy socjalizmu” w Czechosłowacji trwa. Więcej: „Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że waga czeskiej jesieni przewyższa być może wagę naszej wiosny”. Nie sposób zrozumieć dlaczego, jak nie sposób zrozumieć co

skłaniało wtedy Kunderę do cierpkich słów pod adresem rodaków, którzy po sierpniu zdecydowali się wyjechać lub uciec z Czechosłowacji (Kundera poszedł w ich ślady dopiero w roku 1975...). Więc dlaczego? Znajduję jedno tylko wytłumaczenie: niewyczerpane były niegdyś złudzenia i rachuby niektórych „rewizjonistów”. *Czeski los* Kundery przypominał mi rozmowy z Kazimierzem Brandysem w Paryżu na przełomie 1970-1971. Dość harmonijne z początku, zmieniły się gwałtownie, gdy do „naprawy socjalizmu”, po masakrze na Wybrzeżu i po upadku Gomułki, zabrał się nowy „odnowiciel” Gierek.

Złudzeniom i fałszywym rachubom, gdy okazują się zawieszane w próżni, towarzyszy często coś w rodzaju historycznej czkawki. Po latach, w Paryżu już, Kundera wyznał w swoim głośnym esej, że czołgi sowieckie na ulicach Pragi zburzyły jego admirację dla... Dostojewskiego. Ten czeski przeskok z tradycyjnej filorosyjskości do paroksyzmu antyrosyjskości był zresztą po 1968 roku dość rozpowszechniony, Kundera starał się tylko „pogłębić” go i „zracjonalizować” na własnym podwórku „intelektualnym”. Jego niedorzeczności wyszydził bezlitośnie Brodski.

W pojedynku Kundera-Havel, zrekonstruowanym na kartach *Gullivera*, pominię polemiczne wypowiedzi Havla. Spokojne, skromne, wyważone, odrobinę drwiące, odslaniające cały blichtr intelektualny Kundery. Osobliwe zjawisko: kiedy ma się do czynienia z ludźmi pokroju Sacharowa czy Havla, odczuwa się pewne opory w cytowaniu ich uwag, tak dalece są oczywiste i — jak to się mówi — „wyjęte nam z ust”.

8 października

W serii *Podróże*, redagowanej przez Pawła Hertza, wydano dwutomowe *Wędrowki po Włoszech* Gregoroviusa. Dostałem je parę dni temu, rzuciłem się najpierw na rozdział *Lucera*. Dlaczego apulijskie miasto Lucera tak mnie fascynuje i zawsze fascynowało, odkąd zobaczyłem je przed laty i potem dwukrotnie odwiedziłem? Nawet nie miasto, ale Zamek za miastem, a właściwie mizerne resztki twierdzy, zbudowanej przez Fryderyka II w roku 1233, saraceńskiej warowni, która Hohenstaufom — Fryderykowi, Manfredowi, Korradynowi — miała zapewnić panowanie we Włoszech południowych, a Fryderyka pobudzała do marzeń o cesarstwie Wschodu i Zachodu.

Gregorovius świetnie oddaje „magnetyzm historii” na Zamku pod Lucerą, chociaż „cała ta wielka budowla od czterech stuleci (pisane w roku 1874) służy jako zagroda dla owiec i kóz”. Dziś już nie służy, jest pusta, sterczy ku niebu ogromną wieżą jak przetrąconym kikutem, otoczona nisko przy ziemi zę-

bami muru warownego. Kiedyś, gdy stała się saraceńską twierdzą, gdy rojno w niej było od sycylijskich Arabów przemieszanych tu z woli Fryderyka, meczety dla wojowników wznosiły się na placach wśród arsenałów i budynków koszarowych, a za murami rozsiadła się i rosła szybko arabska ludność cywilna. Manfreda, syna Fryderyka, papiescy i andegawieńscy przeciwnicy nazywali sułtanem Lucery.

„Spoglądając z murów tego Zamku, wpatrując się w piękne krajobrazy Apulii, ma się przed sobą niezwykłą scenę wydarzeń, która, niczym lustro, odzwierciedla dzieje Italii południowej. Rzymianie, Kartagińczycy, na nizinie bowiem widać w dali pole bitwy stoczonej przez Hannibala pod Kannami, Goci, Longobardowie, Saraceni, Bizantyjczycy i Normanowie, krzyżowcy, którzy początkowo wyruszali z tych właśnie wybrzeży, Hohenstaufowie, Andegawenowie, Aragończycy, Hiszpanie i Francuzi, wszystkie te cienie przeciągają tu przed naszymi oczami”.

„Magnetyzm historii”, ale i jej śmiertelność, jej wysuszona i słońcem wyprażona martwota, ostra jak nigdzie chyba poza tym Zamkiem pod Lucerą świadomość, że konstrukcje historyczne i cywilizacje giną niemal bez śladu, dając życie pochodom cieni. Gdzież na świecie taki pochod cieni, gdzież tak nasycona przeszłością próżnia, jak przy tym murze obok okrągłej wieży, z oczami utkwionymi w bezkresnej Pustyni Tatarskiej ni to trwania ni oczekiwania?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

ALOYSIUS BERTRAND (1807-1841)

WIDOK

Widzi kamienne monstra pijące wodę z deszczówek w przestworzach, wznoszących się w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...
Murarz Abraham Knüpfer śpiewa, z kielnią w dłoni, na wystawieniu tak wysoko w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...
Widzi kamienne monstra pijące wodę z deszczówek w przestworzach, wznoszących się w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...

Widzi kamienne monstra pijące wodę z deszczówek w przestworzach, wznoszących się w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...
Widzi kamienne monstra pijące wodę z deszczówek w przestworzach, wznoszących się w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...
Widzi kamienne monstra pijące wodę z deszczówek w przestworzach, wznoszących się w powietrzu, że czytając gotyckie napisy wielkiego drzewa ma stopy na poziomie i kościół wspaniały na siedmiu łukach i na...

DŻELALUDDIN RUMI (1207-1273)

Powoli, powoli odłączaj się.

To treść tego, co opowiem.
Od embriona, którego pożywienie bierze się z krwi
przejdź do niemowlęcia pijącego mleko,
do dziecka, które przyjmuje stały pokarm,
do poszukiwacza mądrości,
do łowcy mniej widzialnej zwierzyny.

Pomyśl, jaka byłaby rozmowa z embrionem.
Ty powiadasz: „Świat na zewnątrz jest zawity i rozległy.
Są tam pola pszenicy i górskie przełęcze, i kwitnące sady.
W nocy miliony galaktyk a w słońcu
piękno przyjaciół tańczących na weselu”.
Zapytujesz embriona czemu trwa skulony
w ciemności, z oczyma zamkniętymi.

Słuchaj co odpowie:

Nie ma „innego świata”.
Znam to tylko, czego doświadczyłem.
Pewnie ci się majaczy.

ALOYSIUS BERTRAND (1807-1841)

MURARZ

Mistrz murarski: — Spójrzcie na te bastiony,
na te oskarpowania: musiano je budować
na wieczność.

Schiller, *Wilhelm Tell*

Murarz Abraham Knupfer śpiewa, z kielnią w dłoni, na rusztowaniu tak wysoko w powietrzu, że czytając gotyckie wersy wielkiego dzwonu ma stopy na poziomie i kościół wsparty na siedmiu łukach i miasta o trzydziestu kościołach.

Widzi kamienne monstra plujące wodą z dachówek w przepastną gmatwaninę galerii, okien, sklepień, dzwonnicy, wieżyczek, dachów i przęseł, na której szarym punktem znaczy się ostro wycięte i nieruchome skrzydło sokoła.

Wiersze

Nowe przekłady
Czesława Miłosza (I)

JUDA AL-HARIZI (ok. 1170 - po 1235)

Poeta hebrajski urodzony w Toledo

BŁYSKAWICA

I błyskawica śmieje się do chmur
Jak wojownik biegnący bez chwili zmęczenia.
Albo jak nocny stróż, który zadrzemał,
Otwiera jedno oko i znów zamyka.

SŁOŃCE

Patrz: słońce rozpostarło swoje skrzydła
Nad ziemią, żeby rozproszyć mroki.
Jak wielkie drzewo z korzeniami w niebie,
Z gałęzmi sięgającymi nisko aż do ziemi.

LUTNIA

Patrz: lutnia narzeka w ramionach dziewczyny
Żeby cieszyć serce swoim wdzięcznym głosem.
Jak dziecko płaczące w ramionach matki,
Która śpiewa i śmieje się, a ono płacze.

Widzi fortyfikacje ułożone w gwiazdę, cytadelę, która pyszni się jak kura na makuchu, dziedzińce pałaców gdzie słońce wysusza fontanny i zamknięte podwórce klasztorów gdzie cień krąży dokoła kolumn.

Wojska cesarskie stacjonują na przedmieściach. Oto jeździec bije w bęben. Abraham Knupfer rozróżnia jego trójgraniasty kapelusz, naszywki z czerwonej wełny, jego kokardę z pętlą, jego warkocz zawiązany wstążką.

Widzi jeszcze wiarusów, którzy w parku zdobnym w olbrzymie liściaste gałęzie, na rozległych szmaragdowych trawnikach dziurawią kulami z arkebuzy drewnianego ptaka umocowanego na szupie.

A wieczorem, kiedy harmonijna nawa katedry usypia z ramionami rozrzuconymi w kształt krzyża, dostrzega ze swojej drabiny wioskę na horyzoncie podpaloną przez ludzi wojennych, płomieniącą niby kometa w lazurze.

VALERY LARBAUD (1881-1957)

OBRAZY

I (1881-1884)

Raz w Charkowie, w ubogiej dzielnicy
(O, to południe Rosji gdzie wszystkie kobiety
W swoich białych chustkach wyglądają jak madonny!)
Widziałem młodą kobietą wracającą od studni
Z nosidłem jak w czasach Owidiusza —
Dwoma wiadrami u dwóch końców drewna
Balansującymi w rytm jej szyi i pleców.
Widziałem też chłopczyka w łachmanach, który
Podszedł do niej i coś mówił.
Wtedy, pochylając lekko ciało na prawo
Opuściła jedno pełne wiadro, tak że dotykało bruku,
Na równi z ustami chłopczyka, który ukląkł żeby pić.

II

Któregoś ranka, w Rotterdamie, na Nabrzeżu Boompjes,
(było to 15 września 1900 roku, koło ósmej)

Przyglądałem się dwum dziewczętom, które zabierały się iść do [pracy
I przed jednym z tych dużych żelaznych mostów zęgnęły się
Bo miały nie tę samą drogę.
Obejmowały się czule; ich drżące ręce
Chciały i nie chciały się rozłączyć; ich usta
Już już oddalały się i znów zbliżały
A oczy wpatrzone były w oczy.
Tak stały dłuższą chwilę razem
Nieruchome pośród śpieszących się przechodniów,
Podczas kiedy holowniki buczały na rzece
I pociągi manewrowały gwizdząc na żelaznych mostach.

III

Pomiędzy Kordobą i Sewillą
Na małej stacyjce, bez widocznych powodów
Zatrzymuje się zawsze Sud-Express.
Daremnie podróżny szuka oczami wioski
Za tą stacyjką śpiącą pod eukaliptusami:
Widzi jedynie andaluzyjską wieś, zieloną i złotawą.
Niemniej, po drugiej stronie toru, naprzeciwko,
Jest chatka z czarnych gałęzi i mułu,
I za nadejściem pociągu wyraża się stamtąd dzieciarnia w
[łachmanach.

Najstarsza siostra kroczy na ich czele, zbliża się do peronu,
I nic nie mówiąc, ale uśmiechnięta
Tańczy żeby zarobić parę groszy.
Jej stopy w pyle wydają się czarne;
Jej twarz ciemna i brudna nie ma w sobie piękna;
Tańczy i przez dziury w jej spódnicy barwy popiołu
Widać jak, nagie, poruszają się jej chude biodra
I jak kołysze się jej żółty brzuszek.
I za każdym razem śmieje się z tego kilku panów
W dymie cygar, w restauracyjnym wagonie.

IV

O mój Boże, czy naprawdę niemożliwe
Żebym poznał tę miłą kobietę tam, na Małorusi,
I te dwie przyjaciółki z Rotterdamu
I młodą żebraczkę z Andaluzji.
I żebym związał się z nimi
Nierozzerwalną przyjaźnią?
(Niestety, nie przeczytają tych wierszy,
Nie będą znały ani mego imienia, ni czułości mego serca;

A jednak one istnieją, żyją *teraz*.)
 Czyż naprawdę niemożliwe żeby dana mi była wielka radość
 poznania się z nimi?
 Bo nie wiem czemu, mój Boże, ale wydaje mi się że z nimi,
 we czwórkę,
 Mógłbym zdobyć świat.

KENNETH REXROTH (1905–1982)

SYGNATURA WSZYSTKICH RZECZY

Głowę, ramiona i książkę
 Mam w cieniu, a ciało
 Wygrzewa się na słońcu, leżę
 Koło wodospadu, czytając
 Boehmego *Sygnaturę wszystkich rzeczy*.
 Pełnia lipca, a już listki
 Lauru, o różnych odcieniach
 Żłota, wirując powoli
 Spadają cały dzień przez ruchomy
 Mrok cienia pod drzewem. Chwilę
 Ważą się na tle nieba i lasu,
 Po czym, znów wirując, toną
 W głębokim kryształej jeziorka
 i osiadają na złotolistnym dnie.
 Święty mąż widział świat jako strumień
 W elektrolizie miłości.
 Odkładam go i patrzę na cienistość
 laurowych pni i liści, z cętkami słońca.
 Mysikrólik siedzi w mchem wysłanym gnieździe,
 Tryton walczy z białą ćmą,
 Która trzepie się na powierzchni, jastrzębie
 kwilą igrając na sklepieniu
 Niebios. Mijają godziny.
 Myślę o ludziach, którzy kochali mnie,
 O wszystkich górach na które wszedłem,
 O wszystkich morzach w których pływałem.
 Zło świata ucisza się,
 Mój grzech i troska są odrzucone
 Jak tłumok win chrześcijanina, widzę
 Moich czterdzieści lat jak spadające
 Liście i strugę wodospadu
 W powietrzu lata bezustannie tą samą.

SERCE HERAKLESA

Leżąc pod gwiazdami,
 W letnią noc,
 Późno, kiedy jesienne
 Konstelacje wstępują na niebo
 I Gwiazdozbiór Herkulesa
 Zniża się ku zachodowi,
 Biorę teleskop
 I patrzę jak Deneb
 Zmierza do zenitu.
 Moje ciało śpi. Jedynie
 Oczy i mózg nie śpią.
 Gwiazdy stoją wokół mnie
 Jak złote oczy. Teraz już nie wiem
 Gdzie zaczynam się, gdzie być przestaję.
 Lekki powiew w ciemnych sosnach,
 I niewidzialna trawa,
 Przechylająca się ziemia, mrowiące się gwiazdy
 Patrzą okiem, które widzi siebie.

Przełożył Czesław MIŁOŚZ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postłowie*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciála

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

Archiwum polityczne

Przewrót od góry

ROZMOWA Z REDAKTOREM PISMA
„GŁASNOŚĆ” SIERGIEJEM GRIGORIANCEM*

MAREK ZIELIŃSKI: — Bez Gorbaczowa trudno byłoby wy-
dawać Panu pismo. Mam wrażenie, że chociaż nie chcecie się do
tego przyznać, jesteście jednak dziećmi reform rozpoczętych przez
genseka z Kremla...

SIERGIEJ GRIGORIANC: — Nie. Odrzucam taką tezę. To
raczej Gorbaczow naśladowuje nas, a właściwie próbuje ratować
system zapożyczeniami od dysydentów. Ma on typową dla
komunistów umiejętność posługiwania się innymi i ukrywania się
za dobrze brzmiącymi hasłami.

M.Z.: — Jednakże sam tytuł Pańskiego pisma, *Głasność*, odwo-
luje się raczej do hasła z arsenatu kremłowskiej propagandy niż do
czegośkolwiek innego?

S.G.: — Niezupełnie. Byliśmy wcześniej. Już od początku lat
osiemdziesiątych wydawaliśmy rodzaj gazety o niewielkiej obję-
tości i nakładzie. Ot, arkusik, czasem dwa z informacją o zda-
rzeniach politycznych, które były przemilczane oficjalnie. Teraz
jest inaczej. Pismo jest grube, przypomina znane z rosyjskiej
tradycji *tolstye żurnaly*. Obok niego ukazują się biuletyn. Zmie-
nił się charakter tego, co robimy i doszliśmy do wniosku, że nie
można dawać samej informacji bez komentarzy. Przede wszystkim

* Siergiej Grigorianc, znany dysydent sowiecki, wydawca i redaktor
pisma *Głasność*, jeden z organizatorów ruchu obrony praw człowieka.

bronimy praw człowieka, ale to tylko jeden z kierunków pracy.

Tyle, że ukazujemy się rzadziej, raz na miesiąc, bo przygotowanie poważnych tekstów o większej objętości wymaga czasu. Nasi redaktorzy i współpracownicy są zatrudnieni również w innych periodykach krajowych i zagranicznych, w radiostacjach, dzięki czemu mniejsze są wydatki na pismo, gdyż wykorzystujemy ich kontakty i powiązania. Sama *Głasnost* nie daje — rzecz jasna — zysku. To nie było zresztą naszym celem. Powstałiśmy jako przedsięwzięcie ideowe i takim pozostaliśmy do dzisiaj.

M.Z.: — *Cnota wymuszona przez konieczność?*

S.G.: — Bzdura. Niedawno zarejestrowaliśmy obok *Głasnosti* koncern typu komercyjnego (programy kasetowe video, taśmy z muzyką etc.), ale czym innym jest samo pismo. Chodzi o wierność założeniom. Poza tym nie interesuje mnie sprzedawanie ran i zarabianie na tym, co uważam za obowiązek ludzki wobec innych: ich obronę przed przemocą.

Nasz program się sprawdził, bo jesteśmy jednym z najpopularniejszych obecnie tego rodzaju pism. Świadczy o tym choćby liczba około 50 dziennikarzy, którzy regularnie dostarczają nam materiały — większość współpracuje bezpłatnie — i przygotowują poszczególne numery. Teksty przychodzą do nas z całego kraju.

M.Z.: — *Docieracie też wszędzie?*

S.G.: — Trudno powiedzieć. Naszego nakładu nie sposób obliczyć. Nie wiadomo, kto robi przedruki, kserokopie i ile, a także dokąd one wędrują. Na pewno jednak sporo naszych tekstów drukuje prasa emigracyjna, również periodyki zagraniczne w obcych językach. Auditorium jest wskutek tego spore. W samym Paryżu około 12 tysięcy egzemplarzy.

Najważniejszy jest jednak kraj i tutejsi czytelnicy. Oprócz inteligencji docieramy i do prostych ludzi, górników z Donbasu, Workuty, robotników ze wschodnich peryferii ZSSR. Wielu z nich przychodzi potem do nas, czasami traktuje jako ostatnią instancję do załatwienia ich problemów. Bronimy tych ludzi.

M.Z.: — *Co z wielkonakładową prasą oficjalną? Dostrzegają *Głasnost* w swoich publikacjach?*

S.G.: — Teraz już zauważyli, nie mogą przemilczeć, za dużo się mówi o nas. Przedrukował nasze teksty *Ogoniok*, byliśmy w

miesięczniku *Junost*. Materiały video wykorzystał znany dziennikarz telewizyjny Borowik. Najistotniejszy dla nas jest fakt, że jesteśmy częścią składową paryskiej *Russkoj Mysli*.

M.Z.: — *Nie ma Pan wrażenia, że głównie wiedzą o *Głasnosti* w dużych miastach? Poza centralnymi ośrodkami mało kto słyszał o *Grigoriancu*?*

S.G.: — I tak i nie. Różnie to bywa. Mamy swój zespół kolporterów, którzy próbują wyjść poza układ moskiewskoleningradzki. Pracują jednak w ciężkich warunkach. W ostatnich tygodniach pobito dwóch naszych ludzi, doznali ciężkich obrażeń. Szantażuje nas i zastrasza milicja, która wykorzystuje różne preteksty typu nielegalnego wynajmowania mieszkań etc.

M.Z.: — *Czy nie uważa Pan, że podobna formuła działania i wydawania pisma jest dzisiaj już niewystarczająca? Potrzeba czegoś innego.*

S.G.: — Nie jesteśmy tacy sami, jacy byliśmy przed laty. W ciągu ostatnich trzech lat ewoluowaliśmy w stronę innej formuły. Zmieniliśmy się i będziemy zmieniać w dalszym ciągu, w zależności od warunków i potrzeb. Najpierw drukowaliśmy głównie informacje o naruszeniach praw, potem wraz ze zmianą sytuacji w kraju, pojawiły się nowe oczekiwania. Zmienili się ludzie i dawny typ pisma dysydenckiego przestał wystarczać. Sama informacja nie może już być podstawą periodyku...

Z gazety zrobiliśmy pismo trzykrotnie grubsze, do tego dostosowaliśmy skład redakcji, rozszerzyliśmy liczbę współpracowników. Więcej jest zawodowców. Słowem mamy ambicje zmieniać się jednocześnie ze zmianami w społeczeństwie.

M.Z.: — *Czy niedawno uchwalona ustawa o prasie ma znaczenie dla takiego pisma jak *Pańskie*?*

S.G.: — Wpływ ustawy na nasz periodyk i naszą działalność jest niejednoznaczny. Z jednej strony zwiększa ona zakres legalnej wolności prasy i swobody wyrażania opinii. Z drugiej zaś mam wrażenie, że jak zawsze w Sowietach, i ta kolejna inicjatywa ustawodawcza jest wymierzona przeciw niezależności politycznej grup podobnych do nas. Trochę jest tak, jakby ustawa była wroga wszystkim, którzy nie chcą się poddać władzy Gorbaczowa. Na mocy tego prawa jest przecież trudniej działać niż poprzednio. W ustawie znalazł się punkt zabraniający rejestrowania instytucji i periodyków prasowych o tych samych nazwach.

Jeżeli wziąć pod uwagę, że dwa miesiące temu KC KPZS rozpoczął wydawanie gazety *Głasnost*, sens zamierzeń władzy jest jasny. Może i dlatego uchwalili ustawę?

Chodzi o zakazanie w majestacie prawa wszystkiego, co jest niezgodne z linią partii. Zawsze można założyć pismo czy zarejestrować agendę o nazwie jednakowej z którąś z instytucji opozycyjnych. Tym samym pozbawia się możliwości działania opozycję. Tym bardziej, że w ustawie nie uwzględnia się prawa pierwszeństwa i nie ma możliwości bronić wartości nazwy, której używała jakaś grupa.

Wprowadzenie ustawy komplikuje więc nam sytuację. Jednakże dzięki tej swoistej formie legalizacji naszego pisma, która nastąpiła jeszcze przed uchwaleniem ustawy na drodze faktów dokonanych, mamy własną drukarnię, polepszyliśmy jakość gazety i nadaliśmy jej bardziej popularną formę.

M.Z.: — *Pośrednio potwierdza więc Pan, że pieriestrojka wam pomogła, przecież bez niej policja polityczna zniszczyłaby gazetę w jeden dzień...*

S.G.: — Od biedy, jeżeli Panu zależy na uznaniu dla *pieriestrojki*, mogę się zgodzić, że odegrała swoją rolę. Tylko nie można zapomnieć, że reformy Gorbaczowa są skutkiem klęski komunizmu w planie politycznym, gospodarczym i militarnym. W momencie katastrofy systemu dalsze rządy w stary sposób — represjami, wyrzucaniem ludzi na emigrację — nie mogło się udać. *Pieriestrojka* jest próbą zamiany reżymu komunistycznego na równie groźny i niedemokratyczny autorytaryzm. To się zresztą już dokonało. Generalny sekretarz został prezydentem, a byłe Biuro Polityczne radą prezydencką. W wielu obwodach sekretarze *obkomów* (komitetów obwodowych) przemienili się w przewodniczących *ispolkomów* (komitetów wykonawczych). Nie zmienił się jednak charakter władzy. Jest jak było, czyli ludzie nie mają nic do powiedzenia. Społeczeństwo nie wywiera wpływu na rządzących. Organy władzy są takie jak poprzednio, tylko nazywają się inaczej. I taki był cel zmian zamierzonych przez Gorbaczowa.

Oczywiste, że władza chciałaby ustabilizować te zmiany i spróbować nowych opakowań dla starego stylu. Jest niezbyt jasne, w jakim stopniu im się to uda. Z drugiej strony nie można zapominać, że autentycznie demokratyczne siły w kraju nie są w rzeczywistości tak znaczące ani tak wpływowe, żeby w sposób decydujący zmienić sytuację polityczną. Nie mam wątpliwości, że większość aktywnych ugrupowań politycznych, które działają obecnie na arenie politycznej, została powołana do życia i zorganizowana przy pomocy KGB. W swojej istocie mają one wewnętrznie totalitarny charakter.

M.Z.: — *Czy nie upraszcza Pan rzeczywistości? Rzucanie tego typu oskarżeń nie budzi zaufania i przypomina typowo komunistyczną obsesję podejrzliwości i patologicznego wietrzenia wszędzie agentów, wrogów etc.*

S.G.: — Zgoda. Też nie lubię atmosfery nieufności, szukania spisków. Nic na to jednak nie mogę poradzić, że większość antykomunistycznych ugrupowań w ZSSR jest ze swojej natury wewnętrznie skomunizowana, zależna od komunistycznej nowomowy, którą się posługują na co dzień. Są repliką systemu z którym walczą, co nie napawa nadzieją...

Prawdopodobnie nie ma innej drogi do prawdziwej demokracji jak przejść przez długi, a może nawet krwawy okres wychowania narodu, zniszczenia w nim przyzwyczajień i nawyków wszczepionych po 1917 roku. To jest w zasadzie jedyna możliwość prawdziwej demokracji. Każda inna propozycja budzi wątpliwości. Cudownego środka nie ma, bo bolszewicka władza zniszczyła społeczeństwo, a struktury społeczne zastąpiła fasadowymi organizacjami partyjnymi bądź policyjnymi.

M.Z.: — *Czy *Głasnost* próbuje się włączyć w grę na szczycie i wykorzystać dla zwiększenia obszaru wolności rozłam wśród establishment'u sowieckiego?*

S.G.: — Przecenia Pan nasze możliwości. Wątpię zresztą, żeby z rozłamu u góry cokolwiek wynikało sensownego dla społeczeństwa. Nie będzie przesadą, jeżeli obecną sytuację w ZSSR w wymiarze konfliktu Jelcyna z Gorbaczowem porównam do hipotetycznie możliwego scenariusza walk w Polsce 1980 roku Jaruzelskiego z Gierkiem, przy założeniu, że nie ma „Solidarności”. W takim wypadku ci wszyscy, którzy po sierpniu opowiedzieli się za ruchem solidarnościowym, poparliby prawdopodobnie Jaruzelskiego i chcieli dopomóc mu w przybliżeniu zwycięstwa nad Gierkiem. I może to by się udało, co jednak nie oznacza, że wygrana generała przybliżyłaby demokrację w Polsce. Rywalizacja Gorbaczowa z Jelcynem (z zastrzeżeniem, że Gorbaczow mało przypomina Gierka) dokładnie odpowiada tej wyobrażonej sytuacji.

Nie można zresztą zapomnieć, że Jelcyn jest nie tylko przywódcą populistycznym. Cieszy się również poparciem wojska, które aktywnie jest po jego stronie. To kolejny dowód, żeby obawiać się o naszą przyszłość.

M.Z.: — *Na razie głębsze niebezpieczeństwo zagraża chyba jednak społeczeństwu ze strony przebudzonych narodów, które pochło-*

nięte są walką z innymi, mniej bądź bardziej rzeczywistymi wrogami...

S.G.: — Każdy naród ma prawo do samodzielności. Wszyscy powinniśmy bronić tych dążeń za wszelką cenę. Problem jednak w tym, że osiągnięcie niezależności często pociąga za sobą negatywne konsekwencje dla tych nacji, które o nią walczyły...

Na terenie Związku Sowieckiego mamy przecież takie regiony jak np. Azja Środkowa, gdzie stare tradycje feudalne sprzed 70-ciu lat zostały zakonserwowane, a nawet wzmocnione skutkami wcielenia tych państw do systemu komunistycznego. Obecna walka o wolność w gruncie rzeczy jest tam próbą powrotu do czystych struktur feudalnych. Spod haaseł i pięknych zdań o uniezależnieniu się od centrali wygląda smutna prawda: na miejsce sekretarza partii przyjdzie do władzy lokalny szef. Tego typu ruchy nie zawsze mogą nas jako demokratów cieszyć, chociaż z drugiej strony są również groźne dla władzy komunistycznej. W każdym razie to od nich w znacznym stopniu zależy przyszła sytuacja w kraju.

Jedno jest pewne. Niełatwo wierzyć, że w Rosji zwyciężą siły demokratyczne.

M.Z.: — *Kogo należy więc w tej sytuacji podtrzymywać? Jaką partię polityczną, które ugrupowanie?*

S.G.: — Nie można powiedzieć, że *Glasnost* popiera którąś z licznych partii politycznych w Związku Sowieckim. Staramy się raczej zwracać uwagę na ludzi, których darzymy zaufaniem. Są oni w różnych, często wrogich sobie ugrupowaniach i zajmują postawę podobną do naszej. Najbliższa jest nam na pewno część Związku Demokratycznego, a także kilku posłów w rodzaju Starowojtowej. Można też mówić o zbieżności z lotewskimi politykami. Trudno jednak o całkowitą jedność poglądów. *Glasnost* jest poza partiami.

Na razie wciąż zresztą brakuje prawdziwego życia politycznego. Partie są w załężku. Może dlatego, że i u nas w Związku Sowieckim i w Europie Wschodniej nastąpił przewrót z góry, inspirowany przez KGB. Najlepiej się udał w samej centrali, w ZSSR, gdzie większość społeczeństwa wciąż nie rozumie, przez kogo i w jakim celu został przeprowadzony.

W innych krajach, jak w dawnej NRD, plan spalił na panewce. To już jednak zasługa Niemców z Zachodu, ich pieniądze, ich dalekowzroczności politycznej. A także skutek słabości wewnętrznej i postępującego rozpadu struktur imperialnych ZSSR. W Polsce wpływy Kremla są jednak nadal duże, a

polityka zagraniczna i wewnętrzna rządu nie odpowiada aspiracjom społecznym Polaków. Za to realizuje schemat przewrotu od góry. Temu się sprzeciwiamy, bo *Glasnost* nie ma zamiaru wstąpić na służbę KGB. Chcemy walczyć o wolność bez pomocy wyspecjalizowanych służb. Sami.

Rozmawiał Marek ZIELIŃSKI

Japońska wizja lat 90-tych

Według pobieżnych obliczeń ekspertów, dobra inwestycyjne Japonii za granicą mogą osiągnąć do r. 1995 wartość 500 miliardów dolarów, czyniąc z niej największego dyspensora kapitału wszystkich czasów. Jeszcze żaden z wysoko uprzemysłowionych krajów w dziejach nowożytnych nie stał się tak bogaty w tak krótkim czasie, a równocześnie tak zależny od świata zewnętrznego dla swego rozwoju i bezpieczeństwa, jak właśnie Japonia. Pomimo ciągle rosnącego, pośredniego wpływu Japonii na nasze życie, nasza wiedza o tym kraju pozostaje nadal w sferze szablonowych uproszczeń. Dla przeciętnej Europejczyka czy Amerykanina, „fenomen japoński” jest wciąż trudnym orzechem do rozłuskania, z całym wachlarzem paradoksów i przedziwnych kontrastów.

Niemniej tak nieuchwytna i trudna do zrozumienia Japonia zdołała wytworzyć, już po raz drugi w swej najnowszej historii, model najbardziej sprawnie funkcjonującej gospodarki, sięgając dziś, z coraz większą pewnością siebie, po ster wielkiej polityki finansowej w świecie. Do osiągnięcia takiego sukcesu nie było trzeba w rzeczywistości żadnych wielkich cudów. Japonię w sposób zasadniczy odróżnia od krajów zachodnich wysoki odsetek oszczędnościowy z dochodów ludności, obliczany dla potencjału inwestycyjnego gospodarki japońskiej. Z kolei stabilna, sprzyjająca inwestycjom struktura finansowa tej gospodarki stanowi idealny grunt dla długofalowego sterowania (nie mylić z „planowaniem”) gospodarką w pożądanym dla interesu narodowego kierunku. Począwszy od r. 1960, japońskie Ministerstwo Przemysłu i Handlu z Zagranicą (MITI) ogłasza co dziesięć lat program długofalowej polityki przemysłowej na całą dekadę, lecz określenie tych programów jako „polityki rządowej” jest niezupełnie ścisłe. Chodzi tu bowiem o zlecenia dla MITI przygotowywane przez japońską Radę Struktur Przemysłowych, złożoną z ok. 200 ekspertów ze wszystkich środowisk gospodarczo-przemysłowych i naukowych Japonii. Program na lata 60-te postulował rozwój przemysłów ciężkich, na lata 70-te tzw.

„przemysłów wieszko-chłonnych” (informatyka, komputery itp.), a dla minionej dekady lat 80-tych rozwój własnych, oryginalnych technologii. Zarys nowej polityki gospodarczo-przemysłowej na bieżącą dekadę został pierwszy raz przedstawiony w Tokio równoległe z lipcowym szczytem „wielkiej siódemki” w Houston. Zbieżność nie przypadkowa, gdyż pierwszy raz w swej historii dalekosiężne plany Tokio obejmują również wyraźne wątki polityki zagranicznej, czyli miejsce i rolę Japonii w świecie po-zimnowojennym, post-komunistycznym. Pełny tekst tego programu został niedawno ogłoszony pod wymownym tytułem „Wytwarzanie ludzkich wartości w erze globalizmu — japońska wizja lat 90-tych¹”. Nowy, ambitny program japoński jest w swej istocie swoistą deklaracją polityczną, określającą przyszłe ukierunkowanie olbrzymiego awansu gospodarczo-technologicznego Japonii tak wobec świata, jak własnego narodu. Składają się na niego trzy zasadnicze cele wytyczne:

1. Wkład Japonii dla społeczności międzynarodowej, oraz reforma jej systemu wewnątrzpolitycznego;
2. Zmiany polityki gospodarczej dla podniesienia ogólnej jakości życia ludności;
3. Wyznaczenie trwałych fundamentów dla długofalowego rozwoju przemysłowego kraju.

Nie ulega wątpliwości, iż politycznie najważniejsze są wytyczne zawarte w punkcie pierwszym, kładące potrzebę reform wewnętrznych na równi z polityką zagraniczną. Japonia, z tytułu swej potęgi gospodarczej, już od dawna poszukuje właściwych dróg do odegrania większej roli mocarstwa o zasięgu globalnym, Japonia musi stać się nosicielem pewnych wartości i norm świata zachodniego. Chęć zmian w tym kierunku odzwierciedla tu już długoletnią krytykę ze strony polityków zachodnich istniejącego systemu politycznego, formalnie opartego na modelu zachodnim (USA), lecz w praktyce funkcjonującego w oparciu o specyficznie japoński system horyzontalnych powiązań, w którym brak jednoczącego centra politycznego, z ostateczną odpowiedzialnością za powzięte decyzje. Na wewnątrz „system” ten pracuje doskonale, lecz zawodzi całkowicie w zetknięciu ze światem zewnętrznym, będąc główną przyczyną nieporozumień i tarć². Naświetlając sprawę przyszłej roli międzynarodowej Japonii, prezydent wpływowej Japan Economic Foundation S. Akazawa zwrócił uwagę na dotychczasowe nadużywanie terminu „mocarstwo gospodarcze” w odniesieniu do Japonii. Waga i prestiż międzynarodowy nie mieszczą się tylko w wymiarach gospodar-

1. 1990 *Nendai no Kokusai Boeiki to Sangyo Seisaku (International Trade and Industrial Policy — Vision for the 1990s)* MITI, Tokio). Obszerne omówienie na łamach *Journal of Japanese Trade and Industry*, Japan Economic Foundation, Tokio.

2. Sprawy nieuchwytności „systemu” japońskiego oraz problemy „państwowości” japońskiej są w sposób wnikliwy i przejrzysty przedstawione w głośnej książce Karel Van Wolferena *The Enigma of Japanese Power*, Macmillan, 1989.

czych, lecz również w atrakcyjności kulturowo-cywilizacyjnej, polityce, dyplomacji. Japonia nie będzie nigdy prawdziwym mocarstwem, zdolnym do odegrania kierowniczej roli w świecie, dopóki jej polityka zagraniczna będzie nadal wykładnią głównie sytuacji wewnątrzpolitycznej. Stąd też paląca konieczność gruntownych zmian całego systemu politycznego, nie tylko na wzór, lecz i w duchu tradycji zachodnich.

Odnosnie konkretnych planów i propozycji wkładu Japonii dla świata, ograniczę się tylko do przedstawienia najważniejszych punktów, dotyczących również Europy środkowo-wschodniej. W pierwszym rzędzie chodzi tu o deklarację maksymalnego zaangażowania Japonii w udoskonalenie systemu i reguł wolnego handlu, w ramach obecnej i następnych rund GATT, z planami jak najszybszego włączenia do tych rozmów również Polski i innych krajów Europy Środkowej. Osobny punkt (Nr 6) deklaruje „aktywny udział i maksymalne wsparcie Japonii dla reform gospodarczych i wolnorynkowych w krajach Europy Środkowej”. Inne ważne punkty dotyczą jeszcze większego zaangażowania Japonii w globalne sprawy ochrony środowiska i transferu technologii oraz znacznego zwiększenia funduszy pomocy rozwojowej (ODA) dla wszystkich rejonów i krajów pretendujących do takiej pomocy.

Niezmiernie ważny jest trzeci, ostatni cel wytyczny, dotyczący spraw polityki przemysłowej we właściwym tego słowa znaczeniu. Zakłada on rozległe badania nowych gałęzi przemysłowych, w kierunku lepszego wykorzystania i dystrybucji kapitału, rynków i zasobów ludzkich. Najważniejszym składnikiem tej części programu, o doniosłym znaczeniu dla stosunków gospodarczych z zagranicą, jest ponowne podkreślenie *przemysłów wytwórczych*, tzn. ich kluczowego znaczenia dla rozwoju technologicznego i dalszego wzrostu gospodarczego. Jest to więc definitywny powrót do tradycji założeń japońskiej polityki przemysłowej, a odrzucenie koncepcji usługowo-finansowych (ang. *service industries*), z którymi Japonia krótko flirtowała w połowie lat 80-tych. Prawie wyłącznie, ślepe stawianie na rozwój sektorów usługowych jest główną przyczyną, zdaniem ekspertów japońskich, postępującego upadku gospodarczego krajów anglosaskich (USA, W. Brytania).

Co oznacza więc, czy też jakie wnioski można by wyciągnąć z naszkicowanej tu nowej polityki gospodarczo-przemysłowej Japonii?

Po prawie 45-ciu latach stagnacji na tle konfliktu zimnowojennego świat wchodzi powoli w zupełnie nowy układ stosunków międzynarodowych, w których dotychczasowe parametry statusu politycznego mocarstw będą ulegały gwałtownym przemianom. Wchodzimy w okres, w którym układy aliansów wojskowych będą coraz bardziej traciły na znaczeniu. Stopniowo nie potencjał militarny, lecz gospodarczy stanie się głównym miernikiem siły i prestiżu politycznego danego mocarstwa. Jest tylko kwestią czasu, kiedy stosunek „protektor-protegowany” między USA a Japonią zmieni się na autentycznie partnerski (to samo zresztą dotyczy stosunku USA do

Niemiec w Europie). W nowej sytuacji układów partnerskich, konflikty i starcia gospodarczo-handlowe z okresu zimnowojennego prawdopodobnie ulegną jeszcze większemu zaostrzeniu, z czego dobrze zdają sobie sprawę sternicy gospodarki japońskiej. Konieczność utrzymania jako tako harmonijnych stosunków z USA w przyszłości leży więc u podłoża planowanych w Tokio zmian własnego systemu wewnątrzpolitycznego na bieżącą dekadę.

Chęć większego zbliżenia politycznego z Zachodem nie oznacza jednak, że Tokio jest gotowe do finansowania w nieskończoność deficytu budżetowego USA. W tym sensie nowy nacisk na przemysł wytwórcze, tradycyjną „manufakturę”, w której Japonia już osiągnęła szczyty doskonałości (robotyzacja), a którą pragnie rozwinąć do nowych wyżyn „sztuki technologicznej”, jest decyzją nie tylko o doniosłym znaczeniu gospodarczym, lecz również politycznym. Ma ona również istotne znaczenie dla ambitnych planów japońskich uprzemysłowienia krajów rozwijających się, czy też korzystających w taki czy inny sposób z japońskiej pomocy rozwojowej, a więc dla przyszłego ukierunkowania japońskich inwestycji w świecie. Taki jest główny sens japońskiej wizji swej roli i wkładu dla świata w latach 90-tych.

Janusz MONDRY

Niebezpieczny zakręt w stosunkach polsko-niemieckich

Niedawno jeszcze mogło się zdawać, że napięcia narodowościowe na Śląsku Opolskim ulegają złagodzeniu. Okazuje się jednak, że była to cisza przed burzą. Wysiłki emisariuszy Związku Wypędzonych (BdV) i Wspólnoty Roboczej d/s Łamania Praw Człowieka w Europie Wschodniej, czyt. w Polsce (AGMO) nie poszły na marne. Wypowiedzi przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Polsce dla prasy i telewizji niemieckiej są coraz bardziej agresywne i antypolskie. Błędem byłoby jednak obarczanie pełną odpowiedzialnością tej grupy ludności, która przez ponad cztery dziesięciolecia była traktowana w Polsce z jawną wrogością lub z lekceważeniem. Uzasadniona nieufność Niemców polskich do Polski jest podsycana przez działaczy ziomkowskich i wykorzystywana dla ich celów politycznych.

25 października, tuż przed pierwszą rundą rozmów polsko-niemieckich w sprawach traktatu granicznego i umowy o wszech-

stronnej współpracy, Związek Wypędzonych korzystając z obecności w Bonn zaproszonej przez siebie już dawno delegacji Rady Naczelnej Stowarzyszeń Mniejszości Niemieckiej w RP, zorganizował konferencję prasową, podczas której ogłosił w imieniu mniejszości „Żądania Niemców w Rzeczypospolitej Polskiej”. Jest to dokument, który został opracowany przez BdV, a nie przez mniejszość w Polsce, która nieco wcześniej przygotowała zupełnie inny, wręczony następnie w ambasadzie niemieckiej w Warszawie ambasadorowi Republiki Federalnej, panu Knackstaedtowi, oraz polskiemu wiceministrowi kultury, panu Starczewskiemu, odpowiedzialnemu za sprawy mniejszości narodowych w rządzie polskim. Postanowiono wspólnie, że dokument warszawski będzie jeszcze przez jakiś czas traktowany poufnie. O dokumencie warszawskim mówił sekretarz generalny Rady Niemców w Polsce, Dietmar Brehmer, w wywiadach dla stacji radiowych Westdeutscher Rundfunk i Deutschlandfunk. Całej sprawy nie można wyjaśnić inaczej, jak ogromnym wpływem Związku Wypędzonych na Niemców, żyjących w Polsce. Wpływ ten sięga tak daleko, że większość Rady Niemców w Polsce gotowa była złamać słowo i wystawić się na pośmiewisko, aby tylko nie zawieść pana Koschyka i jego kompanów.

Analiza żądań mniejszości pod adresem rządu polskiego może prowadzić do wniosku, że grupa ta zdecydowała się na całkowite wypowiedzenie lojalności Polsce. Rada Naczelna uważa, że głównym jej zadaniem jest obecnie wywalczenie pełnych praw człowieka i praw grupowych dla Niemców poprzez przygotowywany układ niemiecko-polski. Wynika z tego, że Niemcy dążą do uzyskania większych praw, niż posiadają inni obywatele państwa polskiego. To zresztą tylko wstęp. Niemal każdy z szesnastu punktów dokumentu stanowi prowokację pod adresem strony polskiej. Niemcy według tego opracowania żądają m.in. przyznania im gwarancji praw kolektywnych i własnej konstytucji (*eigene Staatsgrundrechte*) która — można się domyślać — byłaby różna od konstytucji polskiej. Następnie domagają się prawa do ojczyzny nie tylko dla jednostki, lecz także dla grupy. Oznacza to ni mniej ni więcej, tylko żądanie wyłączenia zamieszkałych przez nich terenów spod suwerenności państwa polskiego. Domagają się samorządu w zakresie kultury, języka i religii. Jeśli o Kościół idzie, to praktycznie oznacza to, że biskupom Nossolowi i Zimoniowi odmawiają oni *auctoritatis territorialis*. Raz już ziomkowie z Niemiec przywieźli do Lubowic „własnych księży” na uroczystość z udziałem szefów BdV. Żądanie to stanowi próbę zniszczenia ostatniego na Śląsku aurytetu, integrującego niemal wszystkich mieszkańców, jakim jest Kościół katolicki. Ponadto Niemcy w Polsce żądają samorządności gospodarczej, społecznej i fiskalnej, co sprowadza się m.in.

do nieplacenia podatków państwu polskiemu. Następny punkt zawiera żądanie zakazu asymilacji, i to nie tylko przymusowej, jakiej Niemcy zostali poddani w okresie stalinowskim, lecz także poprzez poczynania o charakterze gospodarczym, kulturalnym, administracyjnym, społecznym i jakimkolwiek innym. Można to zrozumieć tylko jako żądanie pełnej izolacji — polskie przedsiębiorstwa, teatry, szkoły i urzędy na terenach zamieszkałych przez mniejszość musiałyby zostać zamknięte i zakazane. Mniejszość domaga się także prawa tworzenia własnych partii, albo „stosownego udziału w istniejących partiach”. Domaga się więc parytetu we władzach partii politycznych w Polsce (!!!).

Są także punkty, które nie budzą wątpliwości, ponieważ spełnienie zawartych w nich żądań zgodne jest z prawem międzynarodowym. Przedstawiciele mniejszości istotnie powinni mieć dostęp do wszelkich urzędów państwowych, powinni także mieć swoich przedstawicieli w parlamencie. Wolno im także brać udział w zwalczaniu zanieczyszczenia środowiska naturalnego, co proponują w bońskim dokumencie. Nie mogą być naturalnie wyłączeni z planowanej polsko-niemieckiej współpracy regionalnej.

Inne żądania jednak są wyjątkowo wyzywające. Otóż Związek Wypędzonych, pewny swojego wpływu na większość działaczy mniejszości, żąda przez ogłoszony w jej imieniu dokument usunięcia wszelkich przeszkód (*keine Behinderung*) we współpracy organizacji niemieckich w Polsce z organizacjami wypędzonych. Biorąc pod uwagę to, co działacze BdV robią na Śląsku Opolskim, biorąc pod uwagę podsycanie przez nich napięć narodowościowych, umacnianie nienawiści do Polski i Polaków, wmańnianie Niemcom opolskim że uznanie granicy na Odrze i Nysie stanowi zdradę ich interesów przez rząd kanclerza Kohla i wicekanclerza Genschera, jest to żądanie wpuszczenia podpalaczy do domu.

Także ostatni punkt postulatów, domagający się wykonywania obowiązku ochrony członków mniejszości niemieckiej w Polsce przez rząd Republiki Federalnej, stanowi jawne wypowiedzenie posłuszeństwa rządowi polskiemu. Państwo niemieckie odpowiedzialne jest za Polaków żyjących w Niemczech. Niemcy w Polsce żądają, by rozszerzyło tę odpowiedzialność na obywateli polskich narodowości niemieckiej, co stanowi zamach na suwerenność Polski.

Cała ta sprawa jest jedną wielką prowokacją, i to nie tylko pod adresem rządu polskiego, lecz także niemieckiego. Skoro bowiem kanclerz Kohl przekazał premierowi Mazowieckiemu znak pokoju w Krzyżowej, skoro uznana zostaje granica pomiędzy obydwojma państwami, skoro przygotowywany jest układ o wszechstronnej współpracy, to wypowiedzenie przez Niemców żyjących w Polsce lojalności wobec państwa polskiego i domaga-

nie się przez nich faktycznego wyłączenia zamieszkałych przez nich terenów spod suwerenności państwa polskiego godzi dotkliwie w interesy obydwojma państw i narodów.

W wywiadzie dla radia Deutsche Welle jeden z bardziej „nieugiętych” w Radzie Niemców w Polsce, Fryderyk Sikora, poczuł się zobligowany do zaprzeczenia, jakoby mniejszość domagała się autonomii. Kłóci się to z niemal wszystkimi punktami dokumentu, ogłoszonego w imieniu Rady w Bonn. Jej sekretarz generalny, Dietmar Brehmer, wielokrotnie podkreślał, że mniejszość niemiecka w Polsce chce włączyć się do odbudowy Polski na zasadzie lojalnych obywateli państwa polskiego. Korzystając jednak z niedoświadczenia politycznego znacznej części Rady oraz mniejszości w Polsce, Związek Wypędzonych manipuluje nią, wciąga ją w niewyraźne układy, będąc praktycznie jedyną organizacją polityczną w Niemczech, która w ogóle interesuje się mniejszością i posiadając przy tym środki finansowe, przyznawane corocznie przez rząd federalny. Związek Wypędzonych perfidnie wykorzystuje zrozumiałe urazy Niemców żyjących w Polsce, pchając ich w stronę konfrontacji.

Sytuacja jest niebezpieczna i może doprowadzić do destabilizacji nie tylko na Opolszczyźnie, lecz w stosunkach polsko-niemieckich w ogóle. W ostatnim numerze pisma *Deutscher Ostdienst*, wyrażającego opinie BdV, sekretarz stanu w federalnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Franz Kroppenstedt, powiedział, że Związek Wypędzonych realizuje linię rządu federalnego w stosunku do mniejszości niemieckiej w Polsce. Komu więc wierzyć: kanclerzowi, czy jego urzędnikom?

O ile zamiary pojednania między Niemcami i Polakami oraz wypowiedziane wielokrotnie przez kanclerza Kohla i innych polityków niemieckich słowa o ukształtowaniu przyjaznych stosunków między obydwojma państwami mają być traktowane poważnie, to konieczne jest usunięcie czynników zakłócających. Związek Wypędzonych, którego sekretarz generalny, Koschyk, powiedział że nie pogodził się z uznaniem granicy i aż do czasu ratyfikacji traktatu granicznego będzie dążył do przekształcenia Górnego Śląska w region eksterytorialny pod kontrolą europejską, przeszedł do ofensywy, godząc się, a może nawet zakładając doprowadzenie do wybuchu niepokojów na Opolszczyźnie i zgłaszając prowokacyjne żądania pod adresem Polski. Publikowane w gazetach, w radiu i telewizji niemieckiej materiały na temat rosnących nastrojów nacjonalistycznych i antypolskich, a po części nazistowskich wśród Niemców w Polsce świadczą o powodzeniu szeptanej polityki BdV, połączonej z pompowaniem bońskich pieniędzy na działalność mniejszości. Dokument ogłoszony w Bonn stanowi kolejny etap ataku. Pozostało niewiele czasu do zawarcia układu, więc BdV gotowy jest zaostrzać sytua-

cję aż do punktu, w którym normalizujące się stosunki polsko-niemieckie staną się niemożliwe do utrzymania.

W związku z tym, że działalność Związku Wypędzonych jest skierowana przeciw integralności terytorialnej Polski, a równocześnie zagraża stosunkom zagranicznym Republiki Federalnej, spełnia ona wszelkie kryteria niezgodności konstytucyjnej w obydwu krajach. Czas, żeby rządy i parlamenty obydwu krajów przestały chować głowę w piasek i wyciągnęły z tego odpowiednie wnioski, podejmując konieczne środki prawne.

Mettmann, 6.11.1990

Stanisław BIENIASZ

P.S. Jak dowiedziałem się już po napisaniu tego artykułu, w niedzielę 4 listopada 1990 na posiedzeniu we Wrocławiu, naprędce zwołanym wypróbowaną stalinowską metodą pod nieobecność przewodniczącego, Dietmara Brehmera, Rada Niemców w Polsce pozbawiła go funkcji. Interesy bońskiego Związku Wypędzonych przeważały nad zdrowym rozsądkiem i politycznym instynktem samozachowawczym.

OD REDAKCJI

W związku z artykułami Stanisława Bieniasza informujemy, że tekst pt. „O autonomię dla Górnego Śląska” opublikowany w Kulturze w numerze 11/518 został napisany w maju 1990 r., a tekst pt. „Regionalizacja i federalizacja” (nr 10/517) na początku września 1990 r.

Wywiady „Kultury”

Polska w UNESCO

ROZMOWA Z MINISTREM PEŁNOMOCNYM R.P.
PRZY UNESCO, WŁADYSŁAWEM NENEMANEM

MARIA DE HERNANDEZ-PALUCH: — *Od kiedy pełni Pan funkcję ministra pełnomocnego R.P. przy UNESCO?*

WŁADYSŁAW NENEMAN: — *Stałym przedstawicielem R.P. przy UNESCO jestem od ponad roku. Czyli moja nominacja podpisana była przez poprzedniego ministra spraw zagranicznych.*

M.H.-P.: — *Na czym polegała działalność Polski w UNESCO w ostatnich latach?*

W.N.: — *Zanim odpowiem na to pytanie — parę słów na temat tego, co to w ogóle jest UNESCO. Otóż istnieje system organizacji ONZ. Jest ich dwadzieścia kilka. UNESCO jest jedną z nich, podobną do FAO w Rzymie, która zajmuje się rolnictwem. Po prostu są to instytucje, gdzie wszystkie kraje świata, lub ich większość, współpracują w jakiejś dziedzinie. Rodzaj klubu państw. Działalność UNESCO obejmuje cztery dziedziny: edukację, naukę, kulturę i komunikowanie. Sprawy podstawową jest to, czym ma być tego typu organizacja? I tutaj walczą ze sobą dwie różne koncepcje. Pierwsza: UNESCO powinno być centrum intelektualnym świata, gdzie powinna następować wymiana myśli i idei, interesujących całą ludzkość. I druga, że UNESCO powinno być, przede wszystkim, źródłem pomocy dla krajów, które tej pomocy potrzebują. W praktyce UNESCO próbuje łączyć te dwie koncepcje. Liczne rezolucje przy-*

pominają o obowiązku pomagania najbiedniejszym krajom. Pamiętać jednak należy, że roczny budżet UNESCO wynosi 190 milionów dolarów, z czego większość przeznaczona jest na utrzymanie około dwóch tysięcy urzędników. A to, co zostaje, niewielkie kwoty, przeznaczane jest na tak podstawowe problemy, jak walka z analfabetyzmem. Na to pieniędzy dla Polski nie dostaniemy.

M.H.-P.: — *A na co możemy dostać?*

W.N.: — Od czego zacząć, od tego co przeliczalne, czy od nieprzeliczalnego?

M.H.-P.: — *Od nieprzeliczalnego.*

W.N.: — UNESCO zajmuje się sprawą, która nazywa się *The World Heritage* (Dziedzictwo światowe). Jest nawet specjalna konwencja o ochronie dziedzictwa światowego. UNESCO po prostu prowadzi spis takich wartości kulturalnych, historycznych, które są częścią dziedzictwa światowego. Obiekty te podlegają szczególnej ochronie. Na liście tej, jak do tej pory, zdołaliśmy umieścić zespół staromiejski Warszawy i Krakowa, Puszcę Białowieską oraz Wieliczkę, ponad 1000-letnią kopalnię, która się sypie. W tej chwili zabiegamy o wprowadzenie na tę listę zespołu staromiejskiego w Zamościu i Klasztoru Jasnogórskiego.

M.H.-P.: — *Co to daje poza wrysowaniem się w mapę światowego dziedzictwa?*

W.N.: — Podam konkretny przykład: Wieliczka. Po wpisaniu jej na listę światowego dziedzictwa złożyliśmy wniosek o to, by uznać ją za światowe dziedzictwo w zagrożeniu. Przeszło to po wielu zabiegach dyplomatycznych. Potem zespół ekspertów ocenił sytuację kopalni soli. A następnie wydana została decyzja, w efekcie której Polska dostanie 45 tysięcy dolarów na pomoc w zakupie, zwłaszcza aparatury pomiarowej. Chodzi przede wszystkim o mierzenie wilgotności, nasycenia wodą — co wpływa na to, że kopalnia się sypie. Do roku 2000 mamy dostać 375 tysięcy dolarów na pomoc kopalni w Wieliczce.

M.H.-P.: — *Czy to jest jedyna pomoc tego rodzaju?*

W.N.: — Przede wszystkim przypominam pani, że UNESCO to centrum intelektualne. W związku z tym jesteśmy częścią te-

go, co się w tej chwili dzieje na świecie. Jeśli UNESCO robi np. spotkanie międzynarodowe na temat stosowania maszyn komputerowych w oświacie... Bierzymy w tym udział. Otrzymujemy literaturę i uczymy się, jak stosować komputery w procesie nauczania. Od UNESCO otrzymujemy zespoły, czy pakiety komputerowe. Są to takie dyski, którymi można też posługiwać się i w administracji.

M.H.-P.: — *Ale przecież do tego musi być sprzęt?*

W.N.: — Te dyski pasują do większości zespołów komputerowych. Wprowadza nas to po prostu na poziom istniejący w tej dziedzinie na świecie. Mamy też obecnie np. propozycję, żeby w Polsce stworzyć Centrum Biologii Molekularnej i Komórki własnie przy pomocy UNESCO. Itd., itd... UNESCO włączyło się też w proces rozwoju wolnej prasy w krajach Europy Wschodniej. W tym roku odbyło się, w tym gmachu, spotkanie wydawców i redaktorów prasy Wschodu i Zachodu. Przedmiotem było to, jak rozwinąć wolną prasę we wschodniej części Europy. Polskę reprezentowało 9 osób. Realnym efektem tego spotkania jest to, że Polska otrzymała *placet* na założenie w Warszawie ośrodka kształcenia dziennikarzy z Europy Wschodniej. Ma on być dofinansowywany przez UNESCO. Ponadto mamy otrzymać pomoc od różnych organizacji międzynarodowych. Zajmuje się tym Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

M.H.-P.: — *Nie zawsze tak bywało, że UNESCO popierało wolność prasy.*

W.N.: — Była to jedna z kontrowersyjnych spraw UNESCO, właśnie owa kwestia stosunku do swobody i przepływu informacji. Działo się tak na skutek presji Związku Sowieckiego oraz innych krajów bloku wschodniego, a także tzw. krajów rozwijających się, zwłaszcza tych z systemami jednopartyjnymi czy wojskowymi. Tendencja wówczas była taka, że informacja winna być zbalansowana.

M.H.-P.: — *Czyli, że prasa nie powinna być wolna?*

W.N.: — Tak. Dopiero ostatnio zdołaliśmy ten sposób myślenia zmienić. W tej chwili UNESCO uznaje pełną swobodę informacji. Podaję pani tylko nieliczne przykłady, bo niemożliwe jest pomieszczenie wszystkiego w krótkim wywiadzie. Chciałbym się jeszcze w pewnym sensie pochwalić ubiegłorocznym festiwalem

muzyki XX wieku. Zdołaliśmy zaprezentować Wielką Orkiestrę Polskiego Radia i TV z Katowic. Została specjalnie sprowadzona na ten jeden koncert. Nie na koszt UNESCO, ale jednej z fundacji kulturalnych. Obecnie odbywa się dekada kultury, zorganizowana przez UNESCO. Polska jest członkiem komitetu międzynarodowego do tej sprawy. Co robimy? Podam przykład. Polska znana jest z Biennale Plakatu. W jego ramach zorganizowaliśmy konkurs na plakat o celach światowej dekady kultury. Dostaliśmy od UNESCO 10 tysięcy dolarów — w tym nagroda za najlepszy plakat. W ramach tejże dekady polscy artyści zaprojektowali i odlali medal, który UNESCO wręczać będzie tym krajom, które zrobią coś ciekawego w dziedzinie kultury. UNESCO wydaje miesięcznik, który obiega cały świat, *The UNESCO Courier*. We wrześniowym numerze na stronie 34 jest artykuł Karola Jakubowicza pt. „*Eastern Europe — Turning a New Page*”, czyli rzecz o nowej prasie w Polsce. Ważne jest, żeby w takim miesięczniku zaistnieć. To pozwala na nawiązanie rozmaitych kontaktów.

M.H.-P.: — *Wcześniej nie mógłby pan optować za wolnością prasy. I zapewne nie robił tego pański poprzednik?*

W.N.: — Przypuszczam, że nie. Prawdziwe możliwości otworzyły się dopiero teraz. Oczywiście jest, że przedstawiciel rządu musi reprezentować rząd. Nie ma prawa mówić tego, co sam wymyśli. Tak jest na całym świecie. Rzecz polega na tym, że tzw. dyplomacja wielostronna jest swojego rodzaju zawodem. Trzeba się umieć w tych wielostronnych organizacjach poruszać i reprezentować w sposób możliwie umiejętny politykę swojego rządu.

M.H.-P.: — *To znaczy, że przed objęciem stanowiska przeszedł pan przeszkolenie?*

W.N.: — Kiedyś byłem członkiem stałego przedstawicielstwa Polski przy ONZ w Nowym Jorku (4 lata). Potem byłem dyrektorem Biura Stosunków Zewnętrznych UNESCO — to znaczy organizacji zajmującej się ochroną środowiska, z siedzibą w Nairobi. Wróciłem i byłem zastępcą dyrektora departamentu organizacji międzynarodowych w Warszawie. Czyli cały czas działałem w dyplomacji wielostronnej. Całe moje życie zawodowe związane jest z tego typu działalnością.

M.H.-P.: — *Czy nowy rząd docenia pańską pracę, czy też ma zastrzeżenia do pana, mianowanego przez rząd miniony?*

W.N.: — Do tej pory nic mi na ten temat nie mówiono. Robię swoje. Staram się robić to, co uważam za dobre dla Polski. Każdy rząd po jakimś czasie orientuje się, że machina rządowa potrzebuje ludzi, którzy znają języki oraz technikę pracy. Nie pozbywa się bez powodu ludzi, którzy potrafią pracować.

M.H.-P.: — *Fachowców — chciał pan powiedzieć?*

W.N.: — Pozbyć się łatwo, ale zastąpić trudno.

M.H.-P.: — *Pan był w partii?*

W.N.: — Byłem.

M.H.-P.: — *Teraz nie ma tej partii.*

W.N.: — I nie jestem partyjnym.

M.H.-P.: — *Po tym wątku zawodowo-osobistym wróćmy jeszcze do tego, co Pan w UNESCO może dla Polski załatwić?*

W.N.: — Polska, jak mówiłem, cały czas korzystała, w odpowiednich proporcjach, z pomocy UNESCO. Przypominam, że UNESCO ma obowiązek pomagać krajom najmniej rozwiniętym, gdzie dochód na głowę mieszkańca jest ośmiokrotnie niższy niż w Polsce. Sposób działania UNESCO polega na tym, że co dwa lata składa się zapotrzebowania na pomoc konieczną danemu krajowi. Za mojej kadencji zdołaliśmy ten program pomocy podwoić. Mamy już zatwierdzonych kilka pomysłów, czy spraw.

M.H.-P.: — *Może jeszcze parę przykładów?*

W.N.: — Najciekawszy wydaje mi się pomysł stworzenia Centrum Międzynarodowego Konserwatorów Zabytków w Krakowie. Drugie: dostaliśmy też pomoc na stworzenie centrum nauczania języków obcych. Chcemy doprowadzić do masowego nauczania języka angielskiego. Pomoc ta jest niewielka, ale od czegoś trzeba zacząć. Trzecia sprawa: ekwipunek dla zautomatyzowania działalności Biblioteki Narodowej w Warszawie. To nie cały ekwipunek, ale te elementy, których nie mamy, a które są potrzebne, aby wprowadzić automatykę do katalogów. Nie mogę wymienić wszystkich przykładów i dowodów pomocy UNESCO. Może jeszcze tylko to, że dostaliśmy pomoc finansową na

zorganizowanie w Polsce Europejskiej Konferencji Matematyków oraz Trzeciej Światowej Konferencji Ekologicznej. Z grubsza biorąc to są te konkrety. Poza tym przy pomocy UNESCO wyjeżdża też w świat sporo stypendystów. Dorzucę jeszcze to, że w Warszawie ma się odbyć ogólnoeuropejskie spotkanie „Teatr Europejski w nowych warunkach”. UNESCO nosi się też z zamiarem stworzenia Ogólnoeuropejskiego Uniwersytetu. Nie ma w zasadzie jednego gmachu w jednym miejscu. Ma to pozwolić na znacznie żywszą wymianę myśli, profesorów, studentów, literatury. Jednym słowem powrót do tego co było, powrót do korzeni. Z wykształcenia jestem historykiem literatury i czuję to znakomicie.

M.H.-P.: — *Zadam więc panu pytanie, jako człowiekowi wykształconemu literacko. Czy nie widzi pan jakichś możliwości sfinansowania przez UNESCO wydania kilku słowników, których tak brakuje ludziom nauki. Nie ma, podaję przykładowo, słownika polsko-litewskiego, polsko-ukraińskiego etc.*

W.N.: — Proszę pani, trzeba znać technikę pracy UNESCO. Nie zaopatruje ono bibliotek Czadu, Sierra Leone, a tym bardziej nie może Polski. Powstałby krzyk: dlaczego niby Polska? Już w tej chwili mamy wyraźny opór krajów rozwijających się przeciwko angażowaniu się UNESCO w Europie. Argument czołowy, że to bogaty kontynent i niech sobie sam daje radę. Bo to oni są biedni i pomoc UNESCO ma iść do nich. Jeszcze raz przypominam, że UNESCO ma niewiele pieniędzy i nie jest w stanie robić takich rzeczy. Może natomiast kontaktować z pośrednikami i z fundacjami...

Rozmawiała Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Kraj

Do przodu i pod górę

1.

Państwo, którzy czytacie niniejsze, macie już zatem prezydenta. Nie wiem, czy jest czego gratulować. Różnice pomiędzy wchodzącymi w grę kandydatami, Mazowieckim i Wałęsą, były jednak istotne? Zapewne. Są to ludzie o bardzo różnych sylwetkach psychicznych i otaczała ich bardzo różna aura kulturowa. Stąd zresztą ów zalew komentarzy na temat europejskości Mazowieckiego i parafianstczyzny Wałęsy. Rzecz wszakże w tym, że przejście od tych różnic do różnic politycznych było najzupełniej niewyraźne i nieskrystalizowane. Redaktor *Po prostu*, Ryszard Turcki, chcąc wyrazić owe polityczne różnice sięgnął więc (*Po prostu*, nr 38/1990) do argumentu instytucjonalnego: „Wałęsa domaga się w istocie nie prezydentury czy nawet bardzo silnej prezydentury, lecz władzy kierowniczej, powstałej na gruncie zniesienia trójpodziału naczelnych organów władzy, w wysokim stopniu skoncentrowanej i zmonopolizowanej i przeznaczonej osobiście dla Wałęsy”. W samej rzeczy Turcki, jak sądzę, prawidłowo odczytał jeśli nie intencje, to przynajmniej skłonności nie akceptowanego kandydata i zwłaszcza taborytów towarzyszących mu w wyprawie na Warszawę. Następnie jednak Turcki pisał: „Wbrew licznym głosom (w tym i na naszych, pluralistycznych łamach) pozwólmym sobie stwierdzić, że rywalizacja Mazowieckiego i Wałęsy o prezydenturę ma jednak obecnie już głęboko programowy sens”. Otóż: skąd ta wiadomość? Jako jeden z owych wspomnianych przez Turckiego pluralistycznych odmieńców, pytam właśnie: skąd on to wiedział? Bo na pewno nie z publicznie deklarowanych i upowszechnianych tekstów. Np. w tym samym numerze *Po prostu* w deklaracji Komisji Koordynacyjnej ROAD niczego się o tym doczytać nie podobna, poza może jednym wstydliwie wsuniętym w tekst przymiot-

nikiem o „silnym parlamencie”, który „wraz z prezydentem będzie współdecydować o kształcie naszej demokracji”; czy takie właśnie papki słowne miały być odpowiedzią na zdecydowane ponoć skłonności adwersarzy? Otóż to: jaki jest Wałęsa, każdy widział. A jaki jest — politycznie — Mazowiecki?

W poprzednim artykule pisałem, o ile dobrze pamiętam, że w razie zwycięstwa koalicja wokół Wałęsy rozprzęgnie się wskutek własnych sprzeczności, zaś ta wokół Mazowieckiego nie będzie, wobec swojej nijakości, wiedziała co ze zwycięstwem począć. W miesiąc później wypada podtrzymać tę opinię.

Sztab wyborczy Mazowieckiego obrał był jako centralne hasło kampanii — „uparcie do przodu”. Było to udane chyba w sumie przetworzenie mitterrandowskiej *force tranquille* (spokojnej siły) z lekkim skłonem ku dynamice („przyspieszeniu”?). Ale istotne dylematy polityczne tej kampanii nie poddawały się sloganowym rozwiązaniom.

Pierwszy z nich wiązał się z odradzaniem starej wschodnioeuropejskiej opozycji ludu i inteligencji, co w polskiej edycji kończy się — jak wiadomo — zgubieniem złotego rogu. Solidarnościowy sojusz intelektualistów i robotników jest właśnie w stanie zaawansowanego rozkładu. To nieaktualne już rozwiązanie miałyby zastąpić stworzenie klasy średniej lub lepiej powiedziawszy klas średnich, gdyż stratedzy obozu rządowego liczą na wytworzenie się w każdej tradycyjnej klasie społecznej grupy ludzi młodych, aktywnych, wzbogaconych i względnie przynajmniej zadowolonych z nowego życia i europejskich perspektyw. Poprzez oddziaływanie na resztę własnych klas pochodzenia, ci nowi średni mieliby zapobiec nastrojom beznadziei i rewolucyjnym frustracjom. Nie jest to kalkulacja nieracjonalna. Społeczeństwo polskie jako całość rzeczywiście wykazuje znaczny dynamizm, zwłaszcza ekonomiczny (produkcja sektora prywatnego pozarolniczego rośnie w tempie 30% rocznie mimo ogólnej recesji). Ale tego może być za mało: zbyt wielkie masy ludzkie pozostają poza zasięgiem ożywczej dynamiki i przeżywają swoją sytuację jako cofanie się w anomie, właśnie w późną, odległą już od wczesnych oświeceniowych i romantycznych nadziei, a bliższą raczej Ortedze y Gassetowi formę „ludu”. Dla tych mas owi nowi średni pełnią raczej raz jeszcze rolę „inteligencji”, która zawiodła, odeszła i zdradziła, tym bardziej że do nowych średnich *vox populi* chętnie zalicza tzw. nową nomenklaturę, niedawnych bojowników. Jak widać, dylemat dotyczy w istocie całego postsolidarnościowego układu, obozu Wałęsy w nie mniejszej mierze niż Mazowieckiego, na pozór więc powinien być wyborczo neutralny. Ale Wałęsa dzięki hasłu „przyspieszenia” ustawił się bardziej po stronie „ludu”, tego zaś z definicji jest o wiele więcej.

Tutaj dylemat drugi. Sztabowcy obozu rządowego nie próbowali przeliczyć przeciwników w przyspieszeniu. I znów słusznie. Ale wartość, którą przeciwstawili ańszowanemu dynamizmowi Wałęsy, nie wyglądała na dość atrakcyjną: bezpieczeństwo, pewność, stabilizacja. Otóż stabilizacja jest rzeczywiście wartością przemożną, ale w sytuacjach ocenianych jako pomyślne choć kruche. Zdaje się, że większość Polaków myśli dokładnie odwrotnie: nie jest dobrze, ale za to z zewnątrz nic nam nie grozi. Stratedzy rządu próbowali temu zaradzić grożąc zachodnimi bankierami, którzy do Wałęsy (zwłaszcza Wałęsy bez Balcerowicza) nie przyjdą, ale wszyscy razem Rockefellerowie i Rothschildowie to jeszcze nie jest w polskiej wizji świata rzetelna groźba. Taka np. jak tupot butów nad granicą.

Na początku listopada, kiedy pisałem niniejsze, w kampanii zanościło się na zaostrezenie tonu. Ale raczej w formie niż w treści. I w dość selektywnym trybie. Tak zwany spór o Balcerowicza najlepiej ilustrował to rozróżnienie.

Już pod koniec września rozeszły się po Warszawie pogłoski, że Balcerowicz znalazł się wśród kandydatów Wałęsy na premiera. Źródłem tych informacji była, w całkiem nieskrywany sposób, redakcja *Tygodnika „Solidarność”*. W obozie rządowym przypuszczano więc, że chodzi o intoksykację, czyli z polską podtruwaniem. Że jednak główny zainteresowany milczał uparcie, a pogłoski obrastały w coraz nowe szczegóły, jak np. sekretne spotkanie wicepremiera z Wałęsą, w Wiadomościach TV pojawił się główny doradca Mazowieckiego, Aleksander Smolar, aby zasugerować telewidzom, że wałęsowcy postradali głowy, bo jakże można atakować rząd i przyspieszać, zapraszając zarazem na premiera głównego architekta krytykowanej polityki. Właściwym adresem komentarza był oczywiście Balcerowicz. Wezwany do tablicy wicepremier zapewnił — jak słychać — swego szefa, że gotów jest złożyć publicznie deklarację lojalności, ale sprawą zasadniczą pozostaje dla niego „możliwość kontynuacji programu” i wobec tego nie opowie się po żadnej ze stron, nim nie uzyska w tej sprawie jasności. Wkrótce potem wicepremier rozwinął tę właśnie argumentację w wywiadzie dla *Polityki* (3.IX.). Gdyby brać całkiem na serio wszystkie przytupy wałęsowej kampanii i takie — dla przykładu — deklaracje, jak Stefana Kurowskiego zapowiedź niesplacania długów (przez Polskę, nie przez Kurowskiego), wypadłoby zapytać, czy wicepremier, którego ciągle jeszcze dręczyła niepewność, nie maskował aby niezręcznie swego przywiązania do władzy i gotowości do nadmiernych kompromisów. Ale Balcerowicz nie dawał był dotąd powodu do takich podejrzeń. Raczej niż do stołka wydawał się zbyt przywiązany do doktryny. Przynajmniej równie prawdopodobne były więc rachuby na szybkie wystygnięcie radykalizmu

Wałęsy. W każdym bądź razie większość sztabu wyborczego kandydata Lecha — Kaczyński, Merkel, Micewski — robili wszystko, co mogli, aby w drugiej części kampanii uspokoić elektorat zaniepokojony wizerunkiem Wałęsy — populisty, awanturnika i kandydata na dyktatora. Ciekawe, że uzyskali w tych staraniach wsparcie z najmniej z pozoru spodziewanej strony, jak redakcji *Polityki*. Nie od rzeczy będzie zauważyć tutaj, że rozłam w koalicji wałęsowej jest już w kalkulowany, na wypadek zwycięstwa, w strategię Porozumienia Centrum i innych bardziej umiarkowanych ugrupowań zwolenników przewodniczącego, którym jest nie do końca po drodze ani ze skrajną prawicą ZChN, ani z populistami ze związku „Solidarność”. Do wyborów parlamentarnych wszystkie te ugrupowania pójdą samodzielnie i w perspektywie przydatne im będzie wsparcie jeśli nie postkomunistycznych partii politycznych, to na pewno postkomunistycznej klienteli socjalnej, czyli tych grup czy warstw, które ze względu na własny interes, własne biografie i własne racje bytu, odmawiają zaakceptowania radykalnej negacji całych 45 lat PRL.

2.

To byłby właściwie temat na odrębny, długi wywód. W istocie rzeczy obie skrajne tendencje w traktowaniu dziejów PRL są przecież wewnętrznie sprzeczne. Ci, którzy chcą nawiązywać wprost do 1939, skrupulatnie jednak liczą groby i ofiary z „wykreślonych” lat i domagają się rozliczenia winnych. Ci zaś, którzy oponują przeciw „polowaniu na czarownice” i chcą przedawnienia, domagają się zarazem, żeby nie odmawiać PRL jej osiągnięć. I każda ze stron znajduje, oczywiście, swoje własne wyjście z kontradycyjności. Pierwsi, mściciele, najchętniej składają wszystko na Ruskich i na zdrajców: odzyskują, mimo przekreślenia, ciągłość historyczną, to zaś za cenę podziału historycznej materii na dzieje święte prześladowanego narodu i dzieje przeklęte, z Jałty wywiedzione, jego prześladowców. (W poetyce jest to zabieg biblijny). Grzesznicy, ci którzy jakoś przeżyli te 45 lat, niekoniecznie stale cierpiąc, czasem i kolaborując po trosze, albo i sporo, szukają odwrotnego wyjścia: nie tylko nie dzielą strumienia dziejów biblijnie, ale wręcz chcieliby roztopić partykularną materię historii narodowej w dziejach powszechnych, w ich odwiecznych prawidłowościach i nieuchronnym stopie dobra ze złem. Przejrzystość takiego przeciwstawienia zamąca, niestety, bardzo ludzki oportunizm, który przybiera czasem monstrualne formy: najbardziej i najdłużej utytłani, jak PAX-owcy, najgłośniejszy wtedy krzyżacz o rozliczenie i przyspieszanie, a notoryczni prowokatorzy, jak Teykowski Bene-

dykt *vel* Bolesław, kandydują na prezydentów, czy choćby wójtów. Czort z nimi.

Mazowiecki, mówiąc o grubej kresce, chciał oczywiście wyminąć te dylematy. Jakoż zdecydowane zwrócenie się ku przyszłości byłoby istotnie, jeśli nie rozwiązaniem, to przynajmniej zrównoważeniem problematyki. W tym skutecznym politycznie przeprowadzeniu takiego zrównoważenia przeszkadza jednak całemu postsolidarnościowemu obozowi wspomniany już przeze mnie na tych łamach syndrom Restauracji. Dzisiaj tylko o jednym szczególnym jego aspekcie, o kombatantach. Z okazji kampanii wyborczych, czyli dobierania ludzi, sprawa ta powraca nieustannie. Nad Wisłą każdy ma nie tylko swojego Żyda, również swojego kombatanta.

Kombatanci w Polsce są formacją o szczególnym uwarstwieniu. Walka sił politycznych, reprezentujących przedwojenny wachlarz polityczny i wojenny ruch oporu, ustaje około roku 1948/49, potem są ofiary i męczennicy, ale opór jest zdławiony. Kiedy wraz z odwilżą lat 1954-1956 zaczyna się odradzać życie polityczne, źródła nowokształtującej się na wpół opozycji, która dopiero po 1975 roku stanie się opozycją pełną, biją raczej wewnątrz niż zewnątrz układu zwanego ustrojem realnego socjalizmu. Nawet ludzie Kościoła w takiej mierze, w jakiej podejmują działania polityczne (grupa Znak) plasują się wewnątrz układu, nie zaś w kontynuacji nurtów przeciętych u schyłku lat czterdziestych. Niezależnie od rezultatu wielkiego sporu o dzieje półwiecza, który historycy dopiero stoczą, a więc m.in. niezależnie od tego, czy ta szczególna nieciągłość i separacja pokoleniowa dwóch tradycji opozycji antykomunistycznej jest tylko skutkiem ciśnienia pojałtańskich niemożności czy również niepełnego jeszcze wtedy wyczerpania się złudzeń (lub może rzeczywistych możliwości) realnego socjalizmu — fakt nieciągłości i separacji pozostaje faktem. W istocie dopiero w końcu lat siedemdziesiątych w załączkach (ROPCiO, grupa *Głosu*) a za pierwszej „Solidarności” w pełniejszej skali powraca opozycja „z zewnątrz układu”. Rozmaite konsekwencje polityczne i ideowe tej dwutorowości, od sporu lewicy z prawicą aż po rozłam w „Solidarności”, rysujący się już na jesieni 1981, są dobrze znane. Tutaj wspomnę o szczególnej konsekwencji kadrowej. Wśród kombatantów „z wewnątrz” („z lewa”, jeśli kto woli) są reprezentowane wszystkie w zasadzie grupy wieku poza najstarszą, natomiast wśród „zewnątrznych” („z prawa”) jest nieliczna grupa bardzo już wiekowych, reaktywowanych weteranów i nader liczny zastęp młodych i najmłodszych. W wieku średnim tych kombatantów jest natomiast niewiele. I otóż to właśnie wydaje się ich aktualnym formacjom politycznym zupełnie nie do zniesienia, ponieważ wielkie kariery polityczne robi się w

Polsce raczej po skończeniu trzydziestu pięciu, czterdziestu lat. Innymi słowy apetyty są ogromne, ale brakuje zębów do gryzienia. Zęby jednak można wstawiać. Kohorty świeżo upieczonych radykałów, które zwołują się pod sztandary Lecha Wałęsy, nieustanna licytacja i przekrzykiwanie się w spóźnionym antykomunizmie — jest to również swoista socjotechnika, która legitymizować ma pretensje do karier, awansów i rewindykacji. Kombatantwo *post factum* nie jest głównie zabiegiem indywidualnym — choć oczywiście „benderowców” (od Ryszarda Bendera, prototypu kombatantów z urojenia) jest wielu — jest to przede wszystkim próba nobilitowania nad miarę całej formacji, a zatem, aby posłużyć się historyczną metaforą, nie tyle fałszowanie książeczki wojskowej z Pierwszej Brygady, ile powoływanie brygady, której w ogóle nie było. Wszystko to może mieć konsekwencje znacznie głębsze i znacznie zgubniejsze, niż się przypuszcza. „Radykałowie z czwartej brygady” są niereformowalni właśnie dlatego, że ich radykalizm jest cechą fundującą: to zapatrywania tworzą tutaj historię, nie zaś historia zapatrywania. Ci kombatanci z nieprawdziwego zdarzenia są w istocie niezdolni do uprawiania polityki, ewoluowania, zawierania kompromisów lub po prostu rozumienia i woli zrozumienia adwersarza, ponieważ brak im niezbędnego dla polityka zaplecza rzetelnej pewności siebie, autentyczności. Zbyt rzadko pamiętamy, że na elastyczność — niezbędną cechę polityka — zdobywa się tylko prawda. Fikcja jest sztywna...

3.

Sto tysięcy podpisów na jednego kandydata — to za dużo, za mało czy w sam raz? Zważywszy obecność wśród kandydatów pana Tymińskiego, technika elektronika z Toronto (kapitalizm byłaby to władza ludu plus elektryfikacja?), raczej za mało; ale ten „człowiek sukcesu” z Transduction Ltd, Mississauga, był chyba zdecydowany pokonać każdą barierę: zbieraczom płacił tysiąc złotych za podpis. Odpadli Korwin Mikke, Morawiecki i kilku całkiem nawiedzonych, a zatem sto tysięcy to w sam raz? Ale odpadł też Siła-Nowicki, który mimo wszystko nie zasłużył na to upokorzenie; choć i to prawda, że podciął mu nogi własny kolega partyjny, Janusz Zabłocki: kto się z Zabłockim sprzymierzy, ten leży...

Zresztą, po pierwszych tygodniach kampanii wyborczej trudno byłoby twierdzić, że cała pozostała na scenie szóstka ma rzeczywiście coś do powiedzenia i, zwłaszcza, że mówi to sprzecznie. Na ogólnym tle spreparowanym ze wszechobecnej amatorszczyzny i najbardziej ogranych, nachalnych stereotypów

sztab wyborczy Wałęsy wyróżniał się rozmachem, Mazowieckiego — kulturą. Cimoszewicz robił za liska chytruska, Moczulski na wszystkie dolegliwości zapisywał konstytucję kwietniową i Polskę niepodległą, Bartoszcze był Witosem z samouczka, a Tymiński, jako się rzekło, przyszedł z wyraźnie innej sztuki, jakiejś kanadyjsko-polonijnej kampanii reklamowej. Gdyby nie świadomość, że wkrótce nastąpią wybory parlamentarne, i to według proporcjonalnej ordynacji*, można by kampanię prezydencką pomniejszych kandydatów uznać za czystą aberrację. Oni jednak przygotowywali grunt pod przyszły zasiew. I rzeczywiście jest całkiem możliwe, że rozstrzygnięte już wybory prezydenckie nie okażą się, wbrew hałaśliwej kampanii Wałęsy, ani tak przełomowe, ani nawet tak ważne. To by poniekąd usprawiedliwiało brak gratulacji dla Państwa od waszego zawsze spóźnionego korespondenta. Całkiem już na zakończenie — najogólniejsza próba prognozy.

Wybory prezydenckie nie spowodują żadnej wyraźnej zmiany w dotychczasowej polityce kraju. Raczej trochę przesuwanych akcentów, trochę po nowemu odroczonej problemów (do wyborów parlamentarnych) i trochę zmian kadrowych, więcej, oczywiście, za prezydentury Wałęsy, mniej za Mazowieckiego, ale nie o tyle więcej i o tyle mniej, jak się wydawało w ogniu polemik. Jeśli zwyciężył Wałęsa, jego premier może liczyć na znacznie większe zrozumienie opozycji prowadzonej przez Mazowieckiego niż miewał sam Mazowiecki w OKP. Jeśli zwyciężył Mazowiecki, wówczas nie wiadomo jeszcze, kto pozostanie w opozycji. Prawdę powiedziawszy, jako dziennikarz ze skłonnościami do mizantropii, wolałbym Mazowieckiego po to chociażby, żeby obejrzeć te zastępy nowonawróconych... Do Wałęsy konwertyci biegli przed wyborami, teraz nikt by się już nowy koło niego nie zmieścił. Najciekawiej będzie po wyborach w Porozumieniu Centrum i w ROAD. Obie „kierownicze siły” konkurencyjnych prezydenckich koalicji przybiorą swoje prawdziwe rozmiary. Ich przywódcom przyjdzie zapłacić za tę utratę wielu złudzeń. Odzyskają w zamian swobodę politycznego mandatu i ideologicznego samookreślenia.

Byłoby dobrze, gdyby wybory parlamentarne odbyły się dopiero potem, jak wody ustoją się i wyklarują. Szanse na to są większe za Mazowieckiego (i to jest drugi, już poważny, powód, dla którego wolałbym go na prezydenta). Ale, tak czy inaczej, nie ma sposobu, by te pierwsze w pełni demokratyczne itd., itp. — były naprawdę normalne i udane. Zniknięcie z sejmu 65%

* Ale zwracam uwagę, że według obecnie proponowanej metody liczenia reszt, bariera byłaby ustawiona niemal równie wysoko jak w RFN. Dla zdobycia mandatu trzeba by ok. 4,2%.

martwego ciężaru odziedziczonego z poprzedniego systemu, choć niezbędne i potrzebne, nie może nie spowodować najpierw ostrego wahanie w prawo. Amortyzator w postaci „Solidarności” już nie istnieje. Byłoby dobrze, gdyby politycznej równowagi mniej więcej demokratycznego kraju Polska dorobiła się przed końcem dekady. Tymczasem, daj Boże, do przodu, choćby i pod górę.

5 listopada 1990

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Coraz bardziej lubię samoloty. A jeszcze nie tak dawno bałem się latać mniej lub bardziej — bardziej niż mi na to pozwalała moja męska duma, mniej od większości ludzi, którzy słusznie uważają przemieszczanie się tak wysoko w metalowej puszcze z nienaturalną prędkością za zajęcie ryzykowne. Ale ostatnio ani śladu niepokoju. Gdy samolot zakolysze się lub spadać zacznie w powietrzną dziurę, a na twarze pasażerów lek wkłada najbardziej fantazyjne maski, ja uśmiecham się oczekując, że a nuż zdarzy się coś, co zdarza się tylko raz w życiu. Nic z tego. Schodzimy pewnie i gładko z chmur, by zobaczyć Ursynów, jak wyjedzone przez słońce kości ułożone w perfidnie nudny i geometryczny kształt. Kto by pomyślał, że właśnie tam, jakże dawno i niedawno, przemykałem się chyłkiem pod kolczastym drutem milicyjnej godziny. A ta młoda stewardessa była wtedy jeszcze dzieckiem. Spotykana na schodach udawała, że mnie nie zna, podobnie jak jej rodzice, których podejrzewano o to i owo, nie wiem czy słusznie. W każdym razie nie łączyło mnie z nimi to, co z kilkunastoma mieszkaniem na mojej klatce schodowej i w okolicy. Gdzie dzisiaj jest ta sieć? Co stało się z korytarzami, które łączyły nasze domy, gdzie z ręki do ręki podawaliśmy sobie jeszcze gorące książki drugiego obiegu? Zasypał je piasek, czy mieszka tam wielogłowy szczur?

— Nie spodziewałem się, że będzie mi Pani kiedyś podawała herbatę — mówię do stewardessy-sąsiadki i to są pierwsze słowa, jakie do niej kiedykolwiek wypowiedziałem, a ona płonie się i tak odchodzi jak milcząca pochodnia.

Okęcie przypomina stodołę, gdzie niezbyt starannie wymie-

ciono słomę. Jakżeż tu swojsko, chociaż zarazem obco. Grupka pracowników lotniska w zniszczonych drelichach i o nie mniej zniszczonych obliczach siedzi w kącie, jakby utkwiała w zapyziałej pajęczynie. Pewne ożywienie spowodował Józek — tak się do niego zwracali — który wkroczył triumfalnie na halę przylotów — podobnie wchodził w miejsca publiczne zwycięscy wodzowie, albo ludzie obdarzeni wielką tajemnicą — i zataczać się zaczął między pasażerami, ciągnąc za sobą alkoholowy welon. „Józek, po co leziesz między ludzi, połóż ty się w magazynie” — mitygować go zaczęli ci z pajęczyny. Ten jednak upodobał sobie bagaże wypływające z dziury na ruchomej taśmie. Cóż za niewygodne miejsce do spania. Cóż za niezwykły kraj. A jednak to mój kraj, wdycham go pełną piersią, obwąchuję jak pies, z lubością wkładając nos choćby pod ogon. I patrzę z niepokojem przez plastikową szybę na tamtą stronę: chociaż wiem, że nikt po mnie dzisiaj nie wyjdzie, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdzieś tam powinni być wszyscy moi zmarli i bezwiednie szukam siwej głowy ojca. A jednak czekają na mnie i to tłumnie. Zastępują drogę i syczą — taksóweczkę, taniej, taxi... I poczułem się osaczony jak w Indiach przez tłum namolnych rykszarzy i — podobnie jak tam — znalazł się jeden najbardziej uparty, jak cień idzie w krok i nudzi — „Wiozę taniej, 100 tys. albo 10 dolców”. „Odczep się Pan” — rzucam w gniewie, odczepił się. Na postoju wielkie stado taksówek, których najwyraźniej nikt nie chce, bo wydają się pokryte kurzem. Dowiaduję się, że tu kurs będzie kosztował 200 tys. Czuję, że jestem w rękach gangsterów, a moja bezradność owocuje nagłym gniewem na Krzysztofa Kozłowskiego. Pojawia się ten uparty, widać krążył z boku jak sęp i oferuje ochłap kursu za pół ceny.

Jedziemy mercedesem, który pamięta Adenauera, a taksówkarz mówi, że będzie głosował na Wałęsę. Pytam, dlaczego — patrzy na mnie jak na głupiego. Przecież to jasne. „Żydzi znowu opanowali wszystko w Polsce i Wałęsa oczyści”. Czuję się dziwnie, jakby ktoś przypadkiem spotkany recytował mój scenariusz. Toż pisałem kiedyś, że prawie wszyscy znajomi skarżą się, że niemal każdy taksówkarz... Cytowałem ich mając nadzieję, że to jednak nieprawda. I masz babo płacek. Czynień rozpaczliwy wysiłek, by przegnać zły sen — „Żydzi, przecież Żydów w Polsce już nie ma”.

Nie wiedziałem, że moja naiwność będzie tak niebezpieczna. Wstrząśnięty bezmiarem ludzkiej głupoty kierowca szarpnął kierownicę, a kiedy okazało się, że uszliśmy z życiem, uświadomił mnie, że oni są wszędzie, że nas wykupują, często na spółkę z Niemcami.

Ulice Śródmieścia były pełne handlujących, żałośnie, szmatławo, niechlujnie. Jak na Azję zbyt ubogo, na Afrykę za mało

orientalnie. Czy to są ci groźni Żydzi? Na murach Uniwersytetu wiatr wyrzucał płótno z napisem — „Polska 1990, kraj inkwizycji”. Zapłaciłem 10 dolarów i na pożeganie zapytałem, co będzie, jak Wałęsa nie „oczyści”, a ekonomia nie ruszy? „To będzie, panie, koniec Polski, może tak być” — rzekł chowając swój łup. Zjrzałem do kiosku. Na kościelnym piśmie jaśniały gołe damskie pośladki. Czy to są wedle studentów ofiary naszej inkwizycji?

Udałem się do mieszkania, płochliwie i niepewnie, bojąc się, co zastanę po miesiącach niebytności. Nowa lista lokatorów, którą rok temu osobiście wkleiłem w miejsce żalosego strzępka, sama stała się strzępkiem, gdzie nazwiska nie miały imion lub odwrotnie. Klatka schodowa pogłębiła znacznie swoje niechlujstwo. Zamek zaciął się i poczułem, że drzwi własnego mieszkania wymierzają mi policzek. Ustąpiły, gdy straciłem już nadzieję. Wszystko stało na swoim miejscu, ale niepewnie. Meble miały ochotę przybiec na powitanie, lecz nie potrafiły siebie udźwignąć. I poczułem, że 15 lat, które tu przeżyliśmy, spłoszone mym wtargnięciem ucieka przez wszystkie szczeliny. By się wzmocnić, zaparzyłem sobie herbatę. Zakrztusiłem się pierwszym łykiem. Woda nie nadaje się do picia. Ruszyłem do sklepu, by kupić mineralną. W sklepie dużo towaru, ale tylko w kontraście z tym, co było niegdyś. A ceny, wiadomo, 40 stopni gorączki. Kasjerka mówi, że trzeba się śpieszyć, bo sklep podlega likwidacji. Wyszedłem w ostatniej chwili. Potem zauważyłem, że większość sklepów jest likwidowanych, co często oznacza tylko inną formę dalszego istnienia. Otworzyłem telewizor. Chlusnęła mi w twarz polityka, chciałem zatkać dziurę, ale strumień był zbyt intensywny. Sześciu kandydatów na prezydenta przekonywało 40 milionów Polaków, że powinni na nich właśnie głosować. Wydawało się, że stanowią jedno ciało o pięciu głowach, jedne głowy były bardziej kwadratowe, inne bardziej okrągłe, ale mówiły mniej lub bardziej gładko to samo, chociaż w głębokim przekonaniu, że mówią co innego. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że reżyserzy tych programów należą do obozu przeciwników i starają się przedstawić kandydatów w najmniej korzystnym świetle. Wpadłem na to od razu po doświadczeniach amerykańskich, gdzie wielokrotnie oglądając *baseball* dopiero po długim czasie odkryłem, że ten, który ciska piłeczkę jest przeciwnikiem tego, który próbuje walnąć w nią kijem.

Wykonałem kilka telefonów. Aparat łączył z trudem, ale jednak łączył, prezentując wszelkie możliwe odmiany chrypy. Znajomi po tamtej stronie uśmiechali się do mnie, ale jakby poprzez ból zębów. Mówili, tu jest strasznie ciężko, istne szaleństwo, wszyscy o wszystkich źle mówią, po czym sami zaczęli źle mówić o sobie nawzajem.

— Ale o co właściwie chodzi? — zapytałem.

— Wyrzyj przez okno, wyjdź na ulicę.

Wyrzałem, wyszedłem. Uderzyło mnie, że domy otoczone są przez samochody, które tłoczą się w najmniej dozwolonych miejscach, jak owce, które poczuły drapieżnika i przytulają się do siebie i do ścian domów. Podobno ilość włamań i kradzieży przybrała zastraszającą postać. Wyminąłem z wprawą kilku pijanych osobników, którzy przemierzali się wydając z siebie nieludzkie dźwięki i zanurzyłem się w ciemnej ulicy, której krzywy bruk stanowił kłopotliwe urozmaicenie. I tak idąc miałem poczucie, że toruję sobie drogę w materii bardziej gęstej niż powietrze, to był nie tylko zapach spalin, ale wyczuwalna obecność... strach powiedzieć... czarta. Nie jest to dziedzina, gdzie mam jakiegokolwiek doświadczenie. Ale na czarta jak na seks człowiek reaguje instynktownie. Wracać zacząłem pośpiesznie do domu, sam przed sobą udając, że się nie boję, bo nie wypada bać się czegoś w co się właściwie nie wierzy. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że już się o Niego otarłem, a nawet zapewne siedzi mi za kołnierzem i to od dawna.

Kilka wirujących dni. Co zostanie na dzień? Sam jestem ciekaw. A teraz wysypuję wszystko niechlujnie i nie po kolei.

Bank. Co za energiczne międzynarodowe słowo, jak gwałtowne wyrzucenie warg. Nasz bank powinien mieć inną nazwę, kojarzy się ze śliną zwisającą z gąbczastego pyska buldoga. Zmierzałem tam pełen najgorszych przeczuć i rzeczywistość już przy drzwiach wpakowałem się na rozlały zad kolejki. Nasze kolejki mają z reguły rozlałe zady, a za to cienką głowę. Stałem w tym zadzie i od razu poczułem, że mieszkam w tej kolejce wiele lat. Czas płynął. Awantury zaplatały supły tu i tam. Przemierzaliśmy się powoli. Dziewczyna stojąca przede mną przedzierała się dzielnie przez meandry i katarakty *Res Publiki*. A więc nawet w takich warunkach próbujemy być Rzeczpospolitą i Europą. Gorzej, że komputery używane przez personel były brudne i przypominały stare narzędzie w stodole. „Komputery też są przeciwko nam” — rzucił ktoś głęboką myśl. A ja nie wiadomo kiedy poczułem, że coś we mnie, bo przecież nie ja, szepce „Wałęsa na Prezydenta. Niech przyjdzie i kopnie ten bezwładny worek kartofli”. Tak oto odkryłem główny mechanizm napędzający Wałęsę zwolenników. Jego tryby to — „A nuż coś się zmieni”, „Trzeba spróbować, gorzej niż jest nie może być”, „Jest nie do zniesienia”, „Przeegraliśmy tu swoje życie”.

Wieczorem znajomy pianista, dobry pianista, opowiada, że już nie da się żyć z grania. Ma smykałkę do hydrauliki i wraz ze swoim perkusistą i saksofonistą będą teraz tworzyć hydrauliki.

czne trio. Bardzo są nieszczęśliwi i będą głosować na Wałęsę. I na Wałęsę będzie głosował cały nasz mrok. To tylko po części wina Przewodniczącego i sprawi mu ta kompania wkrótce wielki kłopot, bo nie łatwo odciąć mrok. Będzie więc nań głosować rzesza rasowych czyścicieli, a okazało się, że są ich zastępy i że mnożą się nieustannie przez pączkowanie. Zresztą czy to rasizm, sam nie wiem? A jeżeli tak, to bardzo skundlony, ze słowiańską domieszką. Co za dziwny kraj. Szukajcie Żydów, nie znajdziecie ich. Spytajcie kogoś czy jest antysemitą, obrazi się, może nawet krzywdę zrobi. A jednak antysemityzm również w Polsce, bez Żydów i antysemitów. Jak stary ból w amputowanej kończynie.

Największy obecnie nasz problem — jak to z tym Mazowieckim? Jest czy nie jest? — „Przecież chodzi do kościoła”. — „Tym gorzej, to przechrzta”.

Na wiecu w Płocku jakaś życzliwa dama trzymała w dłoni dokument, którym się podzieliła publicznie, że pogrzeb ojca Mazowieckiego był katolicki.

— Lepiej Żyd niż dureń — mówi G.

— Niby lepiej, ale jakoś nieładnie — mówi K. Zaś L., znany filosemita, nachyla się i pyta mnie — No, niech pan mi powie, tak naprawdę, jest czy nie jest?

Na wiecach Wałęsy gotuje się jak w kotle. I zawsze pytanko: „Czy oczyści...” Piętnaście minut oklasków. „No, no — grozi dobroliwie Lech — w co wy mnie chcecie wkopać...”.

Podłuchana rozmowa w windzie, która jest miarą gorączki.

— Nie będę głosować na pańskiego gudłaja.

— Ani ja na pani fiurera.

Janusz Korczak na plakatach reklamujących film ma niemal zawsze dorysowaną na czole gwiazdę Dawida. Czy jego dzieciom też by rysowali? A na betonie komory gazowej?

Przekonanie, że Żydzi rządzą obecnie Polską wydaje mi się dzisiaj wystarczająco powszechne, by prezydentem został ktoś bezspornie czysty rasowo. Człowiek jednak zawsze w tej mierze niepewny, szczególnie gdy poważnie potraktuje się Adama i Ewę. Dlatego ja bym proponował na Prezydenta wędkę Lecha Wałęsy lub krawat Tadeusza Mazowieckiego.

Paweł, lat 16, przyjaciel mego syna. Porusza mnie ta rozmowa. Jest taki niewinny i uczciwy w tym brudzie. I myślę bezwiednie: „Boże, uchroni go przed Polską”. A jednocześnie cieszę się, gdy mówi, że nie chce wyjeżdżać. Jego przerażenie tym co się dzieje wokół. „Całe szczęście, że jeszcze jestem dzieckiem” — mówi, on, 187 wzrostu, gruby głos. Nie chcą być dorośli! Mówi:

— Czuję jak polityka mnie zagarnia, ale bronię się, wszyscy

moi koledzy i koleżanki, bronimy się. Ojciec niedawno ujawnił się jako zwolennik Wałęsy, matka przestała z nim rozmawiać, pokłócili się z sąsiadem. Tu chyba wszyscy potracili rozum.

Niedawno, gdy szedł ulicą, zaatakował go jakiś człowiek, nawet był trzeźwy. „Upierał się, że źle na niego patrzę. Co robić z oczami?” Ma poczucie życia na śmietniku: „Żyjemy w strzępkach Zachodu, ich muzyki, filmów, techniki, a gdzie my jesteśmy?” Opowiada o szkole, chodzi już do liceum. W podstawowej próbowali wprowadzić do szkoły demokrację, walczyli z ospałymi nauczycielami. Teraz już nikt w szkole o nic nie walczy.

Mówię: — Jak tak można, bierzcie to w swoje ręce, teraz nikt wam nie przeszkodzi, a nawet są tacy na górze co pomogą. Nie wierzy.

— Trzeba będzie tu jakoś przeżyć swoje życie — mówi pogodzony z tragiczną koniecznością.

Poczułem, że mam łzy w oczach. Kiedy to mi się zdarzyło po raz ostatni? Chyba w sierpniu 1980 roku. Koło zamyka się.

Bezradność. To stan niezwykle powszechny, zajmuje obfite przestrzenie, a zarazem czy coś jest starannie maskowane na tym świecie — ileż malowania, perfumowania, farbowania, zasłaniania, zagłuszania — byle nie zobaczyć prawdy.

Nasza nieszczęsna cywilizacja jakże bezradna wobec problemów, które sama z niezwyklej płodnością wyrzuca ze swego skomputeryzowanego łona.

Dzisiaj w Polsce ta bezradność jest bezwstydnie obnażona. Bezradni są zwolennicy Mazowieckiego i jego przeciwnicy. To samo z Wałęsą. Pod namiotami dwu wrogich obozów słychać szept: „Co robić, co robić, wygląda to beznadziejnie”. Na posiedzeniach rządu nawet powietrze rozkłada bezradnie ręce. „Jak to chwycić, jak przesunąć?” Bezradni są ludzie za cokolwiek odpowiedzialni, i nieodpowiedzialni za nic. Do najbardziej bezradnych należą milicjanci...

Gdy ze znajomą wstąpiliśmy na chwilę do kościoła, okradziono jej samochód. Nieszczęście, bo samochód bardzo jej teraz potrzebny — syn w szpitalu, ktoś go napadł na ulicy i poranił nożem. Komisariat na Jezuickiej, przytulony do Katedry, jakby chciał powiedzieć — ci, którzy nie wyleczą tam duszy, trafią do nas. Wchodząc, staram się nie myśleć, że na którymś z tych krzesel zamordowano syna Basi Sadowskiej. Milicjanci siedzą w podkoszulkach, boję się sprawdzić, czy mają spodnie. Wyglądają na ofiary, a nie stróżów prawa. Aż żal tym bidakom cokolwiek mówić, przecież te sterty papierów, które zaraz runą, to są właśnie ukradzione koła samochodowe, włamania do mieszkań, rozboje. Oni nawet nie nadążają tego spisywać. Jak tu

mieć nadzieję na jakąś inicjatywę. Nawet wyrażenie zainteresowania jest ponad ich siły. Mówią: „Nie ma ludzi, pieniędzy, sprzętu. Wszystko się sypie. Trzeba zmienić pracę. Być złodziejem to teraz interes, bieda być milicjantem”.

Nad bramą domu znajomych napis, którego jeszcze niedawno nie było: „Tu kupisz broń i amunicję”. Kiedyś w tym miejscu sprzedawano bodajże tapczany. Przy drzwiach do mieszkania znajomych zaniepokoił mnie mechanizm o mało humanitarnym kształcie. Potem dowiedziałem się, że to alarm. Znajomi postanowili zamontować go po pewnym wieczorze. Oglądali właśnie film kryminalny w telewizji, kiedy rozległ się dzwonek. Nie otwierali, mimo że ktoś był natarczywy. Nagle drzwi uniosły się i pojawił się błyszczący pyszczyk łomu.

Po takiej przygodzie założyli sobie alarm, którego też się obawiają, ale najgorsze, że już nie wiedzą czy lepiej jest otwierać drzwi, czy ich nie otwierać, gdy ktoś dzwoni.

Większość budynków w naszych miastach posiada domofony, liczne, poruszają triumfalnie wąsami satelitarnych anten. Wchodzimy do Europy gwałtownie, ale na czworakach i jak się wydaje poprzez piwnicę. Tu właśnie póki co jesteśmy.

Spotykam K. Jak zwykle w biegu, jak zawsze zdaje się na brzegu zawału. Co słytać. Oczywiście narzeka na brak czasu. O tak, to wielka nowość w Polsce — brak czasu. Jeszcze wczoraj było go w nadmiarze, jedna z naszych atrakcji wewnątrz socjalistycznego bezsensu. Teraz czas ma w Polsce biegunkę, niewiele z tego wynika, ale wszyscy biegną. Całuję się z K. w biegu, potem biegniemy razem. — „Co robisz” — sapię. Odsapuje, że nie ma na nic czasu.

— Do tego, co robię przydałoby się z 50 ludzi, a mam kilku.

— Co ty na Boga robisz?

I wtedy mi powiedział... Poczułem mróz na karku. Mam straszną ochotę powrócić, ale się boję.

— I... tak to mówisz?

— Przecież i tak wszyscy wiedzą.

Całujemy się w biegu na pożegnanie. A ja myślę, co za zwariowany czas. Każdy odcień władzy leży na ulicy. Byle być z kręgu znajomych i przyjaciół królika.

Tłok na cmentarzach. Święto zmarłych jest oczywiście świętem żywych. To smutny triumf jeszcze żywych wobec tych, których już nie ma. Chodząc po Powązkach miałem poczucie niezwyklego spotkania. Tyluż znajomych, jakże często na szczytach władzy, oto minister X. czuli swoją dłoń w mojej dłoni, milczymy, ale ja wszystko wiem — bardzo mu ciężko. A tam

Andrzej Wajda pobrażkuje skarbonką — to na odnawianie grobów. Powązki rzeczywiście coraz piękniejsze, za to w ruinę zmieniają się nowe dzielnice naszych miast. Przesuwam się w tłoku ściskając ręce, jestem obok Leśmiana, on już za życia był tak pełen niebytów, że jak tu w prawdziwy uwierzyć. Wpada na mnie S. Co w wydawnictwach? — „Fatalnie, wydaje się, że tu już nic nie chce żyć”.

Przypomniałem sobie, jak w stanie wojennym, już bez nadziei, chodziłem po tym cmentarzu i czułem się tu najlepiej, najpewniej, zazdroszcząc nawet po kryjomu tym leżącym pod kamienną pierzyną. Przekreśliło się koło historii i teraz my jesteśmy na wierzchu, ale jakże tam niewygodnie.

Zaduszny autobus wiezie mnie do centrum miasta. Zoczył mnie S. Krzyczy przez głowy ludzi: — „Ja głosuję na Mazowieckiego, ale nasza redakcja dzieli się pół na pół. A w ogóle to zdychamy jako pismo”.

Wysiadam z ulgą przed Pałacem Kultury, bo miałem poczucie, że S. mnie kompromitował. Pałac Kultury w listopadowym chłdzie wydaje się soplem rzeźbionego lodu. A postacie robotników i wielkich Polaków podpierające spód kolosa mają wyraz niebywałego cierpienia. Wiatr hula na wielkim placu, zatrzymując się na chwilę przy grupie ludzi. To handlarze. W normalny dzień kipi tu podobno największe w Europie targowisko. Ale któż dzisiaj się ośmielił? To sowieccy turyści. Ich twarze jeszcze bardziej zmaltretowane przez historię niż nasze. Czegóż tu nie sprzedają ludzie sowieccy, jeszcze wczoraj mieszkańcy rajy na ziemi. Są śrubokręty, lornetki, kawior, ale ten samowarek nie do sprzedania — będzie czaj na rozgrzewkę. A facecikowi w kapeluszu wystaje z kieszonki ikoniczka, że niby przypadkiem ją tam trzyma. Na ziemi rozłożyli się Rumuni, niczego nie sprzedają, siedzą, trzymają postrzępioną karteczkę: „Jesteśmy bezdomnymi Rumunami. Pomóżcie!” Malutkie dzieci łażą po nich jak zwierzątka o chwytynych łapkach. Wygląda ten plac jak załazek wielkiego obozu dla uchodźców z rozpadającej się Europy Wschodniej, wielkie wojenne targowisko. A w tle szerokie biodra Pałacu Kultury, który ma być podobno sprzedany amerykańskiemu milionerowi. Ciekawe, kto i za ile kupi biednego Leninka z kremłowskiego mauzoleum.

Nie zapomnę, jak nasze sławy tańczyły wokół Wałęsy. Było to przecież wczoraj. Teraz środowiska intelektualne stanęły zwartym murem przeciw niemu. Ileż w tym hysterii, odrąconej miłości. Mam znajomych, którzy przygotowali emigracyjne walizeczki na wypadek, gdyby on został prezydentem. Ale nagle z tego środowiska zaczęły schodzić całe płyty przychylnie Wałęsie. I jakże widoczny jest tu mechanizm frustracji. Można by teraz

w szkole Wałęsy wydzielić klasy. W jednej zasiądą ludzie, którzy nie zostali posłami lub senatorami, w drugiej, którym Michnik nie podał ręki... I tak piętro po piętrze wznosi się gmach zwycięstwa Wałęsy. Ale piwnice tego gmachu zbudowali przeciwnicy Lecha, jeszcze wczoraj włączący mu pod poły płaszcz. Zbudowała je chora solidarność grupowa, nieświadomie przejęte elementy bolszewickiego myślenia, pogarda wobec prostego człowieka. Wiele błędów, niektóre wymuszone okolicznościami, inne chyba jednak nie.

Wpadam do W. On jak wszyscy teraz w biegu. Sądzą go siłą, bo zauważyłem, że nawet stojąc biegnie w miejscu. Jest w rozpacz, którą z nim dzielę. Wspominamy przeszłość. Jakżeż piękne były początki działalności opozycyjnej, jakie zdrowe i rumiane ziarno, z którego wyrósł późniejszy ruch. Sami jednak nie widzieliśmy, jak wysoki jest mur naszego getta i jak to ukształtuje umysły. Ze drzewo, które z tego wyrośnie będzie chore i rozpełknie się na pół, jakby strzelił w nie piorun.

Wspominałem o tym już wcześniej i nie mam siły, by więcej o tym pisać, a może nawet boję się. Również błędy w ocenie. Mogę tylko powiedzieć, że pójdę do urny, a wrzucając swój głos, opornie i niechętnie, usłyszę jak spada on na popiół i w popiół się zmienia.

Jak rozwikłać to kłębowisko namiętności? Kisiel pokłócił się z *Tygodnikiem Powszechnym*, *Tygodnik* narostzył się wobec istotnych fragmentów Kościoła. Część starego Krakowa pakuje się, gdyby Wałęsa... Stronnictwo Narodowe ogłasza „Dzień Czujności Narodowej”, gwiazdy Dawida na plakatach Mazowieckiego, malowane na ścianach upiorne portrety Wałęsy z napisem: „Wielki brat czuwa”. Dotykalna w Gdańsku nienawiść do Warszawy. Można by tak godzinami wymieniać wczorajszych przyjaciół, bojowników wspólnej sprawy, środowiska jakże solidarne i twarde, w które dzisiaj wchodzi jak w masło nóż sporów. A niechęci przeradzają się w nienawiść, przypominającą w skali namiętności te, które wytrysnęły w stanie wojennym.

Wszyscy o wszystkich mówią źle. Najszlachetniejsze postacie noszą za sobą długi oblepiony błotem ogon obmowy. Postanowiłem nie słuchać, tylko oceniać po kontakcie osobistym, wierzyć jedynie własnym oczom i uszom. Ale z przerażeniem zauważyłem, że nie daję rady, że ogony migają mi przed oczami i nie umiem ich obciąć miękką powieką. Gorzej, bo nawet chwilami mnie to bawi, chwilami cieszy — taki zacny, zasłużony, a ciągnie taki ogon. I czułem się z tym całkiem nieźle do chwili, gdy trafiłem na własny ogon. Boże, jaki długi i paskudny, słabo unerwiony, prawie niewidoczny. Nigdy bym go nie poczuł, gdyby nie małe dziecko znajomych, które w swej słodkiej naiwności zapytało: a to co?

Dziwność obecnej Polski, jej wulkaniczny krajobraz. Oto z takim trudem uruchamiane mechanizmy nie mają dosyć siły, by się przedrzeć przez rozwodnioną rzeczywistość. I jak strumienie lawy, kamienięją stykając się z naszym bagnem codziennym, tworząc najbardziej fantastyczne kształty.

Mój kolega... wysooko, wydaje się tonąć w swoim gabinecie. Mówi: — Czasami mam ochotę wyskoczyć na korytarz tego cholernego urzędu i wrzasnąć: „Lechu przychodź”.

M., niegdyś znany wydawca: — Ktoś musi kopnąć to wszystko. — Byle nie za mocno, bo się rozleci — zauważam dyplomatycznie.

— Im mocniej tym lepiej, niech się rozlatuje — mówi M. Obaj będą jednak głosować na Mazowieckiego. Ale płacząc.

A korytarze urzędów nadal straszą. Nowych szefów od nas, jak najbardziej od nas, poznaje się po twarzach. Pewien subtelny element, czasami przywiedle różę w oczach, czasami przeczytane książki zamyślane na czole. Są tu zagubieni, zaleźni od swoich nomenklaturowych zastępców, zagubieni w okrutnym labiryncie zmieniających się przepisów, wśród biurów, gdzie nieszczęsne kobiety siedzą na brzegach swoich klimakteriów i pocieszają się bułkami rozmiękczonej herbatą.

Poczucie, że może zbliżyć się wielka zmiana, wielkie wietrzeńcie Warszawy, nie wydaje się dominować uwagi nowych i starych, chociaż jedni i drudzy powinni czuć się zagrożeni. Zmęczenie i rezygnacja działają jak narkoza. Najsłabiej uśpieni próbują jednak po cichu się ustawić, bokiem, z jednej strony Wałęsa, z drugiej Mazowiecki, potem będzie szybki zwrot. Mają w tym wprawę, chociaż teraz sytuacja okropnie zagmatwana.

Rozmawiam w gabinecie z Y. Wałkujemy jak oporne ciasto sprawy urzędowe, gdy nagle milknie, patrzy w okno i mówi: — Wiesz, mam nieprzepatą ochotę by stąd wyjść i już nie wrócić.

Daje mi poemat, który napisał niedawno. Mam ochotę go uściskać. Toż to mój brat w nieszczęściu.

Spotykamy się wieczorem, idziemy mroczną ulicą wdychając czarci zapach i mijając dużymi zakolami grupki piątkowych pijaków. Obcość tego kraju, który jest jednak nasz. Ci z chodnika należą do innej cywilizacji, są na innej planecie, żyjąc z nami pod jednym dachem. Jak łódki zerwane przez burzę wolności oddalamy się od tego, co jest tu dzisiaj powszechne, od zarzewia, zaśmieconego, chorego brzegu. Ale dokąd płyniemy i po co... Przecież tylko tu potrafimy żyć.

By nie kończyć złą poezją, tonem elegijnym i niewybaczalnym pesymizmem, wycisnę z siebie całą nadzieję, która przecież czasami prześwituje przez szczeliny. Są znaki poruszenia ekonomicznego. Prawie niewidoczne dla przechodnia, ale uczeni za-

opatrzni w odpowiednie urządzenia widzą je. A wysoka gorączka która nas trawi? To jak zwykle przy ciężkiej chorobie początek przesilenia, na które jednak trzeba będzie poczekać. Nieznośne zmaterializowanie naszego myślenia, powszechny handel i kombinowanie, to wszystko jest bagnem, z którego prędkiej czy później wychylą głowy prawdziwi przedsiębiorcy. A wielki spór w rodzinie? Że taki ostry i chwilami nieprzyzwoity, to właśnie jak w rodzinie, tam zawsze największe emocje. Jeżeli Wałęsa zostanie prezydentem — zaskoczy zapewne wszystkich jak spolegliwie i łagodnie zacznie władać, próbując zatrzymać najlepszych ludzi z drugiego obozu. W końcu ma wielką intuicję i nie jest samobójcą. Co będzie potem, kiedy spiętrzą się problemy ekonomiczne, a lud zobaczy, że nie staje się cud? Tu liczę na Boską opiekę. A jeżeli wygra Mazowiecki, co mało prawdopodobne, i powstanie zagniewana opozycja z Wałęsą? Tu też liczę na Boską opiekę. A czart, co z czartem? Spróbujmy w niego nie wierzyć. Ksenofobie, resentymenty, niechęci wzajemne? Jako, że żywią się przede wszystkim fikcją i nie mają nawet padliny do spożycia, zdechną szybko.

I tak właśnie będzie, o czym przekonają się nasze dzieci.

SMECZ

Czytając prasę

W marcu 1984 Kazimierz Molek na łamach *Życia Literackiego* pouczał państwowych wydawców, by odstąpili od zamierzonych wznowień książek 28 współczesnych pisarzy polskich, takich jak Kornel Filipowicz, Anna Kamińska, Konwicki, Urszula Koziół, Miłosz, Leszek Prorok, Jan Józef Szczepański. Molek, brodaty młody człowiek, były kleryk, potem oficer kulturalno-oświatowy więziennictwa, był wówczas szarą eminencją Wydziału Kultury KC PZPR. J.J. Szczepański opisuje w „Kadencji”, jak podczas rozmów delegacji zarządu dawnego Związku Literatów odbywanych w KC ówczesny kierownik tego wydziału Witold Nawrocki zaczął brutalnie wrzeszczeć na poetę Grześczaka, a następnie, zostawszy z nim sam na sam, wyszeptał: „Nie dziwcie się... Ja tak musiałem; koło mnie siedział Molek”. Następnie Molek został wiceministrem Kultury. Był bo-

daj pierwszym zwolnionym urzędnikiem starego systemu i zdawało się, że będzie można o nim zapomnieć. W 43 numerze *Przeglądu Tygodniowego* z października roku 1990 czytam artykuł o Składnicy Księgarskiej. Instytucja ta, raczej instytucja niż firma, dysponuje wagonami książek, ba, pociągami książek, tyle, że jak mówi reporterce dyrektor Składnicy Księgarskiej — Kazimierz Molek: „W znacznej mierze są to książki zużyte moralnie”. *Przegląd tygodniowy* udaje, że jest pismem ideologicznie neutralnym, dziennikarka o niezbyt znanym jeszcze nazwisku (może opuściła dopiero szkoły albo spadła z księżycą) zdaje się nie wiedzieć, z kim rozmawia, notuje tylko, co jej powiedziano. Inne pisma zajęte kampanią wyborczą nie zwracają uwagi na informację zawartą w jej artykule i tak oto po drugiej stronie grubej kreski Kazimierz Molek jak dawniej — może w nieco innej skali — zajmuje się losem polskiej książki. Twierdzenie, że spora część produkcji wydawniczej poprzednich lat jest stertą śmieci brzmi przekonywująco. Wolalabym jednak, żeby to ktoś inny dokonywał szczegółowych klasyfikacji moralnych. Tymczasem książki Gierka i Urbana opanowują rynek bez odbywania kwarantanny w Składnicy Księgarskiej.

Sprawa Molka dowodzi słuszności uwag zawartych w ostatnim oświadczeniu Porozumienia Ponad Podziałami. Poza *Kulturą* (nr 11) tekst ten w całości ukazał się w *Tygodniku Solidarność. Gazeta Wyborcza* w numerze z 24 października ogłosiła tekst niepełny, zaznaczając opuszczenie. Zabrakło w *Gazecie* następującego akapitu: „Obecna elita polityczna przyjęła wadliwą koncepcję prawnej przebudowy państwa, zakładając potrzebę drobiazgowego poprawiania, w dość przypadkowej kolejności, wszystkich wcześniej ustanowionych praw. Koncepcja ta wykluczała zastąpienie znacznej części istniejących regulacji zbiorem czytelnych i spójnych praw, które wyzwoliłyby energię społeczną i usunęły podstawowe źródło ociężałości przemian gospodarczych. Opory przez zmiany radykalnymi spowodowały wzrost korupcji i przestępczości gospodarczej; sprzyjały zjawiskom takim, jak trwonienie mienia państwowego i komunalnego. Wszystko to, oraz poczucie zagrożenia bezpieczeństwa obywateli, doprowadziło społeczeństwo do zniechęcenia i apatii. Rządowi i parlamentowi udało się szybko dojść tylko do arogancji wobec głosów krytycznych”. W całym numerze *Gazety* z tego dnia nie znalazłam nic tak szczególnie doniosłego czy zajmującego, co by pozwalało tłumaczyć brakiem miejsca wykreślenie tych 90 słów. Jest faktem, że *Gazeta* dba o krótkość swoich tekstów. Zapamiętuje się je głównie dzięki łatwym efektom tytułów: „Medycy potrzebni w Medyce” (o ciężkim pobiciu polskich turystów przez sowieckich celników na przejściu granicznym w Medyce), „W Bonn ucięto ucho Husajna” (o aresztowaniu urzęd-

nika bońskiego MSZ pracującego dla irackiego wywiadu) — ba tytuły w numerze z 18 października. Jest to stara tradycja prasy sensacyjnej, w której tytuł „Kogiel-mogiel gigant na szosie pod Milanówkiem” zapowiadał wiadomość, że zderzyli się ze sobą automobiliści, panowie Żółtko i Cukier. Zdarzają się w *Gazecie* rzeczy dłuższe, jak artykuł Adama Michnika o tym, dlaczego nie będzie głosował na Wałęsę. *Kultura* nie szczędziła uwag krytycznych na temat wielu posunięć i zdań Wałęsy. Michnik wypowiada ocenę globalną, mam nadzieję, przesadną i niesprawiedliwą. Zgniewał mnie ten artykuł dopiero gdy go przeczytałam po raz drugi, po francusku w dzienniku *Libération*. Odniosłam wtedy wrażenie, jakby był on pisany od razu z myślą o przekładach. Bo oskarżanie Wałęsy o peronizm mało komu w Polsce coś mówi, bardzo natomiast mieści się w zestawie klisz zachodniego dziennikarstwa. Absurdalnie optymistyczna wydaje mi się opinia senatora Andrzeja Szczypiorskiego, który na pytanie tygodnika *Po Prostu* (z 11 października) „Jaka będzie Polska po zwycięstwie Mazowieckiego?” odpowiada — „Przede wszystkim będzie to kraj otoczony powszechnym szacunkiem. Sądzę, że świat odetchnie z ulgą”. Obawiam się, że w najlepszym razie będziemy się cieszyli pewną sympatią i umiarkowanym zainteresowaniem, a szacunek będzie zarezerwowany dla pojedynczych osób w rodzaju Krzysztofa Pendereckiego. Używanie obcych gazet do załatwiania wewnętrznych spraw miało sens, gdy w Polsce nie było wolnej prasy. Nie umiem sobie wyobrazić, by panowie Chirac czy Mitterrand mogli się zdobyć na ogłoszenie w londyńskim *Times*'ie artykułu ostrzegającego świat, jakie nieszczęścia spadną na Francję i Europę, gdy jeden z nich zostanie prezydentem, choć na miejscu nie szczędzili sobie przykrości. W roku 81 czytając w *Tygodniku Powszechnym* artykuł pani Berberysz z niepowsiąganym entuzjazmem notując każde słowo Wałęsy myślałam, że pan Przewodniczący zasługuje na to, by mu na pewne drobiazgi niegodne zachwytu bardzo uprzejmie i ogłędnie zwracać uwagę. Rujnowanie własnymi siłami światowego mitu Wałęsy wydaje mi się rzeczą gorszą niż popychanie go do głupstw. Ponieważ chciałabym, żeby Wałęsa odzyskał całą swoją siłę ducha nie mogę przyjąć, że jest to niemożliwe. Nie ma co się natomiast łudzić, że świat będzie nadążał za wszystkimi naszymi kaprysami. W połowie października sami nie wiemy, kogo chcemy mieć za prezydenta i ci, którzy potrafia się do tego przyznać, mogą liczyć na sympatię czytelników. W *Tygodniku Powszechnym* Tadeusz Chrzanowski wymienia dobre racje przeciw obu kandydatom, nie ukrywając dla obu sympatii. W *Tygodniku Solidarność* pani profesor Anna Pawełczyńska zdecydowała się na wybór Wałęsy, ale stanowczo prosi, aby ten ściśle współpracował w przyszłości z Mazowieckim. Pisma drukują także

listy osób pozbawionych wątpliwości; aktorki należą raczej do obozu premiera, Wałęsę popiera liczna grupa entomologów.

Na scenę publiczną wraca po latach środowisko ziemiańskie. W pierwszym numerze pisma *Ziemianin*, noszącego wprawdzie datę 15 września, ale rozchodzącego się bez pośpiechu i poza tradycyjną dystrybucją, na stronie 5-ej w artykule „Na ślubnym kobiercu” można czytać o historycznym ślubie, na którym „wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. p. Tadeusz Mazowiecki — premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, który jednak z racji obowiązków służbowych nie mógł przybyć. Odnotować należy jednak obecność m.in. p. dr. Zdzisława Najdera”. Kronikarz wymienia jeszcze szereg nazwisk i tytułów, mieszając książką z doktorami, hrabiami i p. Krzysztofem Radziwiłłem. Bardziej zdumiewa lista uczestniczącego w uroczystości duchowieństwa: Ks. prałat mgr Tadeusz Fedorowicz, ks. prałat prof. dr hab. Janusz Pasierb, ks. mgr Andrzej Józef Przekaziński — dyr. Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Otóż od czasu wprowadzenia w roku 1968 możliwości mianowania przez władze kogoś bez habilitacji profesorem upowszechnił się zwyczaj odróżniania profesorów i docentów habilitowanych od mianowanych czyli pozbawionych tych trzech liter, nie słyszałam jednak, by kiedykolwiek mianowano osobę duchowną profesorem bez habilitacji, zatem owe hab. wydają się równie niestosowne, jak zwracanie się do znanych kaznodziejów przez „księże magistrze”. Tak więc *Ziemianin* nie dostarcza dobrych wzorów etykiety. Wspomniane wesele „odbyło się w pobliżu byłego majątku Falenty”. *Ziemianin* zamieszcza również anonsy reklamowe: Wytwórnia napojów chłodzących ul. Skierniewicka 10 oferuje szeroki asortyment napojów chłodzących po cenach zbytu. Dopóki Falenty są byłym majątkiem, trudno sobie wyobrazić, że ziemiaństwo polskie będzie się udawało na daleką Wolę dla nabycia napojów chłodzących po cenach zbytu na własny jedynie użytek. Także ogłoszenie firmy AS — Najwyższa Klasa U Asa! Garnitury i garsonki. Kurtki i płaszcze... marynarki i spodnie... TE WZORY, TE KOLORY... TE CENY — nie wydaje się być szczególnie dostosowane do miejsca, w którym je znajdujemy. W *Ziemianinie* ogłoszenia zajmują jedną z dwunastu stron pisma, w *Gazecie Wyborczej* i *Rzeczypospolitej* wypelniają często pół numeru. Ogłoszenia straciły całkiem urodę, jaką kiedyś potrafiło się wyróżnić w *Życiu Warszawy* to na przykład, które zapamiętałam z czasów średniego Gomułki: „Unieważnia się zagubioną kartę wstępu do sklepu mięsnego dla korpusu dyplomatycznego na nazwisko konsula Urugwaju Emilio Gamba Urdanetta”. Dziś: „POLDROB — Poznańskie Zakłady Drobiarskie w Koziegłowach oferują do sprzedaży po cenach zbytu porcje rosółowe kacze”; „Zakład Remontowo-Budowlany Przemysłu

Mleczarskiego oferuje sprzedaż wyparek do mleka typu F"; „Te produkty firmy „Schering AG” są do natychmiastowego zakupu za złotówki! FICAM — radykalnie zwalcza wszelkie pelzające w pomieszczeniach insekty, muchy i komary”. Bardziej jednak niż te anonsy z jednego numeru *Rzeczypospolitej* zniechęciło mnie dobrze po polsku sformułowane ogłoszenie „NASZ PREMIER, NASZ PREZYDENT TADEUSZ MAZOWIECKI”, podpisane przez krajowy komitet wyborczy T. Mazowieckiego, lecz zamieszczone na pierwszej stronie tygodnika *Polityka* z felietonami panów Passenta i Toeplitza na stronie ostatniej. Ale i Lech Wałęsa nie uchronił się od podobnych pocałunków Judasza — jak to nazwano w Wolnej Europie — w postaci na przykład ostantacyjnego poparcia Stowarzyszenia PAX.

14.11.1990

Zofia ZIEMIĘCKA

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYLAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Sprawy i troski

Imprezy Klubu Im. J. Mieroszewskiego

(jesień 1989 — jesień 1990)

W II połowie roku 1986 ukonstytuował się w Monachium Klub polityczno-dyskusyjny, którego celem jest między innymi rozwijanie polskiej niepodległościowej myśli polityczno-publicystycznej, obrona prawdy historycznej, współpraca z najbliższymi sąsiadami Polski, działalność na rzecz przyszłej, zjednoczonej Europy.

Klubowi prezesują dwaj pisarze: przewodniczącym jest TADEUSZ NOWAKOWSKI, a I wiceprzewodniczącym WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI.

Klub im. Mieroszewskiego posiada w Republice Federalnej Niemiec status Klubu Zarejestrowanego (*eingetragener Verein*). Jest Stowarzyszeniem Wyższej Użyteczności Publicznej. Status ten otrzymał w uznaniu działalności na rzecz porozumienia między narodami (*Völkerverständigung*).

Oto jego imprezy z ostatniego roku:

18 sierpnia 1989

Prof. JERZY HOLZER, historyk (Uniwersytet Warszawski) mówił w Klubie o rozpadzie systemu komunistycznego na świecie. Był to wstęp do wieczoru dyskusyjnego pt. „Stan spraw w 'Solidarności' na tle aktualnej sytuacji politycznej”.

25 sierpnia 1989

Trzydziecioletnia działalność Klubu im. Mieroszewskiego: 1. Odczyt prof. KRZYSZTOFA DYBCIAKA (KUL) pt. „Literatura emigracyjna widziana z Kraju”; 2. Wieczór poezji EWY LIPSKIEJ (Kra-ków) — wywiad „na żywo” z poetką (Jacek Kaczmarski). Wiersze w wykonaniu aktorów polskich mieszkających w Monachium.

26 września 1989

Spotkanie z prof. JANEM KOTTEM. Czytał on fragmenty swej niepublikowanej jeszcze autobiografii.

2 lutego 1990

„Przemiany w Europie wschodniej i w Rosji”. Prelekcja i dyskusja z udziałem dr. MARKA CIESIELCZYKA, autora m.in. pracy „KGB. Z historii rosyjskiej i sowieckiej policji politycznej”, pracownika naukowego *Forschungsinstitut für sowjetische Gegenwart*. Główne punkty: powtarzalność procesów politycznych w systemie totalitarnym — Czy nastąpi likwidacja policji politycznej? — Komunizm a instytucje demokratyczne.

10 lutego 1990

Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI: Sytuacja w literaturze, kulturze, SPP. Polscy pisarze w kraju i na emigracji. Wzajemne związki ale i odmienne punkty widzenia. Podczas spotkania Szczepański wystosował zaproszenie do pisarzy polskich na emigracji, by wstępowali do SPP.

29 marca 1990

„O co walczy 'Solidarność Walcząca'?”. Spotkanie z mieszkającą w Paryżu główną przedstawicielką „SW” na Europę zachodnią, EWA KUBASIEWICZ (10-letni wyrok w jednym z pierwszych procesów stanu wojennego). Dyskusja o przyszłości tzw. ugrupowań pozaparlamentarnych.

26 kwietnia 1990

„Świadek historii” — Wieczór autorski WŁODZIMIERZA SZNARBACHOWSKIEGO. Wiersze czytali: Zbigniew Bryczkowski, Stanisław Załuski, Wojciech Stockinger. Tadeusz Nowakowski przedstawił niezwykłą biografię i dorobek literacki poety i publicysty, który działalność polityczną rozpoczął przed wojną jako współpracownik Bolesława Piaseckiego, a od wielu lat jest jednym z czołowych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej na Uchodźstwie.

7 maja 1990

Polacy i Niemcy — wspólne tradycje kulturowe: pisarz PAWEŁ HUELLE z Gdańska prezentował na polsko-niemieckim wieczorze swoje najnowsze utwory i uczestniczył w dyskusji o potrzebie przewycięzania przeszłości. (W czasie pobytu pisarza w Monachium *Süddeutsche Zeitung* drukowała w odcinkach jego powieść „Weiser Davidek” — jest to *best-seller* na rynku niemieckim).

maj 1990

„Literatura Europy Wschodniej i Rosji” — Klub zorganizował dla publiczności monachijskiej przegląd literacki w wykonaniu akto-

rów i pisarzy z Polski, Czechosłowacji i ZSSR. Impreza w języku niemieckim, zaprezentowana podczas pierwszych Bawarskich Wiosennych Targów Książki organizowanych pod hasłem „Spojrzenie Ponad Granicami”.

27 lipca 1990

„Wybitni Żydzi w polskiej kulturze i historii”. Prelekcja polskiej judaistki, dr. ZOFII KOWALEWSKIEJ (Uniw. Warszawski — Uniw. Wiedeński). Dyskusja o problemach antysemityzmu.

27 września 1990

60-lecie WŁODZIMIERZA ODOJEWSKIEGO. Andrzej Więckowski z Berlina wygłosił odczyt: „Metafizyka pamięci czyli kilka uwag o twórczości Odojewskiego”. Opowiadanie Odojewskiego pt. „Nie można cię samego zostawiać o zmierzchu” czytał Wojciech Stockinger. O Włodzimierzu Odojewskim — pisarzu i radiowym koledze — mówił Tadeusz Nowakowski.

5 października 1990

PRAWO I BEZPRAWIE — spotkanie z wybitną publicystką WANDĄ FALKOWSKĄ o stanie prawa, sądownictwa i poszanowaniu praw człowieka w Polsce.

październik 1990

FESTIWAL POLSKICH FILMÓW. Przez cały październik w Monachium prezentowane były dwa razy tygodniowo nowe polskie filmy w wersji oryginalnej z niemieckimi napisami. (Między innymi „Kornblumenblau” Wosiewiczza, „Ostatni prom” Krzystka, „Przesłuchanie” Bugajskiego, filmy Zanussiego i Falka). Klub był współorganizatorem Festiwalu wspólnie ze Stowarzyszeniem na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego oraz Wydziałem Kultury miasta Monachium.

15 października 1990

Polsko-niemiecki wieczór poetycki EWY LIPSKIEJ. Wspólnie z Lyrik Kabinett i Stowarzyszeniem na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego. Tłumaczenia Dedeciusa oraz fragmenty najnowszego niemieckiego wyboru wierszy Lipskiej wydanej przez Residenz Verlag w Salzburgu czytała znana aktorka Helga Roloff. Wprowadzenie w języku niemieckim: Janusz Marchwiński.

The German Marshall Fund

The German Marshall Fund of The United States jest niezależną instytucją amerykańską nie związaną z żadnym rządem, której celem jest działanie na rzecz zrozumienia i zbliżenia pomiędzy Europą i Ameryką. Fundusz ten powstał w roku 1972 w oparciu o darowiznę rządu Niemieckiej Republiki Federalnej, będącą wyrazem wdzięczności za pomoc amerykańską w powojennej odbudowie Niemiec w ramach Planu Marshalla. Fundusz organizuje programy o szerokim zakresie zagadnień, obejmujących m.in. technologię, zatrudnianie, ekonomię, międzynarodowy handel, ochronę środowiska, środki masowego przekazu, rozwój przedsiębiorczości, emigrację i politykę. Obecnie Fundusz wypłaca rocznie ok. 8 milionów dolarów w postaci dotacji i opłat na koszty związane z konferencjami, badaniami nad polityką, szkolnictwem publicznym, stypendiami na podróże lub studia i innymi programami, w których uczestniczą Europejczycy i Amerykanie.

W 1989 roku Fundacja zdecydowała się objąć swoją działalnością także kraje Europy Środkowej i Wschodniej, mając na celu udostępnienie osiągnięć Zachodu nowopowstającym demokracjom. Prezydent Funduszu, Frank E. Loy stwierdził, że przyjsście z pomocą tym krajom europejskim, które w wyniku polityki Stalina nie były w stanie korzystać z dotacji Planu Marshalla, jest dla jego Fundacji wyjątkowym przywilejem. Na ten cel przeznaczono w obecnym, 1990 r. około 1,5 miliona dolarów. Do tej pory nawiązano współpracę z trzema — nie licząc Niemieckiej Republiki Demokratycznej — krajami: Czechosłowacją, Węgrami i Polską.

W ramach pomocy dla Polski w latach 1989/90 członkowie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego uczestniczyli w zorganizowanych w Waszyngtonie seminariach, przyznano środki finansowe na uruchomienie czterdziestu czterech małych, lokalnych gazet i biuletynów, przeprowadzono szkolenia dla kierowników redakcji i dyrektorów lokalnych rozgłośni Polskiego Radia, piętnaście nowych ośrodków szkoleniowych rozmieszczonych na terenie całej Polski wyposażono w materiały pochodzenia amerykańskiego. Zachodni eksperci finansowi dopomagają przedstawicielom władz polskich w dokonaniu oceny istniejących zasobów i w projektowaniu prawidłowo funkcjonujących instytucji finansowych a polscy specjaliści w zakresie ekologii przygotowują w ramach the U.S. — European Climate Action Network utworzenie niezależnej organizacji zajmującej się analizowaniem kierunków polityki.

Pieniądze przeznaczone dla Polski w okresie od 1 czerwca 1989 do 31 maja 1990 roku przeznaczono między innymi na:

Szkolenia w Zakresie Rynku Kapitalowego

\$ 50.000, George Washington University, Waszyngton, D.C.

Seria szkoleń mająca na celu techniczne przeszkolenie dla osób odgrywających główną rolę w opracowywaniu nowej polityki gospodarczej i nowych instytucji gospodarczych w Polsce.

Nowy Bank Wolnorynkowy w Poznaniu

\$ 24.000, New Transcentury Foundation, Waszyngton, D.C.

Program przeszkolenia i planowania przeprowadzony w Stanach Zjednoczonych a zmierzający do założenia Banku Wolnorynkowego w Poznaniu.

Pomoc dla Rolników Indywidualnych

\$ 22.000, American Trust for Agriculture in Poland, McLean, Illinois.

Zinstytucjonalizowana pomoc dla Fundacji Rozwoju Polskiego Rolnictwa celem zwiększenia zdolności działania w ramach programu działania tej fundacji.

Kontrola Transgranicznych Zanieczyszczeń Powietrza

\$ 10.000, Environmental Law Institute, Waszyngton, D.C.

Udział przedstawicieli Europy Środkowej w spotkaniu Wschód-Zachód poświęconym używaniu „wielkości krytycznych” do kontroli transgranicznych zanieczyszczeń powietrza.

Program dla Dziennikarzy Specjalizujących się w Dziedzinie Ochrony Środowiska

\$ 5.000, Bud Ward, Environmental Health Center, Waszyngton D.C.

Dwu lub trzymiesięczny program w Stanach Zjednoczonych dla dziennikarzy z Europy Środkowej, specjalizujących się w dziedzinie ochrony środowiska.

Stypendia Dziennikarskie

\$ 20.000, Massachusetts Institute of Technology, Cambridge, Massachusetts.

Roczne stypendium dla dziennikarza specjalizującego się w dziedzinie nauki, technologii i ochrony środowiska.

\$ 7.040, Duke University, Durham, Północna Karolina.

Stypendium na okres jednego semestru dla polskiego dziennikarza w programie w Center for Professional Journalism.

Program Szkoleniowy dla Solidarnościowych Parlamentarzystów

\$ 80.000, Congressional Quarterly, Inc., Waszyngton, D.C.

Praktyczny program szkoleniowy o Kongresie Stanów Zjednoczonych dla dziesięciu wytypowanych przez Solidarność przywódców parlamentarnych oraz ich doradców.

Praktyczne Szkolenie Pracowników Lokalnych Urzędów w Dziedzinie Praw i Obowiązków Obywatelskich

\$40.000, Foundation in Support of Local Democracy, Rutgers University, New Brunswick, New Jersey.

Przygotowanie materiałów dla 15 lokalnych ośrodków szkoleniowych rozmieszczonych na terenie Polski, celem umożliwienia szkolenia w dziedzinie praw i obowiązków obywatelskich dla nowowybranych, względnie mianowanych urzędników lokalnych.

Wstępne Fundusze na Założenie Niezależnej Prasy Lokalnej

\$22.000, Fundacja Obywatelska, Warszawa.

Fundusze na założenie 44 nowych gazet lokalnych w celu wzbogacenia polskiej debaty politycznej poglądami na tematy istotne dla lokalnych czytelników.

POLSKI DOM

Według zaniżonych danych z sowieckich spisów ludności, w ZSSR żyje 1.200.000 Polaków. Są to ci, którzy przeżyli lata stalinowskie i którym nie zmieniono wpisu w rubryce „narodowość”. Organizacja społeczna pod nazwą „Dom Polski” została po raz pierwszy utworzona w Moskwie w październiku 1906 roku. Po rewolucji przemianowano ją na „Polski Ośrodek”, a w 1937 roku zlikwidowano.

Minęło już około sześćdziesięciu lat od chwili, kiedy przestał w Moskwie działać ostatni polski kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny (ul. Mała Gruzjińska 27). Kościół, a wraz z nim też parafię, zamknięto na początku lat 30-tych, po czym zainstalowano w nim biura moskiewskiego komitetu wykonawczego — urząd projektowania przemysłowego *Mosspecpromprojekt*, centralny skład SU-46 i in.

Wierni katolicy wystosowali w maju list do prezydenta ZSSR, przewodniczącego prezydium Rady Najwyższej RSFSR, dwukrotnie pisali do Krasnopresnieńskiego komitetu wykonawczego, do Rady Moskiewskiej i do Rady d/s religii, ażeby oddano im kościół przy Małej Gruzjińskiej. Nie dostali jednak żadnej odpowiedzi...

Ministerstwo Kultury ZSSR jeszcze w latach 80-tych rozpatrywało kwestię stworzenia wspólnie z wszechzwiązkowym towarzystwem organistów ośrodka muzyki organowej w byłym kościele Niepokalanego Poczęcia. Urząd Planowania ZSSR wyasygnował środki, a polskie przedsiębiorstwo PKZ przygotowało projekt odbudowy. Oddanie kościoła wiernym bynajmniej nie wyklucza otwarcia sali koncertowej: kościół pozwala na wykonywanie w nim koncertów organowych i innych. O ile wiemy, przedstawiciele moskiewskiej

Rady Miejskiej prowadzą rozmowy z Polakami na temat odnowienia kościoła na ich koszt. A przecież nie polska strona i nie moskiewscy Polacy go zniszczyli i przekształcili w urząd i składy.

Odradzający się Polski Dom prowadzi od ubiegłego roku kursy języka polskiego dla dorosłych i szkółkę niedzielną dla dzieci. Zaczął ukazywać się biuletyn, mający w niedalekiej przyszłości przekształcić się w *Gazetę polską* dla wszystkich Polaków w Rosji. W Warszawie czekają na przekazanie do Moskwy 6-tysięcznej biblioteki polskich książek z katalogiem i pełnym wyposażeniem bibliotecznym. Pytanie, dokąd ją zawieźć.

Zarząd Domu Polskiego prosi wszystkich, którzy mogą pomóc w utworzeniu konta rublowego i walutowego na rzecz odrestaurowania kościoła, aby kierowali się na adres: 103051 Moskwa, ul. Pietrowka 28/2, Wsjerossijskij Fond Kultury, Prawlenieje Doma Polskiego.

Teresa PIEKARSKA, deputowana ludowa, członek Rady Najwyższej RSFSR, członek zarządu Domu Polskiego

Galina SUBOTOWICZ-ROMANOWA

Dymitrij BASOW, współ-przewodniczący Domu Polskiego

Obywatele ZSSR

Moskowskije Nowosti, nr 42, 21.10.90.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

O religii bez namaszczenia

Jezuici

Jakiś czas temu zabrałem się do czytania, nawet praktykowania, „Ćwiczeń duchowych” św. Ignacego Loyoli. Niedługo w tym wytrzymałem. Zgoła ckliwa miłość Jezusa, praktykowana w sposób systematyczny z precyzją regulaminu wojskowego, okazała się ponad moje siły. A jednak jest to przecież swego rodzaju klasyk i całe pokolenia jezuitów wychowały się na tym tekście. Ale ilu członków innych zgromadzeń zakonnych wychowało się na innych tekstach, regulaminach czy regułach. Benedyktyni, cystersi, karmelici, franciszkanie, dominikanie, salezianie, pasjoniści i Bóg wie, jakie jeszcze zakony czy zgromadzenia, męskie i żeńskie. A są tych ludzi, nawet w naszym ześwieczonym świecie, tysiące i setki tysięcy. Wybór drogi życiowej, szczególnie służenia Bogu, musi być rzeczą bardzo trudną. Często o tym chyba decydują po prostu okoliczności, innymi słowy przypadek, jako że zasadnicza decyzja jest przecież zawsze z grubsza ta sama. Czy to dobrze czy źle? Bo na przykład w prawosławiu istnieje właściwie tylko jeden zakon — bazylianie. Może to rozdrobnienie, ta specyfikacja powołań zakonnych w kościele zachodnim jest trochę bezładna, ale skłonny jestem sądzić, że jest to przejaw pewnego dynamizmu i indywidualizacji w zachodnim chrześcijaństwie.

Mało się o tym na ogół myśli i pisze, nawet chyba w fachowej prasie, ale ten problem narzuca się z całą siłą w kontekście przypadającego w tym roku 450-lecia zakonu jezuitów. Gdy Ignacy Loyola z grupą zaledwie dziesięciu zwolenników, w tym tylko jednego kapłana, zgłosił się w Rzymie z projektem utworzenia nowego zgromadzenia *ad maiorem Dei gloriam*, papież Pius III długo się wahał, bo kardynałowie nie bez racji perswadowali mu, że zgromadzeń już jest za dużo, i dopiero po sześciu latach zdecydował się na wydanie bulli erekcyjnej 27

września 1540 roku. Ignacy miał wówczas 49 lat; urodził się w roku 1491 (na rok przed odkryciem Ameryki), w przysiółku roku zatem przypada dokładnie pięćsetna rocznica jego urodzin, 31 lipca. Cały ten okres jest obchodzony jako rok ignacjański i prasa światowa pełna jest artykułów o czterowiekowej z górą historii zakonu. Zjawisko dość niezwykle. Dlaczego właśnie jezuita doczekali się takiego wyróżnienia? Ignacy chyba miał rację, że się uparł, i papież miał rację, że przystał na jego nalegania, bo nie tylko dzisiejsza prasa światowa, ale cała historia tego prawie pół-tysiąclecia pełna jest jezuitów. Bo gdzież tych jezuitów nie było: od Rzymu po Indie, Chiny i Japonię (dotarł tam już jeden z pierwotnej dziesiątki Ignacego, św. Franciszek Ksawery) i od Polski i Litwy po Paragwaj. Byli na dworach królewskich i wśród nędzarzy (także czerwonoskórych), robili wielką politykę i uczyli dzieci, byli czczeni i znienawidzeni i mordowani (jak owych sześciu jezuitów profesorów zamordowanych zaledwie w zeszłym roku w Salwadorze). Był krótki czas, że ich nie było zupełnie — od r. 1773, gdy papież Klemens XIV skasował zakon, do r. 1814 — ale dziś jest ich znowu blisko 25.000 i stanowią najliczniejszy zakon na świecie. I znowu są wszędzie. Obecny generał zakonu, Holender Peter-Hans Kolvenbach, większość swego czynnego życia spędził w Libanie, a jego poprzednik, Baskijczyk (jak Ignacy Loyola) Pedro Arrupe — w Japonii. Widocznie założony przez św. Ignacego zakon miał jakieś szczególne zadanie do spełnienia. Jakie to zadanie?

Dokumenty zakonne — rota ślubowania, statuty, nawet „Ćwiczenia duchowe” — nie dadzą nam na to pytanie odpowiedzi, bo są one w zarysach podobne do tysięcy tekstów tego rodzaju innych zgromadzeń zakonnych. Wszystko jest nastawione na szczególną służbę Bogu w Chrystusie. Trzeba raczej popatrzeć na to, co jezuita robili, ale to jest gęstwina, bo robili tak wiele różnych rzeczy. W oparciu o ścisłą dyscyplinę duchową — formacja duchowa wraz z nowicjatem trwa do 13 lat — organizacja wewnętrzna zakonu jest dosyć luźna, jak gdyby każdy w ramach ogólnego powołania zakonnego spełniał swoje własne osobiste powołanie. Źródeł tego stanu rzeczy można się dopatrywać w chwili powstania zakonu. Był to moment załamania się, a równocześnie odrodzenia i ekspansji, starych struktur średniowiecznej Europy, wiek wielkich odkryć geograficznych, renesansu i humanizmu, afirmacji wartości i uroków świeckiego świata, a w dziedzinie religijnej okres Reformacji. Wygląda na to, że jezuita powstał po to, by Kościół do tych wszystkich przemian ustosunkować i by go do nich włączyć. Czy Ignacy Loyola zdawał sobie sprawę z wielkości tego zadania, to inna sprawa. Raczej wyczuł tę potrzebę instynktow-

nie w chwili swego nawrócenia w roku 1521, gdy leżąc ciężko ranny w szpitalu po bitwie pod Pamploną przemienił się z romantycznego rycerza w apostoła, towarzysza Jezusa. Swoje zgromadzenie nazwał Towarzystwem Jezusowym, *Societas Jesu*, albo z francuska — pierwsze śluby bracia złożyli w Paryżu na odludnym wówczas Montmartre — Kompanią Jezusową. Jest to coś więcej niż pobożna nazwa „pod wezwaniem”: jak wówczas, tak i po dziś dzień jezuita uważają się dosłownie za kompanów Jezusa, którzy swoimi rękami i swoją głową wykonują Jego robotę, robią to, co On by robił w tym nowym świecie. Ignacy dość wczesnie wypracował sobie ideę „konwersacji”, także w etymologicznym znaczeniu konwersji czyli zwrócenia się ku innej osobie, jakbyśmy dziś powiedzieli — ideę dialogu. A w tym znaczeniu dialog zawsze implikuje również konwersję do głównego uczestnika dialogu, Jezusa. I prowadzili jezuita ten dialog z całym światem, na całym świecie. Znakomitą jego ilustracją jest działalność św. Franciszka Ksawerego na Malajach, w Indonezji i Japonii, a zwłaszcza może działalność Roberta de Nobili w Indiach i Mateusza Rizzi, wybitnego matematyka i astronoma, w Chinach. De Nobili i Rizzi byli przekonani, że do głoszenia Ewangelii Hindusom i Chińczykom nie wystarczą pojęcia i język teologii grecko-łacińskiej, że ten dialog trzeba prowadzić również w języku tamtejszych azjatyckich kultur. Stali się w ten sposób pionierami *avant le jour* aktualnego dzisiaj pojęcia inkulturacji, to jest wyrażania treści chrześcijaństwa w języku kultur pozaeuropejskich. Niestety, ten wielki eksperyment został już w r. 1582 przerwany interwencją Rzymu, któremu azjatyckie formy chrześcijaństwa obu tych kompanów zalatywały herezją. Nie dziw może, skoro i dziś jeszcze praktyka inkulturacji, jeśli nie sama zasada, z trudem toruje sobie drogę w myśleniu centralnych władz Kościoła katolickiego. Europejczykom bardzo trudno zrozumieć, że Jezus nie był Europejczykiem. A działo się to w zaledwie 42 lata od czasu założenia *Societatis Jesu*. Ignacy już nie żył, ale zakon liczył już wtedy około tysiąca członków. Wspomniały dowód prężności nowego zgromadzenia, odwagi intelektualnej pierwszych jezuitów i płodności ignacjańskiej idei dialogu z nowo odkrytym światem. Kto wie, gdyby eksperyment Roberta de Nobili i Mateusza Rizzi nie został w zarodku zduszony, może Indie i Chiny byłyby dziś chrześcijańskie przynajmniej w tym stopniu, w jakim chrześcijańska jest Europa i Ameryka.

Innym historycznym eksperymentem było stworzenie w XVIII wieku na drugim krańcu świata, w Paragwaju, zgoła utopijnej socjalistycznej społeczności tamtejszych Indian, czegoś w rodzaju zespołu wspólnot podstawowych, *comunidades de base*,

istniejących dzisiaj w krajach Ameryki Łacińskiej, a powstałych z natchnień współczesnej teologii wyzwolenia (z dużym udziałem dzisiejszych jezuitów). Idee społeczno-polityczne jezuitów sprzed dwustu lat musiały nieuchronnie wywołać podobne reakcje, jakie dziś wywołuje teologia wyzwolenia, w tym wypadku jednak nie tyle ze strony władz kościelnych, co kolonialnych władz hiszpańskich. Eksperyment paragwajski został również brutalnie zduszony.

W Europie jezuita prowadzili nade wszystko działalność oświatową, słynne jezuitskie kolegia. W XVII i XVIII wieku stanowiły one główny nurt Kontrreformacji i były przeto nastawione głównie na kształcenie młodych arystokratów i szlachty. Jednym z rezultatów były rozległe wpływy na dworach katolickich domów panujących, a w ślad za tym rozległe wpływy polityczne i udział w politycznych intrygach epoki. W dawnej Rzeczypospolitej na przykład jezuita byli awangardą w walce nie tylko z protestantyzmem, ale i prawosławiem. Dalekie to od mądrej tolerancji Rizzich i Nobilich. Czyżby załamanie się ignacjańskiej idei konwersacji, dialogu ze światem w imię Jezusa, nade wszystko ignacjańskiej służby ubogim? W pewnej mierze zapewne tak, ale pamiętajmy, że siedemnastowieczni jezuita też byli dziećmi swoich czasów. Wtedy to rodzi się stereotyp jezuita-intryganta, człowieka o podwójnej „jezuitskiej” moralności, ale ten obraz był chyba w dużej mierze reakcją religijnych i politycznych przeciwników na sztukę perswazji i dyplomacji mężów w czarnych habitach, należących do najinteligentniejszych ludzi epoki. Inna rzecz, że do najzaciętszych ich krytyków należał Pascal. Szkoły jezuitskie były znakomite i są takimi po dziś dzień. Imponująca jest lista wybitnych wychowanków tych szkół, choć wynik wychowania nie był zawsze taki, jaki zamierzali preceptorzy. Jest wśród nich Moliere i Lamartine, Charles de Gaulle i Alfred Hitchcock, ale także Fidel Castro*.

Towarzystwo Jezusowe nazywa się również Kompanią Jezusową, a o przełożonym generalnym mówi się zwykle „general jezuitów” — albo też „czarny papież”. Towarzystwo ma reputację szczególnej milicji papieskiej. Dużo w tym prawdy, ale to wcale nie znaczy, by zakon był ślepym narzędziem w rękach kolejnych papieży. Już Ignacy Loyola sprzeciwiał się uszczupla-

* Pisma zachodnie wśród wychowanków jezuitów często wymieniają gen. Jaruzelskiego. To pomyłka. Jaruzelski był uczniem OO. Marianów na Białanach. Wśród wybitnych Polaków — wychowanków szkół jezuitskich jest natomiast min. Eugeniusz Kwiatkowski (twórca Gdyni), a z obecnej ekipy rządzącej min. Ambroziak i amb. Dziewanowski.

niu swego niewielkiego jeszcze grona przez wyławianie z niego kandydatów na biskupów (później zdarzało się to nieraz). Prawda, że oprócz zwykłych ślubów zakonnych — czystości, ubóstwa i posłuszeństwa — jezuita składa specjalny ślub posłuszeństwa papieżowi (ciekawa rzecz, opatrzonej kwalifikacją „w sprawach misji”), ale ten dodatkowy ślub tłumaczy okoliczności powstania zakonu w momencie, gdy papieństwo było zagrożone przez Reformację.

I później zdarzało się nieraz, że „czarny papież” był podporą białego papieża. Warto tu przypomnieć *pro domo sua* rolę, jaką w czasie bismarckowskiego *Kulturkampf* odegrał ówczesny Superior Generalny O. Ledóchowski. W XIX wieku, pod presją prądów liberalnych i republikańskich, zwłaszcza we Francji, jezuita istotnie mieli opinię zajadłych „ultramontanów”; być może, że już w poprzednim stuleciu, w wieku Oświecenia, zatracili poniekąd ignacjańską sztukę „konwersacji” ze zmieniającym się światem. Na ogół jednak zawsze mieli tę niesamowitą zdolność godzenia ze sobą ścisłej kościelnej dyscypliny z wiernością dla ich szczególnej misji służenia równocześnie Kościołowi i światu — światu poprzez Kościół, a Kościołowi poprzez świat. Nie brakło też konfliktów między (figuratywnie mówiąc) białym i czarnym papieżem. Jezuita zawsze byli posłuszni i gdy trzeba było, potrafili zamilknąć — do czasu.

Tu leży konflikt, który rozegrał się zaledwie kilka lat temu, za obecnego pontyfikatu, choć jego początki sięgają pontyfikatu Pawła VI. W roku 1975 32-ga kongregacja generalna Towarzystwa Jezusowego przyjęła deklarację stwierdzającą, że nieodłącznym elementem wiary jest sprawiedliwość. Ta niewinnie brzmiąca formuła wywołała falę niepokoju w dykasteriach Kurii Rzymskiej, również samego papieża Pawła, bo sprawiedliwość oznaczała sprawiedliwość społeczną i deklaracja była wyrazem sympatii dla latynoamerykańskiej teologii wyzwolenia, w którą było i jest zaangażowanych wielu jezuitów na tym kontynencie. A to w oczach Kurii Rzymskiej oznaczało również sympatię dla marksizmu. Dla zaangażowanych jezuitów ich flirt z marksizmem, jeśli to tak można nazwać, był tylko jeszcze jedną formą ignacjańskiej „konwersacji” z rzeczywistym światem; istotnym problemem był problem chronicznej nędzy mas południowoamerykańskich, największego skupiska ludności katolickiej na świecie, za które zatem Kościół katolicki musi być w jakiejś mierze odpowiedzialny. Faktycznie, w tej swej „opcji na rzecz ubogich” (którą dzieli z całą szkołą teologii wyzwolenia, a dziś już formalnie z całym Kościołem katolickim) już wtedy mieli za sobą mandat historycznej konferencji biskupów Ameryki Łaciń-

skiej w Medellin w roku 1968. Nie mówiąc już o tym, że była to jedna z głównych „opcji” św. Ignacego.

Głównym promotorem nowego nurtu w zakonie był ówczesny Superior Generalny, O. Pedro Arrupe. W roku 1980 Ojciec Arrupe został dotknięty ciężkim paralizem, co uniemożliwiło mu dalsze sprawowanie urzędu. Wkrótce potem dyskretny do tej pory konflikt przybrał dramatyczne rozmiary. Nowy papież Jan Paweł II postanowił wziąć sprawę w swoje własne energiczne ręce, odroczył zwołanie nowej kongregacji generalnej, która miała wybrać następcę Ojca Arrupe, i wyznaczył dwóch swoich pełnomocników, Paolo Dezza i Józefa Pittau, do uporządkowania spraw zakonu. Zakonnicy oczywiście podporządkowali się papieskiemu rozporządzeniu bez sprzeciwu. Może właśnie dlatego kryzys miał nieoczekiwanie łagodny przebieg. Pełnomocnicy widocznie sami się przekonali i zdołali przekonać papieża, że w zakonie nie knuje się marksistowska rewolucja. Już w 1983 roku papież zezwolił na odbycie normalnej kongregacji generalnej, na której Superiorem Generalnym został wybrany Holender Peter-Hans Kolvenbach. Wybór, jak się wydaje, odbył się całkiem swobodnie; typowany przez papieża na ten urząd O. Pittau został dyskretnie pominięty. Ale O. Kolvenbach natychmiast zaadoptował byłego pełnomocnika do swego ścisłego personelu jako doradcę. Mądre posunięcie; można by powiedzieć, typowo jezuita. Nowy superior ma również znakomite stosunki z watykańskim cerberem kardynałem Ratzingerem. Ratzinger miał mu kiedyś wspomnieć o dziesięciu jezuitach, których postawa budzi jego niepokój. „Tylko dziesięciu wspaniałe?” — miał odpowiedzieć Kolvenbach — toż to wspaniale”.

Nie ulega wątpliwości, że sympatie dla teologii wyzwolenia w Towarzystwie Jezusowym, w kontekście całego kościelnego nurtu „opcji na rzecz ubogich”, są nadal bardzo silne. Nie jest to zresztą tylko tradycja Ojca Arrupe, który przed swoim wyniesieniem działał przeważnie w Japonii i nie miał z teologią wyzwolenia bezpośredniego kontaktu. Ten nurt datuje się przynajmniej od Drugiego Vaticanum. Dziś jednak zaczyna on iść o lepsze z inną wielką jezuitką tradycją, ich sławnych szkół i uniwersytetów, głównie w Stanach Zjednoczonych i w Indiach, ale także w wielu innych krajach, między innymi i w Polsce (Chyrów). Jezuita wydali wiele znakomitych uczonych, od Mateusza Rizzi po Teilharda de Chardin, Fryderyka Copplestone'a i Karla Rahnera. Dziś, pod presją nowych priorytetów, zamykają niektóre swoje wyższe uczelnie (w Salwadorze i Meksyku, w ślad za tym może pójść Bombaj), ale stosunkowo niedawno powstał

też nowy uniwersytet jezuicki w Seulu. Już po rzymskim kryzysie zjazd prowincjałów zajął się w szczególności sprawą odbudowania szkolnictwa jezuickiego w krajach wyzwolonej Wschodniej Europy, głównie w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech. W Polsce jest około 700 jezuitów, w pozostałych krajach tego obszaru mniej więcej drugie tyle (w tym także w Czechosłowacji, gdzie zakon był zakazany), ale w skali światowej na ogólną liczbę 24.420 stanowi to dość małą proporcję. Wynika z tego, że jeden nurt nie wyklucza drugiego; wprost przeciwnie, oczywiste jest, że efektywna służba na rzecz ubogich wymaga nade wszystko potężnego intelektualnego wysiłku.

Do tego dochodzi jeszcze trzecie zadanie, na które wielki nacisk kładł Ojciec Arrupe, a które nawiązuje do samych początków istnienia Towarzystwa Jezusowego: zadanie chrześcijańskiej inkulturacji albo też, co na to samo wychodzi, chrystianizacji kultur. To, co w XVI wieku robili Nobili i Rizzi, a co potem zostało w niezrozumiały sposób zaniedbane i zapomniane. Chrześcijaństwo w ciągu wieków uległo przemożnej europeizacji, idiom grecko-łaciński przytłumił nawet w pewnej mierze źródłowy dlań element hebrajski i dziś ledwo się domyślamy, jakie skarby może kryć w sobie chrześcijaństwo wzbogacone intuicjami innych kultur i jak chrześcijaństwo może wzbogacić i ożywić tamte stare kultury. Może na tym zyskać również nasza zsekularyzowana kultura europejska, nie jako kultura dominująca, ale jako element składowy zintegrowanej płodnej kultury światowej. Wielonarodowa i wielokulturowa mozaika Towarzystwa Jezusowego zdaje się być historycznie predestynowana do odegrania zgoła kluczowej roli w tym procesie.

O zakonie jezuitów z ich „czarnym papieżem”, dużą autonomią i światowymi wpływami mówi się czasem, że jest Kościołem w Kościele. Dużo w tym zazdrosnej przesady, ale można chyba o nim powiedzieć, że jest miniaturą Kościoła. Znajdziemy w nim wszystkie glorie i śmieszno-tragiczne słabostki tej bosko-ludzkiej instytucji. Ale nade wszystko Towarzystwo Jezusowe jest laboratorium doświadczalnym Kościoła. Jezuiti, w odróżnieniu od innych zakonów, są zwolnieni od codziennego odmawiania *Officium Divinum*, ale pozostają w codziennym kontakcie z Jezusem. Są jego nieodstępni towarzysze. Ich zadaniem jest modlić się i myśleć. Myśleć, co by Jezus z tym naszym dzisiejszym światem począł. A na to potrzeba odwagi i świeżości spojrzenia Jezusa.

Antoni POSPIESZALSKI

Biskupi ze Wschodniej Europy na Synodzie

W ósmym, kolejnym Synodzie Biskupów, poświęconym kształceniu kapłanów w aktualnych okolicznościach, uczestniczyli po raz pierwszy przedstawiciele wszystkich krajów Europy środkowo-wschodniej. Dotyczy to w szczególności Rumunii i Czechosłowacji oraz biskupów z nominacji papieskiej z krajów, w których brak dotąd Konferencji Episkopatu: bp. T. Kondrusiewicz z Białorusi i bp. S. Dmyterko ze Stanisławowa, reprezentującego Ukraiński Kościół Katolicki obrządku wschodniego. To zgromadzenie synodalne, obradujące przez cały niemal październik, przejdzie do historii Kościoła również z powodu utworzenia odrębnej, słowiańskiej grupy językowej, tzw. *circulus minor*. Do powołania do życia tej trzynastej grupy roboczej przyczynił się walcnie kardynał H. Gulbinowicz, jednak bez wyraźnego poparcia Jana Pawła II realizacja tej inicjatywy nie doszłaby do skutku. Kardynała Gulbinowicza wybrano na moderatora tego nowego koła, a biskupa S. Szymeckiego na relatora (na zastępcę biskupa D. Hrusovsky'ego ze Słowacji).

Jak można ogólnie określić pracę tego nowo utworzonego kręgu słowiańskiego? Czy mimo różnic w położeniu Kościoła np. w Polsce, w Rumunii czy zachodniej Ukrainie, istnieją problemy zbieżne odnośnie powołań kapłańskich i wychowania seminarijnego, a także tzw. kształcenia permanentnego, tzn. po uzyskaniu święceń kapłańskich? Z tymi i innymi jeszcze pytaniami zwróciłem się do kardynała Gulbinowicza z prośbą o naświetlenie pracy grupy, której przewodniczył.

KARD. GULBINOWICZ: — Synod Biskupów jako ciało doradcze Papieża narodził się po Soborze Watykańskim II. Mówiąc najkrócej, była to jedna z form tzw. kolegalności w Kościele. Działa już więc od 25 lat. Istniały dotychczas *circuli minores* z językiem włoskim, łaciną, francuskim, angielskim, niemieckim, hiszpańskim i portugalskim. Staraliśmy się, by powstał też *circulus minor slavus*, ponieważ po zmianach w środkowo-wschodniej Europie przybyło na Synod stamtąd wielu delegatów. Ci ojcowie synodalni reprezentują łącznie ok. 100 milionów katolików różnych obrządków. Jan Paweł II spełnił nasze pragnienie. Pracujemy podobnie jak inne grupy językowe. Do naszej weszło 21 ojców synodalnych, należących do ośmiu narodów. Podczas pracy nie mieliśmy „języka matki”, każdy uczestnik przemawiał w swoim języku ojczystym. Jeżeli były trudności, posługiwaliśmy się łaciną lub włoskim. Wielu ojców synodalnych znało język polski, co ogromnie ułatwiało pracę. Należy podkre-

lić, że prawie cztery tygodnie trwające obrady pomogły nam we wzajemnym zrozumieniu i przetarciu szlaków dla nowych form współpracy pomiędzy episkopatami tych ośmiu narodów.

Różnice w położeniu Kościoła nie powodują przeszkód w pracach nad kształceniem kapłanów, zarówno co się tyczy kandydatów do kapłaństwa, jak i kapłanów po otrzymaniu święceń. Zbieżność informacji — to wspólna platforma nie tylko w naszym *circulum*, ale we wszystkich grupach językowych. Odnosi się to również do Kościoła obrządku wschodniego na Ukrainie. Kieruje się on wprawdzie własnym Kodeksem Prawa Kanonicznego, ale asceza kapłańska, dążenie do świętości, rzetelność pełnienia swych obowiązków, są wszędzie te same. Biskupi i kapłani na Ukrainie organizują zniszczone przez totalitaryzm seminaria duchowne, nie mają siedzib, bibliotek, wykładowców (podobnie jest w Czechach i na Słowacji), ale mają zadziwiająco dużą ilość powołań. We Lwowie zgłosiło się na I rok studiów 362 alumnów, w Stanisławowie (Iwanofrankiwsk) 356 alumnów. Mieszkać muszą na stancjach, a wykłady odbywają się w kościołach. Mimo różnicy obrządków, tradycji kościelnej, języka liturgicznego, tak wiele nas łączyło podczas obrad, że wcześniej tego sobie nawet nie wyobrażaliśmy.

DOMINIK MORAWSKI: — *Liczne wystąpienia ojców synodalnych pochodzących z krajów Europy środkowo-wschodniej, zwłaszcza z Białorusi, Ukrainy, Rumunii, Słowacji i Czech, których przedstawiciele brali pierwszy raz udział w Synodzie, były nagrodzone oklaskami przez audytorium. Co najbardziej uderzyło ojców synodalnych z innych krajów?*

KARD. GULBINOWICZ: — Było to uznanie złożone przez przedstawicieli Kościoła wszystkich kontynentów cierpieniem i męczeństwem, jakie Kościoły prześladowane lub znajdujące się wręcz w podziemiu świadczyły przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Relacja naszej grupy roboczej zaczynała się od słów: „Nie przynosimy ojcom synodalnym zaskakujących projektów, lecz na wstępie pragniemy złożyć w wasze ręce bogactwo Krzyża, cierpienia i męczeńskiej śmierci, jaką w obronie wiary i wierności dla Krzyża oraz Stolicy Apostolskiej wnieśli niektórzy nasi biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice, a także nie ujęta w statystykę cyfr ofiara wiernych...” Zapanowała cisza i ścisnęły się serca słuchaczy, bo usłyszeli po raz pierwszy bez osłonek i kamuflażu wypowiedzianą prawdę tamtych nieludzkich czasów na nieludzkiej ziemi. Po raz pierwszy mogli ojcowie synodalni wyrazić publicznie swoje uznanie.

D.M.: — *Istnieją, jak się wydaje, dwa sposoby wsparcia przez lokalne Kościoły na Zachodzie pracy nad odbudowaniem seminariów duchownych i innych kościelnych instytucji wychowawczych na terenie ZSSR. Pierwszy — to bezpośrednia pomoc materialna, drugi — przy-*

mowanie alumnów z krajów wschodnich do seminariów w Europie zachodniej. Który jest bardziej przydatny także z punktu widzenia wypełnienia niedostatku kapłanów na Zachodzie przez nadwyżki powołań w Europie wschodniej?

KARD. GULBINOWICZ: — Istnieje wiele sposobów pomocy dla odradzającego się życia religijnego w ZSSR, a także np. w Rumunii, na Słowacji i w Czechach. Pomoc materialna jest potrzebna na zakup od razu sprzętu dla nowo utworzonych seminariów. Moim zdaniem sprawą najważniejszą jest biblioteka filozoficzno-teologiczna¹, ale też literatura piękna. Obok wychowania religijnego trzeba bowiem też podjąć pracę nad wychowaniem humanistycznym. Na ten temat powinno się pisać w prasie i organizować fundacje.

Nie wydaje się, aby można było wysyłać w najbliższych latach alumnów ze Wschodu do kształcenia na Zachodzie. Oni powinni zdobywać wiedzę i przygotowanie do kapłaństwa na terenie własnych Kościołów lokalnych. Ogromnie ważnym czynnikiem jest znajomość duszy narodu. Na Zachodzie dusza narodów wschodnich jest mało znana. Podobnie jak my ze Wschodu nie zawsze rozumiemy duszę narodów zachodnich. Gdyby to ode mnie zależało, to przygotowanie do kapłaństwa powinno odbywać się na terenie diecezji pochodzenia kandydata. Każda diecezja, nawet tego samego obrządku, różni się od innych swoją specyfiką pisaną przez stulecia. Tę specyfikę kandydat do kapłaństwa powinien tak dobrze znać jak prawdy o Bogu, Kościele i człowieku. O tym, by można było nadmiar powołań na Wschodzie przerzucić na Zachód obecnie nie ma mowy. Wschód jest bowiem bardziej spragniony kapłana niż Zachód. Biskup Białorusi mówił, że na prawie 300 parafii ma do dyspozycji niecałą setkę kapłanów łącznie z „pożyczonymi”. A wśród duchowieństwa Białorusi stale tam pracującego i kanonicznie do tej ogromnej diecezji należącego ok. 20 ma ponad 80 lat. Podobnie jest w innych diecezjach.

D.M.: — *W niektórych wystąpieniach biskupów z republik sowieckich, ale również i z dawnej strefy satelickiej, była mowa o trudnościach jakie nastroć będzie kształcenie seminarzystów wychowanych w atmosferze ateizmu. W jakiej mierze propozycje synodalne, dotyczące uaktualnienia „formacji kapłańskiej”, znajdują wyraz w życiu Kościoła na obszarach Europy środkowo-wschodniej?*

KARD. GULBINOWICZ: — Pytania takie padały nie tylko w wystą-

1. Biskup Kondrusiewicz z Grodna (siedziba tymczasowa zanim nie będzie gotowa siedziba i katedra w Mińsku) mówił mi, że najpilniejszą kwestią stanowi przełożenie na język rosyjski (polski nie jest dostatecznie znany) podręczników do nauki w seminariach. Jak się zdaje niestrudzony O. Werenfried van Straaten z Koenigstein (L'Eglise en detresse) przyrzekł konkretną pomoc w rozwiązaniu tej pilnej potrzeby.

pieniach biskupów z republik sowieckich i krajów dawnej strefy satelickiej. Jest to sprawa aktualna na wszystkich chyba szerokościach geograficznych. Zlaicyzowany świat wyciska swoje piętno na psychice młodego człowieka, także tego, który zostaje powołany do stanu duchownego. Egoizm, hedonizm, materializm itp. nie są obce nikomu. Dla zaradzenia tym problemom należy zakładać, że jedno z postanowień obecnego synodu, dotyczących metod pracy wychowawczej w seminariach duchownych, obejmie tzw. *annus propedeuticus*², czyli pierwszy rok przygotowujący do właściwych studiów teologicznych i filozoficznych. Nie czas jeszcze, by określać jaki będzie miał program. Podczas wystąpienia na sesji plenarnej synodu wniosłem ten postulat i tylko temu tematowi je poświęciłem. Wielu ojców synodalnych podjęło później ten problem, należący do najważniejszych, a może najpilniejszych zadań. O tym zdecydowały jednak sam Papież w ogłoszonej apostołskiej adhortacji post-synodalnej oraz odpowiednie dykasterie Kurii Rzymskiej.

Rzym, 29 października 1990 r.

Dominik MORAWSKI

PRZEDSTAWICIELE NARODÓW SŁOWIAŃSKICH NA VIII SYNODZIE BISKUPÓW

Bp Sophron Dyerko — Ukraina; Kard. Henryk Gulbinowicz — Polska; Abp Maxim Hermaniuk — Kanada (Ukraińiec obrządku wschodniego); Bp Dominik Hrusovsky — Słowacja; Abp Ante Juric — Chorwacja; Bp Tadeusz Kondrusiewicz — Białoruś; Bp Franciszek Lobkowicz — Czechy; Kard. Myroslaw I. Lubaczivsky — Ukraina (rezydujący w Rzymie); Bp Henryk Muszyński — Polska (Sekretarz Specjalny Synodu); Bp Stanisław Nowak — Polska; Bp Vilhelms Nukss — Łotwa; Bp Metod Piriš — Słowenia; Bp Stephan Sułyk — USA (Ukraińiec obrządku wschodniego); Bp Stanisław Szymecki — Polska; Ks. Rektor Stanisław Kur — Polska; Bp Paweł Socha — Polska; Ks. Prof. Walerian Słomka — Polska (ekspert); P.S. Krystyna Dębowska — Polska (audytor); Ks. Prof. Tadeusz Fitych — Polska (audytor); Ks. Prof. Jan Matejka — Czechosłowacja (audytor); Ks. Bojan Raubar — Słowenia (audytor).

Biskupi z Litwy (1), Rumunii (3) i Bułgarii (1) weszli w skład innych grup językowych.

2. Młodzi ludzie potrzebują tego, ponieważ komunizm doprowadził do dezintegracji osobowości ludzkiej — powiedział bp. Szymecki.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Od czego zaczyna się rozpad państwa? Na to pytanie możliwe są różne odpowiedzi. Wśród możliwych objawów rozpadu poczesne miejsce zajmuje — tak sądzę — utrata szacunku dla symboli danego państwa. 13 października 1990 Michaił Gorbaczow podpisał kolejny ukaz prezydenta ZSSR „O zaprzestaniu sztycherstw z pomników, związanych z historią państwa i jego symbolami”. W ukazie mowa jest o tym, że w praworządym państwie nie szydzi się z grobów żołnierzy, że to oburza „szerokie warstwy społeczeństwa”, że „czyny tego rodzaju są sprzeczne z tradycją narodową” itd. Któżby temu zaprzeczał! Rzecz tylko w tym, że głównym obiektem obrony przed urąganiem jest Lenin, powielony w dziesiątkach tysięcy posągów, które zdobią byle dziurę rozległej sowieckiej ziemi. Polowanie na posągi wodza Października stało się tak powszechne, że prezydent zapowiedział „zaostrenie odpowiedzialności karnej i administracyjnej za naruszanie prawa o ochronie pomników”. Ojca państwa sowieckiego strzegą teraz zastępy milicjantów.

Na początku listopada odbyła się w Neapolu międzynarodowa konferencja poświęcona Leninowi. Prof. Igor Winogradow, jeden z wybitnych przedstawicieli obecnej liberalnej inteligencji rosyjskiej, powiedział w związku z ukazem Gorbaczowa, że Lenin sam potępiłby swoje posągi, ponieważ ich poziom artystyczny jest poniżej zera. Igor Winogradow jest specjalistą od literatury rosyjskiej i dlatego pozwoliłem sobie zaoponować: kult Lenina zaczął się za życia wodza, który bynajmniej nie protestował przeciwko poświęcaniu mu portretów i posągów, a ich poziom nie był wyższy od obecnego. Rzecz jednak naturalnie nie w urodzie czy szpetocie pomników. Chodzi o stosunek do symboli ideologii państwowej. Ten zaś nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Gdyby jednak ktoś wątpił, to nabierze pewności w obliczu spadku prenumerat na pisma i gazety w 1991 roku. Pod koniec 1990 r. praktycznie wszystkie periodyki sowieckie ogłosiły, że są niezależne, suwerenne i samorządne. Dziwnym trafem był to akurat

moment wznawiania prenumerat na następny rok. Pierwsze rezultaty już są wiadome. Zdziwiły one nawet skrajnych pesymistów (albo optymistów — to zależy od punktu widzenia). Największy nakład w ZSSR i w ogóle na świecie miało pismo *Argumenty i fakty* — 33,5 miliona egzemplarzy. W 1991 r. nakład wyniesie 7,5 mln, czyli 22,7% poprzedniej liczby. Pismo *Trud* — drugie pod względem wysokości nakładu — zachowuje drugie miejsce, bo straciło tylko 76% czytelników. *Komsomolskaja prawda*, która słusznie szczyciła się swoimi 22 milionami egzemplarzy, będzie ich miała w przyszłym roku 4,1 mln. Tygodnik *Ogoniok*, jedna z tub *pieriestrojki*, traci ponad 90% nakładu — zostaje mu 400 tys. Najwymowniejszym wskaźnikiem, jak dalece naród utracił zainteresowanie dla gazet i ideologii, jest jednak nakład *Prawdy* — 500 tys. egzemplarzy, 7% nakładu z 1990 roku.

Naczelnym redaktorem centralnego organu KPZS, Iwan Frolow, były pomocnik Gorbaczowa, wysłany rok temu do *Prawdy* dla umocnienia organu, wierzył jeszcze na początku listopada (patrz wywiad dla *Time'u* z 5.11.1990), że w 1991 r. nakład spadnie z 7,7 miliona do 3 mln. Przeliczył się.

Ignorując fakty, Biuro Polityczne KC KPZS w tradycyjnych „apelach” z okazji 73-ej rocznicy rewolucji wzywało: „Towarzysze! Bądźmy wierni ideałom Października, brońmy imienia i dzieła Lenina!”. Napisałem „ignorując fakty” i zastanowiłem się: co uznać za fakty? Burzenie posągów Lenina czy ukaz o ich ochronie oraz ich faktyczną ochronę? Ogłaszanie w prasie krytycznych pod adresem Lenina wypowiedzi czy hymny prezydenta ZSSR na jego cześć? Najwłaściwiej chyba uznać, że jedno i drugie jest faktem. Pytanie tylko, co jest ważniejsze i co zadecyduje o przyszłości.

Obchody 73-ej rocznicy rewolucji przejdą do historii. Być może dlatego, że w przyszłym roku nie będzie już parady wojskowej i pochodu ani w Moskwie, ani w innych miastach. Już w tym roku zaznaczył się opór przeciwko jubileuszowi. Rada Moskwy zaproponowała, aby nie świętować dnia, w którym zaczęły się wszystkie nieszczęścia; Rada Leningradu też była przeciw, że nie wspomnę już o mieszkańcach republik, które ogłosiły suwerenność. Mimo to rocznicę w tym roku obchodzono: w Moskwie na Placu Czerwonym, w innych miastach jak najdalej od centrum. Jednak głównym powodem, dla którego tegoroczna manifestacja wryje się w pamięć, są strzały na Placu Czerwonym. Lud pracujący spokojnie defilował, kiedy zniemacka rozległy się dwa wystrzały. Strzelał, jak bardzo szybko ustalono (śmiałka natychmiast ujęto) leningradzki robotnik Aleksander Szmonow: strzelał z karabinu z obciętą lufą, tzw. obrzynka, więc choć stał o 200 m od trybuny, przy najlepszych chęciach nie mógł w nikogo trafić.

Francuzi powiadają, że pożyczca się tylko bogactwom. Jeżeli chodzi o kapitał prowokacji, nikt nie dorówna bogactwu KGB. Podejrzenia naturalnie natychmiast skierowały się przeciwko „organom”. I rzeczywiście, wszystko złożyło się wyjątkowo udatnie. Aby wejść na Plac Czerwony, trzeba minąć dwa kordony straży, a Szmonow

jakoś przeszedł z dubeltówką pod połą płaszcz. Został też natychmiast ujęty, tak że mało kto zauważył zajście, ale szczęśliwym trafem ktoś je sfilmował amatorską kamerą video i już wieczorem cały naród mógł obejrzeć „zamach” na Placu Czerwonym. Trzy dni później (10.11) gazety szczegółowo opisały wszystkie okoliczności sprawy, chociaż śledztwo dopiero się zaczęło. *Sowietskaja Rossija* doniosła, że A. Szmonow jest znany (komu?) z tego, że rozrzucał antykomunistyczne ulotki, sporządzone przez Związek Demokratyczny. *Komsomolskaja prawda* z kolei dowiedziała się, że Szmonow przyznał się w czasie przesłuchań w KGB, że chciał kogoś zabić.

„Zamach” jest jednym z elementów jubileuszu i obróbki opinii publicznej. Pisałem w poprzednim przeglądzie o pogłoskach, które sięją połoch wśród ludności: szepcze się o puczu wojskowym, o spisku w łonie władzy. 13 listopada Michaił Gorbaczow wygłosił do niewielkiego audytorium półtoragodzinną mowę. Słuchało go 1.100 wojskowych — deputowanych do Rady Najwyższej ZSSR i RSFSR. Byli to wojskowi, ale parlamentariusze (by użyć przyjętego dziś tytułu) i parlamentariusze, ale wojskowi. Prezydent zaproponował im, aby zaprzeczyli pogłoskom o puczu wojskowym, bo „wojsko nigdy nie pójdzie przeciwko narodowi”. Z drugiej strony straszył „krwawą łaźnią”, jeśli republiki spróbują tworzyć własne jednostki wojskowe, „rozkładać armię na części”. Szereg republik, w tym Ukraina, uchwaliło, że rekrutom nie wolno służyć poza terytorium własnej republiki. Gorbaczow powiedział, że taka zasada może doprowadzić do „wojny domowej i rozmaitych starć”.

Drugim wielkim niebezpieczeństwem jest — zdaniem prezydenta — rozpad więzów ekonomicznych. Może on doprowadzić do sytuacji jeszcze straszniejszej aniżeli to, co działo się w Chinach w czasie rewolucji kulturalnej.

Gorbaczow postanowił wytłumaczyć wojsku, że należy względnie zachować jedność gospodarczą i wojskową Związku Sowieckiego. Jedna armia i jedna gospodarka — tak brzmi program ojca *pieriestrojki* w przededniu jej szóstych urodzin. Rada Najwyższa zapozna się wkrótce z projektem traktatu związkowego — będzie to być może ostatnia próba uratowania ZSSR przy nieco zmienionej formule.

Projekt opiera się na koncepcji „zmiennej geometrii”: suwerenne republiki, które podpiszą traktat będą należały do ZSSR, ale ich więzy z centralą będą zależne od ich woli. Zgodnie z tą koncepcją powstaną dwie grupy republik. W pierwszej będzie ich osiem: Rosja, Ukraina, Białoruś, Turkmenia, Kirgizja, Tadżykistan, Uzbekistan i Kazachstan (słowiańskie jądro plus republiki muzułmańskie). W drugiej — siedem: Azerbejdżan, Armenia, Gruzja, Mołdawia i trzy republiki nadbałtyckie. Całość będzie się nazywała Związkiem Suwerennych Republik Sowieckich.

Tekst traktatu jeszcze nie istnieje. Wiedzę o nim czerpiemy z informacji doradcy prezydenta, Grigorija Rewienko. Uwagę zwraca artykuł, który przewiduje, że autonomiczne republiki będą miały

prawo przekształcać się w związkowe. Jest to jeden z najmocniejszych atutów Moskwy. Ledwie Mołdawia ogłosiła suwerenność, w jej ślady poszła ok. 150-tysięczna grupa Hahauzów, która uniezależniła się od Kiszyniowa, a następnie terytoria, zamieszkałe przeważnie przez Rosjan. Powstały republiki Hahauska i Naddniestrzańska. Kiszyniów ich nie uznał. Zapachniało wojną domową: zbrojne oddziały Mołdavian ruszyły w kierunku buntowników, którzy uformowali oddziały samoobrony. Starciom zapobiegło wprowadzenie na „sporne” tereny wojsk MWD ZSSR, wysłanych przez Moskwę.

Przemawiając 14 października na zjeździe związków zawodowych, Gorbaczow powiedział mniej więcej to samo, co potem powtórzył wojskowym, ale straszyl związkowców tym, że rozpad Związku Sowieckiego — który niechybnie nastąpi, jeżeli nie zostanie podpisany nowy traktat — doprowadzi do „władzy silnej ręki”.

Wielokrotnie już zwracałem uwagę na zjawisko, które jest stałym czynnikiem sowieckiej polityki wewnętrznej: Michaił Gorbaczow nie zważając na nic stale odkłada rozwiązanie palących problemów, a zarazem stale poszerza zakres swej władzy. Można by uważać, że jest to władza pozorna, bo jego ukazy pozostają martwą literą, dyrektyw nikt nie wykonuje, a republiki oraz wielkie miasta (Moskwa, Leningrad) same podejmują decyzje, nie oglądając się na centralę. Rzecz jednak w tym, że decyzji władz terenowych (republikkańskich, miejskich) też nikt nie wykonuje. Toczy się współzawodnictwo bezsilności: nikt nie potrafi niczego zrobić, choćby rzucił nie wiem jak gromkie słowa. W tym konkursie bezsilności prezydent wciąż jest stroną silniejszą. Zupełnie niedawno na przykład zniknęli wszyscy rzecznicy (Rady Najwyższej, Rady Ministrów) poza rzecznikiem prezydenta. 13 listopada zwolniono z pracy rzecznika prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Gennadija Gierasimowa, którego dobrze znali wszyscy zagraniczni korespondenci w Moskwie, który dużo jeździł po świecie i propagował sowiecką politykę zagraniczną. Jego funkcje przejął kierownik wydziału prasowego prezydenta, Witalij Ignatienko.

W ostatnich miesiącach — jak należało się spodziewać — kwestia narodowa przeradza się coraz bardziej w kwestię rosyjską. Prasa i telewizja przedstawiają ją jako spór między Gorbaczowem i Jelcynem. Swoista rywalizacja między tymi dwoma przywódcami nie ulega wątpliwości. Można zrozumieć gorycz Gorbaczowa, kiedy ogląda, jak jego wybraniec zaczyna brać się na poważnie i pretendować do pierwszego miejsca. Można zrozumieć Jelcyna, który wie, że jest najpopularniejszym przywódcą w ZSSR, a mimo to prezydent go lekceważy. Jednak niezależnie od osobistej rywalizacji obaj wiedzą, że pracują w jednym zaprzęgu. Gorbaczow jest niewątpliwie dużo sprytniejszy i bardziej doświadczony na polu intryg politycznych. Jelcyn, który wciąż się skarży na „zdrady” Gorbaczowa, na jego wymijające postępowanie i brak zdecydowania, szuka jednak dróg współpracy. Po pierwszej turze rozmów w sierpniu Jelcyn

myślał, że Gorbaczow zgodził się na uchwalenie ekonomicznego programu „500 dni”. Szybko się okazało, że nic podobnego. Gorbaczow zmusił Radę Najwyższą, aby uchwaliła inny program, który nie jest żadnym programem. W listopadzie obaj przywódcy spotkali się znowu, a następnie podali do wiadomości publicznej dwa warianty umowy, do której doszli. Mimo to najważniejsze uzyskali: Rosja uznaje ideę traktatu związkowego w tej formie (możliwe są poprawki kosmetyczne), w której został opracowany w kancelariach prezydenta.

Przypominają mi się stare nieme filmy, w których przejście od jednego miejsca akcji do innego zaznaczano napisami na całą szerokość ekranu: w a tym czasie... Powiedzmy, że bohater w pocie czoła wyrabia plan w pracy, a w tym czasie jego żona całuje innego. Te dramatyczne efekty zawsze silnie działały na widzów. O czymkolwiek byśmy dziś pisali w związku z ZSSR, zawsze można dodać, że „w tym czasie” dzieje się coś nie mniej ważnego, tragicznego, brzemiennego w Bóg wie jak złowieszczę następstwa. Podczas gdy szykowano obchody rewolucji październikowej i debatowano nad projektem traktatu związkowego, grupa trzynastu (!) ekonomistów ogłosiła w *Komsomolskiej prawdzie* (5.11.90) list otwarty, w którym zapowiedziała niechybny krach gospodarczy. Najdziwniejszy w tym jest fakt, że autorzy listu są najwybitniejszymi sowieckimi specjalistami od gospodarki. Figurują wśród nich nawet dwaj najbliżsi doradcy prezydenta, Stanisław Szatalin i Jewgienij Pietrakow, a także wicepremier Rosji Grigorij Jawlinskij... Ci wybitni eksperci, autorzy wszystkich programów reform ekonomicznych, oświadczają: „Nie wiemy, jaki jest rzeczywisty stan gospodarki”. Pozostaje głupio zapytać: a kto wie? A jeśli nie wiecie, to na jakiej podstawie opracowywaliście plany (w tym słynny projekt „500 dni”) i ile one mogą być warte?

List trzynastu stanowi skargę na prezydenta. Gorbaczow pospisał 4.11. dekret o surowej centralnej kontroli wydatków dewizowych, idąc za radą (trudno odgadnąć, czyją), że reformę należy zacząć od umocnienia rubla. Zbuntowani ekonomiści twierdzą, że „przejście do rynku odbędzie się nie poprzez stabilizację rubla, a drogą inflacji i późniejszych bolesnych zabiegów, aby ją opanować”.

Ekonomiści spierają się już od sześciu lat. Gorbaczow wybiera to jedną propozycję, to drugą, zależnie od okoliczności politycznych, które zawsze były w Związku Sowieckim jedynym kryterium. Może sobie na to pozwolić, bo dotychczas nie napotkał zorganizowanej, zbrojnej w jasny program reform opozycji.

Piszę „dotychczas”, bo należy mieć nadzieję, iż opozycja któregoś dnia powstanie. Rzeczywista, prawdziwa opozycja, która odrzuci w kącie rady sowieckich ekonomistów i polityków. W morzu gazetowego gadulstwa znalazłem rubrykę listów do redakcji, która wydała mi się warta uwagi. 15 września *Komsomolskaja prawda* ogłosiła artykuł Aleksandra Zinowiewa pt. „Chcę wam opowiedzieć o Zachodzie”. Autor „Przepastnych wyżyn” nie poszczędził czarnej

farby — życie na Zachodzie przedstawił jako istne piekło. Nie będą cytował; kto był na Zachodzie, ten wie: na jednym biegunie bogactwo, a na drugim — nędza, wszyscy myślą tylko o pieniądzech, prawdziwej kultury nie uświadczysz itp., itd. 24 października ta sama *Komsomolskaja prawda* zawiadomiła czytelników, że do redakcji wpłynęło już 300 odpowiedzi na artykuł. Osiem z nich gazeta opublikowała pod wspólnym tytułem „Chcemy wam opowiedzieć o ZSSR”. Sowieccy czytelnicy piszą np.: „A. Zinowiew opisuje ciężką dolę zachodniego przedsiębiorcy (wszystko po to, żeby uskładać pieniądze na starość). Ja mam lat 44, od dwudziestu lat pracuję jako technolog i na pewno straciłem nie mniej sił fizycznych i duchowych aniżeli ten przedsiębiorca, ale on przynajmniej zarobił trochę grosza i będzie mógł coś dzieciom zostawić...” Autor innego listu zarzuca słynnemu pisarzowi brak logiki: „O pieniądzech myślimy nie mniej, niż ludzie na Zachodzie. Tyle, że u nas nawet mając pieniądze niczego się nie ma...” Jeszcze inny autor oświadcza: „prawie z wszystkimi Pana tezami absolutnie się zgadzam, zwłaszcza z tym, że Zachodowi daleko jeszcze do doskonałości. Dziwne jest tylko jedno. W jaki sposób tacy łajdaki potrafią zapewnić ludziom przyzwoite życie, podczas gdy nasi 'przywódcy'...”

Krótko mówiąc, jest nadzieja. Tym bardziej, że KGB zaprosił na swego rzecznika prasowego 23-letnią Katię Majorową. Jej fotografia na pierwszej stronie *Komsomolskiej prawdy* zapowiada, że czeka nas jeszcze wiele dobrego. Gazeta nazywa Katię Majorową *miss KGB*.

15.11.1990

Adam KRUCZEK

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

2 i 20 października odbyły się rozmowy konsultacyjne litewsko-rosyjskie w sprawie rokowań, które miałyby zacząć się pod koniec listopada. Strona sowiecka nie podpisała jednak dotychczas protokołu stwierdzającego zgodnie z moratorium, że rokowania będą miały charakter rozmów międzypaństwowych. Moskwa domaga się udziału w rokowaniach reprezentantów nielitewskich mieszkańców Litwy oraz chce podporządkować sobie gospodarczo Litwę, wymuszając na niej udział w ogólnozwiązkowej reformie ekonomicznej. W przeciwnym wypadku rząd sowiecki straszy zerwaniem stosunków gos-

podarczych. Trzecim punktem spornym jest służba poborowych z terenu Litwy w Armii Sowieckiej.

8 października, podczas wizyty w Norwegii, prezydent Landsbergis otworzył w Oslo pierwsze litewskie biuro informacyjne, które uznane zostało za litewską instytucję państwową, choć nie uzyskało statusu dyplomatycznego.

11 października prezydent Mitterrand przyjął prezydenta Landsbergisa. Następnie Landsbergis spotkał się z premierem Rocardem, ministrem spraw zagranicznych Dumasem i przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego Fabiusem. W ten sposób Landsbergis uzyskał *de facto* uznanie swej pozycji prezydenta odrębnego kraju, mimo że mówiono o „wizycie prywatnej”. Francois Mitterrand wystąpił jednak wobec Landsbergisa jako obrońca interesów Gorbaczowa, o którego los wielce się martwił i wyjaśnił, że polityka Francji wobec Litwy będzie zgodna z życzeniami genseka. Zdaniem Mitterranda udział Litwy w paryskiej konferencji KBWE wprowadzie „byłby rzeczą normalną”, ale przedstawia „pewne kłopoty, o których trzeba jeszcze dyskutować”. Prezydent Litwy w wywiadzie dla *Le Monde*'u stwierdził, że przewiduje osiągnięcie rzeczywistej niepodległości „od dziś za rok”.

W dniach 20-21 października odbył się zjazd założycielski Partii Niepodległości (poprzednio: Partia 11 Marca), której przewodniczącym wybrano Virgilijusa Czepaitisa. Miałaby ona stanowić zaplecze polityczne dla prezydenta Landsbergisa. Partia stawia sobie za zadanie walkę z nomenklaturą. Uchwalono zakaz przyjmowania w szeregach partyjne byłych komunistów.

Ukazało się 7 numerów nowego tygodnika *Vilniaus Sajudis* („Sajudis Wileński”), redagowanego przez L. Vilkasa, członka Ligi Wolności Litwy, a wydawanego przez Radę Wileńską *Sajudisu*. Nie mogąc ingerować w treść pisma, wydawca doprowadził do jego zamknięcia. *Vilniaus Sajudis* był tygodnikiem o bezkompromisowej, antykomunistycznej linii. Obecnie redakcja chce kontynuować wydawanie pisma ze środków własnych.

Pięciu członków Rady Wileńskiej *Sajudisu* stwierdziło, iż jest on kontrolowany od wewnątrz przez litewskich zwolenników Gorbaczowa, co spowodowało, że Ruch nie stał się siłą opozycyjną wobec rządzącej partii komunistycznej, a jej sekretarz Brazauskas uzyskał nawet dzięki Frontowi dużą popularność. Dlatego utworzyli oni wewnątrz Rady Wileńskiej frakcję radykalną i wezwali do organizowania takich grup na terenie całego kraju. Ich członkowie powinni odciąć się od komunistycznych członków *Sajudisu* i połączyć się we Froncie Antykomunistycznym.

W klajpedzkim tygodniku *Mažoji Lietuva* („Mała Litwa”) ukazał się anonimowy artykuł oskarżający prezydenta Landsbergisa i jego niekomunistycznych współpracowników o spiskowanie z Izraelem na szkodę „czystych rasowo” Litwinów.

6 października w Ejszyszkach zjazd 200 polskich deputowanych do samorządów terenowych Wileńszczyzny uchwalił utworzenie pol-

skiej autonomicznej jednostki terenowej — Polskiego Kraju w składzie Republiki Litwy. Przeciw uchwałę głosowali Z. Balcewicz, Cz. Okińczyc i M. Czobot. Zjazd odrzucił propozycję radnego z Solecznik, by ustanowić Polską Republikę Sowiecką. Jej zwolennik stwierdził, że „KPZS była kierowniczą siłą gdy rodziła się idea autonomii”. Gdyby taka republika powstała, jej mieszkańcy mieliby zachować obywatelstwo sowieckie, poborowi służyliby w Armii Czerwonej i wojskach MSW ZSSR, które zostałyby rozlokowane na terenie republiki. Pierwszy projekt powołania Republiki Wschodniej Polski ze stolicą w Grodnie proponował Jan Ciechanowicz. Na zjeździe obecni byli goście z rosyjskiego *Jedinstwa*. Poparli oni skrajnie antylitewskie stanowisko.

Brak reformy rolnej (dekoloktywizacji) umożliwia polskiej nomenklaturze komunistycznej sprawowanie funkcji kierowniczych w ośrodkach wiejskich.

Pod koniec września w Druskiennikach i w Wigrach odbyła się czterodniowa konferencja polsko-litewska zorganizowana przez Litewską Akademię Nauk i ogólnopolski Klub Miłośników Litwy. Zdaniem L. Brodowskiego, prezesa Klubu, rząd litewski, znajdując się pod naciskiem nacjonalistów litewskich, nie wysunął pozytywnego programu polskiego, na który powinny składać się: reaktywowanie wyższego seminarium duchownego w Wilnie, w którym mogliby kształcić się Polacy, utworzenie na Uniwersytecie Wieleńskim katedry filologii polskiej, umożliwienie profesorom z Polski prowadzenia gościnnych wykładów w języku polskim na Uniwersytecie, wprowadzenie polskiego jako drugiego języka urzędowego w 27 *apylkach* oraz oddanie społeczności polskiej budynku teatru na Pohulance. Tymczasem nacjonalizmy obu narodów wspierają się.

Na rozpatrzenie polskiego MSZ-u czeka projekt utworzenia w Warszawie ośrodka informacji litewskiej.

Doktryna Skubiszewskiego zakłada, że „Polska nie weźmie udziału w zmianach wewnętrznych w ZSSR, że na przykład sprawa niepodległości Litwy, zasługująca na polskie poparcie, to kwestia do wcześniejszego rozstrzygnięcia między Wilnem a Moskwą”. Koncepcja ta sprowadza się do przeświadczenia, że skoro Polacy nie będą się wtrącać w „wewnętrzne sprawy” Związku Sowieckiego, władcy imperium przestaną wtrącać się w sprawy wewnętrzne Polski.

W październiku delegacja Białorusi odmówiła podpisania wspólnej deklaracji o zasadach kształtowania wzajemnych stosunków między Polską a Białorusią. Ze strony białoruskiej w rozmowach uczestniczyli przedstawiciele władz republiki i frontu ludowego *Adradzienia*. Strona białoruska nie zgodziła się uznać umowy granicznej z 16 sierpnia 1945 roku i wysunęła zastrzeżenia do sformułowania, iż obecna granica „jest nienaruszalna teraz i w przyszłości”. Przewodniczący Frontu Zianon Pazniak twierdził, iż „Białostoczczyzna jest etniczną

ziemią białoruską”. Drugim punktem spornym było żądanie strony białoruskiej, by wprowadzić specjalny status dla Białorusinów na Białostoczczyźnie. Pod konsulem polskim w Mińsku demonstrowało 5-ciu członków *Adradzienia* z plakatami: „Białostoczczyzna to rdzene ziemie Białorusinów”, „Precz z antybiałoruskim terrorem w Polsce”, „Pamiętamy o Grabarce”, „Sanacja — nie zapomnieliśmy Berezę Kartuskiej”, „Masowe zwalnianie Białorusinów to szowinizm”, „Książ postaćem bożym, a nie agentem ościennego państwa”.

12 lipca więzień, przebywający na przepustce, podpalił cerkiew na Garbarce; złapany stwierdził, że postąpił tak, ponieważ nie udało się tam nic ukraść. W tym roku podpalono cerkwie w Krakowie i Narwi, a obrabowano w Olsztynie. W ciągu ostatnich lat spalono cerkwie w Klejnikach, Kruszynianach, Jamnie i Czyżach.

W roku 1990 budżet państwa udzielił pomocy na działalność narodową Białorusinów w Polsce w wysokości 951 mln zł (ponad 95 tys. dolarów).

Ogłoszony 1 października na Ukrainie dwugodzinny powszechny polityczny strajk ostrzegawczy przeciw polityce rządu nie powiódł się; strajkowano przede wszystkim w Hałycynie. W momencie otwarcia 2 sesji Rady Najwyższej pod budynkiem Sowietu demonstrowało około 100 tys. osób.

2 października rozpoczęła się głódówka studentów, a 15 października manifestacje studenckie w Kijowie, do których przyłączyli się uczniowie. Protesty zakończyły się, gdy 17 października Rada Najwyższa przegłosowała dymisję premiera Masoła, zgodziła się przeprowadzić w 1991 roku referendum w sprawie votum zaufania dla siebie i w wypadku przegranej obiecała rozpisanie wielopartyjnych wyborów. Rada uchwaliła też, że służba wojskowa poza Ukrainą będzie wymagała zgody poborowych oraz obiecała rozpatrzyć sprawę nacjonalizacji majątku partii, komsomołu i uchwalić nową konstytucję, zanim dojdzie do podpisania nowego układu związkowego. W ten sposób część żądań studenckich spełniono, choć połowicznie, a rozstrzygnięcie reszty odsunięto na później.

25 października odbył się II Zjazd Ruchu. Dokonano zmian w statucie, który teraz zakazuje przynależności do Ruchu członkom partii lub organizacji politycznych, których organy kierownicze znajdują się poza granicami Ukrainy. Przepis ten dotyczy KPZS. Wiceprzewodniczący Ruchu S. Koniew był zdania, że należy zdelegalizować kompartię. Powtórnie wybrano przewodniczącym Ruchu Iwana Dracza, zaś Michajło Horyń został przewodniczącym Rady Politycznej, która ma koordynować działalność partii politycznych, wywodzących się z Ruchu. Zmiany w programie dotyczą celu bezpośredniego, jakim jest doprowadzenie do wielopartyjnych wyborów i celu ostatecznego tj. stworzenia suwerennego i demokratycznego państwa ukraińskiego.

3 listopada Sowiet Ukrainy zatwierdził projekt niezależności gos-

podarczej republiki. Przewiduje on m.in. podział ziemi, prywatyzację, wprowadzenie waluty ukraińskiej, przystąpienie do MFW. We Lwowskiem będą wkrótce wprowadzone czeki — początek własnej waluty, które następnie obejmą całą Ukrainę.

W. Czornowił, przewodniczący Rady *oblasti* lwowskiej, stwierdził, że kompartia schodzi ze sceny *oblasti* i trzeba przyspieszyć rozwój partii politycznych, które mogłyby wypełnić polityczną próżnię. Na terenie całej Ukrainy Ruch liczy 400 tys. członków, natomiast najsilniejsza Ukraińska Partia Republikańska 5,5 tys. członków.

UPR poparła akcję rejestracji obywateli Ukrainy, zainicjowaną przez radykalniejsze lecz niewielkie ugrupowania, skupione w Zgromadzeniu Międzypartyjnym, z którym UPR nie współpracuje.

Zarejestrowano oficjalnie statut Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej. Ma ona 1.130 zarejestrowanych cerkwi wobec 1.300 kościołów katolickich.

Kardynał Lubaczewski zapowiedział powrót do Lwowa na początku 1991 roku.

Zwolniono ostatniego ukraińskiego więźnia politycznego. B. Kłymczaka, skazanego w 1978 roku na 15 lat obozu.

Ukraińska Agencja Prasowa zarejestrowała 186 pism niezależnych na Ukrainie, 3 w Rosji, 4 w Nadbałtyce, 12 w Polsce i 1 w Czechosłowacji. Na Ukrainie 26,6% niezależnych pism wydaje Ruch.

Na 970 tys. ludności *oblasti* czerniowieckiej przypada 190 tys. Rumunów. Front ludowy Mołdawii domaga się przyłączenia Płn. Bukowiny, okręgu Chocimia i Transsinnistrzy do Mołdawii. 3 listopada Ukraińcy utworzyli łańcuch łączący Północną Bukowinę i Północną Besarabię z Ukrainą na długości 450 km, by zademonstrować swą wolę obrony przed roszczeniami mołdawskich Rumunów.

Na Zakarpaciu powstało Towarzystwo Rusinów Karpaccyckich. Mówi się o uaktywnieniu ruchu rusińskiego, czego przejawem miałyby być dążenie do połączenia z Czechosłowacją. Na Zakarpaciu pojawili się też zwolennicy autonomii w ramach Ukrainy lub własnej państwowości. Rosną również nastroje proęgierskie, a mniejszość węgierska domaga się utworzenia narodowego organu administracji. Ruch rusiński odradza się także na słowackiej Piaszowszczyźnie, gdzie mieszkańcy domagają się prasy i teatru w dialekcie oraz jego nauki w szkołach, podkreślając, iż czują się Rusinami, a nie Ukraińcami czy Rosjanami. Poprzednio większość Rusinów identyfikowała się ze Słowakami.

W czasie październikowej wizyty ministra spraw zagranicznych RP Skubiszewskiego w Kijowie podpisano deklarację o zasadach stosunków ukraińsko-polskich; uznano wzajemnie suwerenność obu państw, postanowiono ustanowić stosunki konsularne i wymianę konsulatów, a w przyszłości rozszerzenie przedstawicielstw do rangi ambasad, potwierdzono wzajemną rezygnację z roszczeń terytorialnych.

Józef DARSKI

Kronika kulturalna

Tworzenie nie jest aktem stadnym...*

W latach sześćdziesiątych powstało pojęcie nurtu chłopskiego czy kultury wiejskiej. Znaczyło to, że pojawiła się jakaś grupa pisarzy pochodzących ze wsi, z różnych generacji, bo renesans wówczas przeżywali pisarze debiutujący przed wojną. Natomiast jeżeli to pojęcie ma być kategorią estetyczną, to muszę Pani powiedzieć, że się burzę. Ja przyznaję się do chłopskich źródeł. W kulturze chłopskiej interesują mnie właściwie trzy plany: plan językowy, plan egzystencjalny oraz plan metafizyczny.

W doświadczeniu chłopskim zgromadziła się największa skala ludzkich doświadczeń, historycznych, społecznych, psychicznych, moralnych. Los chłopu nie oszczędził niczego. Ani jako zbiorowości, ani jako jednostce. Doświadczenie chłopskie jest dla mnie pełnią wewnętrznego doświadczenia ludzkiego, wszystkich relacji, jakie zachodzą między człowiekiem a nim samym, a drugim człowiekiem, a światem, a Bogiem, a kosmosem, a niebem, a ziemią, a śmiercią, a narodzinami. Nie ma takiej sfery bytu, która w tej kulturze nie miałaby swojej działki. W chłopskiej kulturze życie było integralne, to znaczy nie było podziału na życie empiryczne i życie oniryczne. Sen był takim samym wydarzeniem życia, wykonywany był z taką samą powagą jak wszystko inne. Przystroga, złudy, zwidzenia, tworzyły integralność świata. Wszystko było istotne. Sen, wiara — też były życiem.

Słowniki to zapisy stereotypowe, ubogie, które nie są w stanie zanotować całego bogactwa chłopskiej mowy, która właściwie już przepadła. To, co mnie w języku chłopskim interesuje, to stosunek człowieka do języka. Chłop przecież nie znał słowni-

* Rozmowę przeprowadziła Krystyna Prendowska.

ka, nie znał zapisu języka. Był bezradny. A jednocześnie nigdy nie był bezradny. Był skazany na tworzenie języka. Chodzi mi o to, aby przez naiwność odrestaurowywać zdziwienie człowieka, jako umiejętność, zdolność reakcji na świat. Czasami drastyczna zmiana miejsca jest powrotem do stanu zdziwienia. To jest sposób. Zmiana punktu poznawczego jest istotna. Tomasz Mann miał na przykład taką zasadę, że obserwując ulicę z okna swojego mieszkania, nie obserwował jej wprost, ale poprzez lustro. To są wszystkie sposoby odświeżania naszego sposobu patrzenia na świat.

Teraz Pani widzi, że moja nieufność do gibkiego języka, do powiedziałbym aerobiku językowego jakim się dzisiejsza kultura posługuje, kazała mi szukać innych źródeł języka. Uważam zresztą, że w Polsce mamy do czynienia z dość wyjątkowym zjawiskiem. Wskutek zaborów polski język literacki, nowoczesna literacka polszczyzna, którą uformowali romantycy, uprawiana była przez ponad wiek. Brakło dopływu języka do kraju, który popadł w niewolę. A to wskutek tego, proszę Pani, że język pełnił rolę instytucji narodowej, w związku z czym wymagany był pietyzm dla niego. Z drugiej strony, ten język uległ kanonizacji. Był to język piękny, ale stał się pięknym gorsetem. I mniej więcej od Młodej Polski, od modernizmu, możemy obserwować pojedyncze wyłomy z kanonu języka literackiego. Pierwszym buntownikiem był Przybyszewski. Nie wiem, czy nie był większym buntownikiem w sferze języka niż w sferze obyczajowości. Następnym był Leśmian, który zwrócił się do języka ludowego, oczywiście dokonując odpowiedniej transformacji. Takimi buntownikami byli także Witkacy, Gombrowicz, Schulz, po wojnie Leopold Buczkowski. Cały rewolucjonizm Witkacego jest buntem przeciw polszczyźnie literackiej.

Jeśli pojawiła się rzecz, zdarzenie, zjawisko, to chłop musiał je nazwać. Sam z siebie musiał to nazwać. To my dzisiaj jesteśmy naprawdę bezradni wobec języka, protezoidalni. Kiedy nie wiemy co jak nazwać, sięgamy do języka, ewentualnie zapożyczamy z mowy obcej. W pewnym sensie, proszę pani, stosunek człowieka do języka przypomina stosunek wielkiego poety, który jest mniej więcej w tej samej sytuacji. Musi wymyśleć słowa. W kulturze chłopskiej każdy człowiek więc był skazany na bycie poetą, na bycie wynalazcą. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z obszaru, z możliwości języka. Nie ma języków lepszych i gorszych, bogatszych i biedniejszych. Jeżeli w obrębie jakiegoś języka brakuje określeń, to tylko dlatego, że w tej kulturze pewne znaczenia się nie objawiły. Potencjał każdego języka jest nieskończony. W chłopskim języku, jak w żadnym innym języku polskim, obserwujemy bardzo wyraźnie cały mechanizm powstawania, tworzenia języka, a nawet powiem więcej — nazy-

wania świata. Może moje poglądy na język są dość ekstremistyczne. Uważam bowiem, że istniejemy dzięki językowi. Jako ludzie. Nasza świadomość, nasza wyobraźnia, nasza wrażliwość, nasze sny, wszystko są to kategorie języka. Jeśli odczuwamy ból, to dlatego, że nie tylko umiemy go odczuć, ale go też nazwać.

Cały świat ludzki można by zrewidować. Poddać nowemu oglądowi. Zastosować formę naiwności, cofnąć do prapoczątku. Na przykład zegar. Jest to przedmiot w naszym życiu tak dotkliwie oczywisty, tak obecny, że właściwie gdzieś zatraciliśmy wrażliwość. Otóż naiwność pozwala mi na ogląd oczywistości. Ja się naiwnościami posługuję świadomie. Opisuję zegar jak człowiek, który nigdy nie widział zegara. Nieraz zastanawiam się, jak mógłbym opisać świat. Nie ten z wielkich zdarzeń, ale ten do którego jestem przyzwyczajony, tak jakby się po raz pierwszy w mojej świadomości pojawił. Przecież wtedy wszystko byłoby zdziwieniem. Bo poznanie należy doprowadzić do momentu zdziwienia człowieka. Brak zdziwienia jest ułomnością. Zdziwienie jest najistotniejsze. Jest jak uśmiech.

Gdyby pisarz nie był przekonany, że świat który opisuje i sobie wyobraża jest jedynym światem możliwym, jedyną prawdą, pisanie straciłoby motywację. Gdyby się zbyt często zgadzał na świat widziany przez innych, to w ogóle nie miałby powodu do pisania. Zostałby czytelnikiem. W ogóle akt twórczy uważam za moralnie wątpliwy. Nawet, powiedziałbym, niemoralny. Akt twórczy jest w istocie procesem okrutnym. Konsekwencje aktu twórczego mogą być dla człowieka, dla pisarza przykre, kosztowne. Niech Pani sobie wyobrazi. Jeżeli pisarz ma być człowiekiem sumienia, to tyle dzieje się zła wokoło, że powinien pisać bez przerwy z pozycji interwenta. Sumienie nakazywałoby współcierpieć, pomagać, czy chociażby na bieżąco wyrażać to w słowie. Codziennie, w zwyczajnym świecie odbierać zło, niesprawiedliwość — swoimi czułkami. A tymczasem musi się uczyć dystansu do rzeczywistości. A dystans jest już okrucieństwem.

Jeśli miałbym kulturze zachodniej katedry gotyckiej przeciwstawić coś równie wzniosłego w świecie form przestrzennych, to bym przeciwstawił rzeźbę Chrystusa Frasobliwego. W gruncie rzeczy Chrystus Frasobliwy jest nie tylko wspaniałą rzeźbą. Jest również koncepcją Boga, który współcierpi z człowiekiem. Biednego Boga. Ktoś, kto pierwszy wyrzeźbił tego Boga, przy pomocy strugania modlił się. Sztuka średniowiecza była ofiarą. Prawdziwa sztuka zawsze jest ofiarą. Profesjonalizm prowadzi do przekonania, że się umie coś robić. Że skoro się napisało jedną książkę, to się umie pisać. To jest nieprawda! Głęboka nieprawda! Ja odczuwam coś zupełnie przeciwnego. Po napisaniu książki nie tylko nie odczuwam żadnej nabytej umiejętności, ale

jest mi gorzej pisać następną. A ponieważ świadomość literacka człowieka wzrasta, jest po prostu coraz gorzej. Coraz gorzej zdobyć się na naiwność.

Nie ufam językowi intelektualnemu, językowi inteligentnemu, który jest rezultatem technologii umysłu. Sprawność umysłu ludzkiego jest tak obszerna, że tą sprawnością może wszystko udowodnić i wszystkiemu zaprzeczyć. Właśnie tej sprawności nie ufam. Dlatego, wie Pani, zwróciłem się w swoim piarstwie do podstawy języka, którą jest mowa. Język pisany jest językiem wtórnym. „Pierwsza była mowa”... Nie chciałbym sugerować, że język mowy żywej jest językiem kanonicznym, językiem który wyłącznie reprodukuje. Nie. Kiedy piszę, mowa żywa podlega gruntownej, wielopłaszczyznowej selekcji. Dla mnie nie słowniki są sprawdzianami mojego języka. To, co powiem Pani, może wyglądać na pewną mistyfikację, ale kiedy pisałem *Kamień na kamieniu*, sprawdzałem naturalność, autentyczność tego języka, słuchając moich zmarłych przodków. Ja ich naprawdę słyszałem. Słyszałem moją babkę, mojego dziadka, pytałem ich, jak oni by to powiedzieli. Okazało się, że dziedziczą pamięć nie tylko pojęciową, obrazową, ale także pamięć „językową”.

Akt twórczy jest wielką lekcją pokory. Można by go nazwać bezradnością owocującą. Człowiek siedzi nad białą kartką papieru i mu nie idzie, a przeważnie nie idzie. Doznaje bezradności. Doznaje tego, jak nie potrafi. Jak nie umie. W akcie twórczym człowiek bardzo dużo dowiadyuje się o sobie samym. Nigdy nie znałbym siebie, gdybym nie pisał. Nigdy bym się nie podejrzewał o tak wiele możliwości. Niestety nie tylko dobrych. Człowiek pisząc również broni się wobec słowa. Słowo, które uruchomił do opisania jakiegoś świata jest również narzędziem, które w niego wnika. Nie ma takiej możliwości, że Pani słowem operuje przedmiotowo, że Pani słowem operuje tylko wobec świata, który chce Pani opisać. Słowo nie zna granic. Wobec tego słowo rzuca się i na Panią. Na podmiot się rzuca. Słowo zaczyna w Pani grzebać, w Pani, nie w kim innym. Następuje obrona siebie przed słowem. Broniąc się przed słowem Pani jednocześnie ogranicza jego zasięg. A więc lepiej się poddać słowu, aby je potem lepiej uruchomić.

Nie chciałbym napisać książki podobnej. Książki, która będzie kontynuacją czegoś co już napisałem. Powielanie siebie deprawuje. Sztuki nikt z ilości nie spowiada. Każda książka jest debiutem. O tyle mogę się zachęcić, żeby nową książkę napisać, o ile będzie ona nowym światem. Powielanie samego siebie jest nieprzyzwoite. Książka, którą piszę, musi mnie samego czegoś nauczyć. Musi dla mnie samego być nowym doświadczeniem poznawczym. Musi wymagać ode mnie pierwotnego trudu. Jakbym nic nie potrafił. To mnie dopiero zaczyna frapować. Ja

się w trakcie pisania takiej książki spieram z samym sobą. Coś przemagam. Jakiś nowy próg bezradności. To dopiero można nazwać fascynacją, w potwornym skądinąd, uciążliwym akcie twórczym.

Co do *Pałacu*, proszę Pani, mogą powiedzieć z całym przekonaniem sadystycznym, że ta książka bardziej trafiła do kobiet niż do mężczyzn. Kobiety rozumieją *Pałac* z niesłyszananą wrażliwością, wsłuchując się w stany emocjonalne, zaś mężczyźni nie są w stanie wyjść poza pewien schemat historyczny tej powieści. Kiedyś zapytałem czytelniczkę, dlaczego tak ceni *Pałac*. Odpowiedziała pytaniem: „A skąd Pan tak zna kobiety?”

Dlaczego piszę w pierwszej osobie? I czy umiałbym napisać w trzeciej osobie? Prawdopodobnie bym umiał. Ale prawdopodobnie miałbym uczucie dominacji pewnej formuły teoretycznej. Mój narrator wyraża się w pierwszej, a nie w drugiej, czy trzeciej osobie (innych nie ma), ponieważ wszystkowiedzący narrator moim zdaniem zbankrutował. Powstaje pytanie, skąd on wie o tym drugim, i jakie ma prawo, żeby tyle o tym drugim wiedzieć. Ta kwestia łączy się z moim poglądem na proces poznania. Uważam, że człowiek nie jest w stanie wiedzieć wszystkiego o drugim człowieku. Powiem więcej. Człowiek o drugim człowieku jest w stanie wiedzieć bardzo niewiele. Jedynym, kogo zna naprawdę, jest on sam. On sam więc musi siebie opowiedzieć. Bo jeśli nawet mistyfikuje, jeśli nawet kłamie, to kłamie o sobie. A więc jakąś prawdę o sobie. Drugi człowiek nie jest w stanie wdrzeć się w tajemnicę człowieka. Jesteśmy tylko w stanie opowiedzieć się sami. Inni ludzie są zawsze elementami naszej opowieści o nas samych. Narrator posługuje się innymi postaciami, jak figurami, które obrazują jego. Jądro naszej samotności wynika z tego, że jesteśmy niepoznawalni.

Często określam literaturę jako zdanie. Taki stosunek do zdania łączy się oczywiście z dużym kosztem. Zdanie wymaga wysiłku, zdania się poszukuje, zdanie się wyodrębnia z wielu nasuwających się zdań. Uważam, że zdanie w narracji musi pełnić co najmniej dwie funkcje. Pierwszą jest jego pospolita funkcja narracyjna, zaś drugą funkcja symboliczna. Oprócz informacji zdanie musi mieć wieloznaczne sugestie. Musi mieć aurę, sugerować dodatkowe sensory. Innymi słowy, zdanie musi być tajemnicze. To zdanie konstruuje tajemnicę książki. Tajemnicę samego losu ludzkiego.

Muzyka nie jest odbierana samym uchem. Jest odbierana uchem łącznie z wyobraźnią, wzrokiem, rozumem. Muzykę się nie tylko słyszy. Muzykę się widzi. Nawet w stabilnych warunkach płyty, towarzyszy odbiorowi ciąg obrazów. Każdy dźwięk podsuwa jakiś obraz. Dźwięki układają mu się w wizję przestrzenną.

Skąd moja namietność do kosy? To wynika z mojego lęku. Ostrze kosy jest symbolem ostrości. Brzytwa na przykład jest o wiele skromniejsza. W wygięciu kosy jest od razu zakodowany zamach. Nawet w kosie leżącej spokojnie na słońcu widzi się zamach. Poza tym kosa to podstawowe narzędzie chłopskiego trudu. Kosa się łączy z plonem, jakby była również symbolem owocowania. Kosa również w historii ludzkości była bronią. Jest narzędziem i symbolem śmierci. Kosa to jeden z ważniejszych trójdzielnych znaków kulturowych: pracy, śmierci, obrony.

Mam awersję do pojęcia „talent”. Moja koncepcja talentu jest taka: talent to zdolność do posiadania własnego losu. Jest to koncepcja sprawdzalna. Bo ja wiem, co to jest zdolność posiadania własnego losu. Pisarz to ten, kogo stać na własny los. Żeby go stworzyć, nie zaakceptować. Starożytni przez los rozumieli przeznaczenie, fatum. Jaka jest różnica między życiem a losem? My operujemy tymi pojęciami zamiennie. A nie są one identyczne. Życie to jest magma społeczno-biologiczna, to to, co przeżyliśmy od urodzenia do śmierci. A los to jest uświadomienie sobie tego, co żeśmy przeżyli. I znalezienie w tym co przeżyliśmy pewnych cech charakterystycznych, pewnych zasad, pewnych reguł. Jest to nic innego jak świadomość formy naszego życia. Los to jest nasza zdolność do widzenia własnego życia jako czegoś nieprzypadkowego, co toczyło się według zasad, według mechanizmów, może nawet misji. Jest to dowartościowanie swojego życia.

Pisarstwo, proszę Pani, jest w gruncie rzeczy sposobem analizowania świata. Pierworodność jest dla niego tożsama z pięknem. Brzydota świata, w której niektórzy się lubują, nie jest wcale demaskacją świata. Nie jest sposobem na prawdę świata. Brzydota jest przychwyeniem świata na pewnym jego etapie. Jest to rodzaj znudzenia światem. Sprowadzenie punktu widzenia do pierworodności jest dla mnie tożsame z pięknem. Pierwszy człowiek jako byt musiał wzbudzać zachwyt, jakikolwiek był. Ze ma taki kształt, a nie inny. Ale później zaczęliśmy stawiać temu bytowi warunki. Ponieważ człowiek nie zawsze potrafił te warunki spełnić, zaczęliśmy go degradować.

Waga słowa w kulturze chłopskiej brała się stąd, że w gruncie rzeczy ta kultura była kulturą milczenia. To była kultura pracy, a nie mowy. Wskutek tego słowo miało taką wagę, że kiedy się już coś mówiło, to było to w sytuacjach, kiedy nie można było nic powiedzieć. Mówiło się krótko, mówiło się tak, jakby się stanowiło rzecz.

Czy mam takie chwile, w których wydaje mi się, że nie istnieję? Nie wiem. Mam natomiast bezustanne poczucie wydziedziczenia, co jest prawdopodobnie tym samym, tylko bardziej dotkliwym. Bo stałym uczuciem. Jest ono charakterystycz-

ne nie tylko dla mnie. Jesteśmy przecież permanentnie wydziedziczani ze swojego czasu, jesteśmy wydziedziczani z dzieciństwa, z młodości, z tego co staje się przeszłością. Ale należałoby to jeszcze rozciągnąć. Opuściliśmy swoje domy rodzinne, nasze gniazda. Dom rodzinny był kiedyś nie tylko miejscem, w którym przychodziliśmy na świat. Dom rodzinny był domem stabilnym, w którym jedni przychodzili na świat, drudzy umierali. A najbardziej dotkliwe wydziedziczenie człowieka przy nieustannej ruchliwości tej cywilizacji jest wydziedziczeniem ze śmierci. Ja rozumiem, dlaczego w gniazdach łatwo się umierało. My, ludzie współcześni, zostawiliśmy śmierć tam gdzie byliśmy. Ona nie poszła z nami.

W gnieździe był sposób na umieranie, tradycyjny, dziedziczony sposób. My nie wiemy, jak będziemy umierali. Oni wiedzieli, że w łóżku, że dawną, domową śmiercią. We własnym łóżku. Co to jest proszę Pani za umieranie w mieście? Jaki sposób umierania stworzyła współczesna cywilizacja? Miejsca obce, wysterylizowane, laboratoria, maszyny piekielne...

Jako czytelnik mam swoich świętych literatury. Mam czterech świętych: Jana Kochanowskiego, Franza Kafkę, Dostojewskiego i Faulknera. Mówić o nich przymiotnikami nie ma sensu. Jan Kochanowski jest największym poetą europejskiego renesansu. Podziwiam go za to, czego nie znajduję na przykład u romantyków — wielką odpowiedzialność za słowo. Nie można z niego wyrzucić ani ćwierci słowa. Wystarczy jedno zdanie skierowane do Boga: „Tyś niebo zbudował”. Jak się Pani zastanowi, co by dzisiaj poeta powiedział o Bogu? „Stworzyłeś”. Wymyśliłby coś, co ma siłę kreacyjną. „Zbudował” natomiast — jest w tym trud. Pani sobie wyobraża Boga z kielnią przykładającego cegłę?

Pisarz wymyśla sobie jakąś fikcję, popada w trans, w nieczułość, odgradza się, zamyka się we własnym zakonie. Czyli w jakiś sposób zadaje gwałt swojej naturze. Czy pisze się w transie? Nieraz trans jest rodzajem mozołu, a kiedy indziej wznosząca się fala. Ja wyodrębniam dwa rodzaje transu i mam na to przykłady: *Pałac* i *Kamień na kamieniu*. *Pałac* pisałem w transie popolicie rozumianym. Czulem się nakreślony, powołany... Czulem przypływ energii taki przejmujący, że kiedy wstawałem od pisania, nie wiedziałem, który ze światów jest prawdziwy. Ten od którego odszedłem, od którego odłożyłem ołówek, czy ten, do którego rzeczywiście przeszedłem. Napisałem *Pałac* szybko.

Innym rodzajem transu był *Kamień na kamieniu*, który pisałem dziesięć lat temu. To był nieustanny akt gwałtu na sobie, zmuszania się do koncentracji, do tożsamości ze stworzonym

przeze mnie światem, a przede wszystkim do tożsamości z językiem tego świata. To język był pomostem między mną a tym światem. Był to trans potwornego mozołu.

Czy mam poczucie humoru? Uważają mnie za ponuraka... Kultura chłopska zawiera obecność humoru. Chłopi bronią się przed egzaltacją, przed patosem, przed nadmierną wzniosłością. Te cechy są dla chłopca nienaturalne. Niech Pani zauważy, że brak tych cech pozwala mówić o wielu rzeczach bez wstydu, bez cenzury. W ten sposób i humor się przedrza. A może raczej szyderstwo. To pomaga w większym uruchomieniu wyobraźni. Dzięki szyderstwu, które jest rodzajem humoru, człowiek może sobie pozwolić na większe opowiadanie o świecie.

Nie gram na fortepianie. Fortepian to antyteza bezradności rąk. Kiedy siedzę nad białą kartką papieru, mam przed sobą swoje ręce i jestem skazany na oglądanie swoich rąk, które w dużej mierze są nieruchome i bezradne. Czyli gdzieś tam boleje nad nimi, że nie piszą.

Ręce ludzkie są bardzo interesującą częścią ciała. Może po rękach można najbardziej, nie, inaczej powiem, najbogaciej odczytać drugiego człowieka. Ręce ludzkie mówią więcej niż oczy. Niech pani weźmie różne obrazy i przejrzy pod tym kątem. Sztuka malowania rąk jest jedną z trudniejszych. Nie wielu malarzom udają się ręce.

Każde miasto jest wsią, tyle że o wiele większą. Powieść, którą w tej chwili piszę, dzieje się w mieście, ale to nie jest ważne. Jestem w trakcie pewnego eksperymentu. Czy można zamienić swój krajobraz wiejski na miejski? Wrażliwość jest cechą osoby, nie miejsca. Powieść, którą obecnie piszę, jest w innym planie literackim. Głównie językowo. Język przenosi w inne miejsce. Ta powieść będzie o przestrzeni. Uważam, że przestrzeń każdego człowieka jest sprawą ważniejszą niż czas czy miejsce biologiczne. Jaka jest przestrzeń jednostki? Można opowiedzieć dzieje człowieka chronologicznie, jako ciąg zdarzeń konstruowany przez upływający czas, przez pewną samoczynność chronologii. No tak. Ale to jest w gruncie rzeczy coś bardziej zewnętrznego. Natomiast przestrzeń człowieka jest tym, co w danej chwili uważamy za nasze życie.

Nigdy nie byłem członkiem partii komunistycznej. Skąd się bierze ta plotka? Z tych, co należeli. Ja nie należałem. Nigdy nie piszę zyciorysów, nie cierpię rubryk, wyrzucam do kosza. Ale powiem Pani. Urodziłem się na wsi, gdzie mieszkałem do czternastego roku życia. Potem poszedłem na nauki do miast. Skończyłem liceum ogólnokształcące w Sandomierzu, o mały figiel nie zostałem inżynierem. Otrzymałem maturę w 1951 roku i zdawałem na studia. Nie zostałem przyjęty z braku miejsc.

Wobec tego poszedłem na KUL, Katolicki Uniwersytet Lubelski. Po 1956 roku pisałem pracę magisterską, po KUL-u było bardzo trudno o pracę. Ponieważ moja matka była przed wojną działaczką Związku Młodzieży Wiejskiej, a dziadek był w PSL, właśnie dzięki ludowcom, jeszcze na studiach, zacząłem pracować w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Pracowałem tam do 1975 roku, ponieważ z kolejnym prezesem już nie mogłem wytrzymać (domagał się socjalizmu w mojej poezji miłosnej). Zacząłem wydawać kwartalnik *Regiony*, gdzie jestem do tej pory. Nawrocki, kierownik Wydziału Kultury, chciał nas rozwiązać... Ale minister Kultury wziął potem na swój garnuszek. No i tak. To mój bardzo szczegółowy zyciorys.

Przyzwyczałem się, że można nie należeć do związku pisarzy. Jest to pewien komfort psychiczny. A przywileje? Ja jestem domator. Rzadko wyjeżdżam. Każdy wyjazd przeżywam. Jest to dla mnie w równym stopniu przyjemność, co nieprzyjemność. Różne presje namiętności, opętanie polityką... To człowieka wyjąławia z energii. Im człowiek bardziej dorasta, że tak powiem delikatnie, tym bardziej godzi się rezygnować z różnych pozorów. To są miazmaty... Kiedy oni rozprawiali o polityce, to ja pisałem *Kamień na kamieniu*.

Nigdy nie robię notatek. Z przesadą mógłbym powiedzieć, że mnie to w ogóle nie interesuje. Nawet powiem Pani więcej. Czasami się wydaje, że świat mi przeszkadza w pisaniu, że mnie atakuje. Ideałem by było, gdybym ja sobie świat mógł stworzyć w wyobraźni. Do tego sprowadza się pisarstwo. Do stworzenia świata. W dobrym pisarstwie kryje się zamach na boskość. Dlatego mamy tyle niedobrych książek o miłości. Bo one wszystkie są pisane z doświadczenia. Sytuacją wystarczającą, jedną do pisania o miłości byłaby tęsknota.

Z pisaniem jest jak z miłością. Trudno powiedzieć pisarzowi, że się dziesięć czy dwadzieścia razy zakochał. Natomiast chciałby się zakochać. Profesjonalizm jest rodzajem nakazu. W miłości nakazem profesjonalności może być kolekcjonerstwo, natomiast książka to prawdziwa miłość.

Bałbym się doświadczyć takiego zjawiska, że umiem pisać. Niech mi Pani wierzy, bałbym się. Jak siadam do książki to gwarantem, motywem jest to, że nie umiem. To jest także stan doprowadzania się do naiwności.

Nie mam tajemnicy pisania. Nie. Nie. Potrzebuję okoliczności kameralnych. Spokoju... Ale mam jedną tajemnicę. Potrafię naprawdę pisać, kiedy jestem szczęśliwy. Nie jest to zgodne z doświadczeniami innych pisarzy, którzy często piszą pod wpływem bólu. Kiedy jestem szczęśliwy, moja wyobraźnia jest bardziej wyzwolona. Pisanie to wolność wyobraźni. Autobio-

grafia jest dla mnie krępująca. Powoduje, że muszę się z czymś liczyć. Poczucie pospolitego szczęścia jest poczuciem wolności.

Muszę zastrzec się, że nie jestem człowiekiem nietowarzyskim. Do tak zwanego środowiska mnie nie ciągnie, ponieważ pisarz z pisarzem nie ma o czym mówić. Nie lubię mówić o literaturze w sensie warsztatowym. Tworzenie nie jest aktem stadnym, tylko skazaniem się na samotność. Ja staram się czuć, myśleć w samotności. Nawet jeśli moje myśli są nietrafne, jeżeli mają wyprowadzić mnie na manowce, jest to ciekawsze niż podanie się towarzyskiemu sprawdzaniu, z którego wynikają banały. Każde środowisko zawodowe nudzi mnie. O czymkolwiek się rozmawia, wie się, że rozmawia się z branzowcami. Nie lubię plotki literackiej, opinii literackiej. Z trudnością tego wysłuchuję.

Dzieciństwo jest tą epoką, w której człowiek się jeszcze nie wyodrębnił z natury jako byt. Wyodrębniając się z natury człowiek ustawia się w niej hierarchicznie. Moje chłopskie dzieciństwo, dzieciństwo w systemie chłopskiej kultury, zawdzięcza wiele przyrodzie, zwierzętom, ziemi. Dookolny świat wsi jest partnerem człowieka. Istnieje tożsamość człowieka z tym światem, który widzi on jako świat żywy, widzi na swoje podobieństwo. Człowiek, który cierpi, obdarza swą zdolnością cierpienia całą naturę: drzewo, wodę... wszystko. Świat dookolny nie dzieli się na przedmioty martwe i żywe. Nawet cmentarz jest żywy. Nawet umarli są żywi. Ich obecność jest dojmująca. Nie tylko w formie pamięci. Umarli się śnią, przychodzą, słyszy się ich głosy. Oni przestrzegają. Otoczeni jesteśmy bez przerwy umarłymi jako obecnymi.

Stosunek do świata na wsi jest stosunkiem pokory. W chłopskiej kulturze, wie Pani, istnieje inna hierarchia. Człowiek w tej kulturze nie wywyższył się ponad stworzenia, nie przypisał sobie roli najwyższej w tej hierarchii.

Jestem człowiekiem bez ziemi, w mieście. Nie tylko w sensie fizycznym, ale w sensie psychicznym. Ziemia jest symbolem całego świata. Miasto jest tym miejscem, które wydziedzicza człowieka z ziemi. Ziemia natomiast ma swoją mistykę.

Wiesław MYŚLIWSKI

Dni literatury polskiej we Francji

(LES BELLES ETRANGERES)

Francuskie Ministerstwo Kultury i stowarzyszenie *Dialogue entre les cultures* organizuje cykliczne przeglądy kultur i literatur obcych pod nazwą „Piękne cudzoziemki” (*Les belles étrangères*). Przedmiotem trzeciej takiej imprezy, która odbywała się od 26.11 do 8.12., były literatura i kultura polska. Większość spotkań i przedstawień odbywała się oczywiście w Paryżu, ale polscy goście zawitali także do innych miast. Organizatorzy uważają, że polska literatura jest we Francji bardziej znana i liczniej wydawana, aniżeli literatura jakiegokolwiek innego kraju wschodniej Europy, ale dotyczy to pisarzy starszego pokolenia. Wychodząc z tego założenia, zaprosili wielu młodych pisarzy, m.in.: Piotra Wojciechowskiego (pisarz, scenarzysta, wykładowca w łódzkiej szkole filmowej), Adama Zagajewskiego (poeta, prozaik), Hannę Krall (dziennikarka, pisarka), Pawła Huelle (powieściopisarz, poeta, krytyk; jego powieść pt. „Weiser Dawidek” uchodzi za jeden z najwybitniejszych utworów najnowszej polskiej prozy), Janusza Głowackiego (pisarz, scenarzysta, dramaturg, zamieszkały od 1982 r. w Nowym Jorku), Bronisława Maja (poeta, eseista) oraz Bogusława Wróblewskiego (założyciel i redaktor czasopisma *Akcent*). Spotkania autorskie i dyskusje prowadzili Wojciech Karpiński (eseista, pisarz, krytyk literacki) i Jacek Woźniakowski (historyk sztuki, pisarz, obecny burmistrz Krakowa). Towarzyszyli im francuscy krytycy, literaci i tłumacze.

Cykl został zainaugurowany 27 listopada wykładem Jacka Woźniakowskiego w Centre de Civilisation Polonaise. Następnie odbywały się spotkania autorskie. W Centre Georges Pompidou pokazano też film Wojciecha Marczewskiego pt. „Ucieczka z kina „Wolność””. Następnie autorzy wyruszyli na spotkania. B. Maj i P. Wojciechowski gościli w Lyonie, Aix-en-Provence (gdzie dołączyli do nich Daniel Olbrychski z recytacjami poezji i akompaniujący mu J. Olejniczak), Montpellier i Tuluzie. J. Głowacki i B. Wróblewski spotkali się z francuską publicznością w Strasburgu, Lille-Villeneuve d'Ascq, Montpellier i Bordeaux. H. Krall i P. Huelle z kolei bawili w Reims, Rennes, Breście i Bordeaux-Begles.

Na tle cyklu „Piękne cudzoziemki” Instytut Polski w Paryżu przygotował zestaw polskich filmów, opartych na dziełach literackich. Pokazano „Sanatorium pod klepsydrą”, „Zmory”, „Cudzoziemkę”, „Pożegnanie jesieni”, „Ziemię obiecaną”, „Siekierzędę” i „Dotkniętych”.

NAGRODY

Dnia 11 listopada br. podczas uroczystości w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku przyznane zostały tegoroczne nagrody Instytutu za prace o terrorze sowieckim i komunistycznym w stosunku do obywateli polskich. Nagrody otrzymali:

pierwszą — w wysokości Dol. 500,00 — Anna Sudlitz z Warszawy za prace dotyczące działalności WiN-u oraz procesu przywódców tej organizacji;

drugą — w wysokości Dol. 300,00 — Danuta Suchorowska z Krakowa za prace dotyczące zbrojnego podziemia niepodległościowego po roku 1945;

trzecią — w wysokości Dol. 200,00 — historycy lubelscy Jan A. Siła i Zdzisław Kowalski za pracę o „Zamku lubelskim”.

Ponadto Instytut przyznał specjalną nagrodę w wysokości Dol. 200,00 za wystawę opracowaną przez Muzeum Katowickie, dotyczącą wydarzeń w grudniu 1981 r. w kopalni węgla kamiennego „Wujek”.

Kongres Polonii Amerykańskiej, Wydział na Stan Illinois, przyznał nagrody specjalne za wybitne osiągnięcia działaczy polonijnych, zasłużonych w pracy społecznej i politycznej. Nagrody otrzymali: Bonawentura Mięgała, długoletni działacz Związku Narodowego Polskiego i KPA, za ofiarną pracę na rzecz Polonii i niepodległości Państwa Polskiego; Juliusz Szygowski, ostatni konsul generalny RP w Chicago; Myra Lenard, dyrektor Biura KPA w Waszyngtonie.

Jury dorocznych nagród *Literatury* przyznało nagrody za osiągnięcia literackie w 1990 r. W dziedzinie poezji nagrodę otrzymał Krzysztof Karasek za tom pt. „Lekcja biologii i inne wiersze” (wyd. PIW); w dziedzinie eseistyki Ryszard Kapuściński za tom „Lapidarium” (wyd. Czytelnik). Jury na początku obrad wyraziło najwyższy podziw dla tegorocznych dokonań: Zbigniewa Herberta — tom wierszy „Elegia na odejście” (wyd. Instytut Literacki, Paryż) i Czesława Miłozza — tom „Rok myśliwego” (wyd. Instytut Literacki, Paryż).

Tegoroczne nagrody Fundacji Kościelskich w Genewie zostały przyznane: Grzegorzowi Musiałowi za całokształt twórczości, Bronisławowi Wildsteinowi za powieść „Jak woda” (Oficyna Literacka,

Kraków) i Markowi Zaleskiemu za zbiór szkiców literackich pt. „Mądremu biada” (Libella, Paryż). Nagrodę im. Zygmunta Kalenbacha (wieloletniego prezesa Fundacji) za dzieło literatury polskiej żyjącego autora, które ukazało się po raz pierwszy po 1 stycznia 1981 r., przyznano Wisławie Szymborskiej za tomik pt. „Ludzie na moście” (Czytelnik). Nagrody wynoszą frs 3.000,00 każda.

Nagrodę Stefanii Niekraszowej otrzymał Graham Scott, jeden z najmłodszych kandydatów konkursu Stefanii Niekraszowej na najwybitniejszego wykonawcę utworów Chopina w W. Brytanii.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Książki

Rok Miłosza

Forma najnowszej książki* autora „Ocalenia” nie powinna być dla czytelników zaskoczeniem. Jako prozaik Miłosz chętnie wybiera formy nie krępujące autora zbyt ścisłymi normami — najbliższy więc do tej pory był mu esej (wzgl. książka eseistyczna), szkic popularnonaukowy („Człowiek wśród skorpionów”), dziennik („Notatnik amerykański”), portret (wizerunki ze „Zniewolonego umysłu” czy szkice poświęcone nieżyjącym przyjaciółom), wreszcie rozmowa, względnie wywiad-rzeka (z Renatą Gorczyńską, z Aleksandrem Fiutem).

Nieomal każdy z tych tekstów można określić mianem „formy bardziej pojemnej”, o której Miłosz z właściwym sobie humorem pisał, że pozwala się porozumieć „nie narażając nikogo, autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu”.

Autobiografizm może stać się dla pisarza pułapką. Gdzie zaczyna się domena własnego „ja”, tam kończy się poczucie dystansu i sama kontrola. By napisać dobrą książkę o sobie, trzeba nade wszystko odnaleźć właściwy ton. W jednym z listów do Krystyny Marek Jerzy Stempowski pisał, że talent gra w powodzeniu dzieła autobiograficznego mniejszą rolę niż się wydaje, należy „starać się tylko o odnalezienie sensu proporcji zjawisk”. „Tylko!” — sądząc po liczbie dzieł chybionych, nie jest to wcale łatwe. Miłoszowi ów sens proporcji zjawisk udało się odnaleźć. „Rok myśliwego” jest dziełem spójnym i konsekwentnym. Odpowiadając na pytanie o przyczyny sukcesu artystycznego tej książki, spróbujmy wyjść poza banał, wedle którego utwory, jakie pisze wybitny pisarz, są wybitne.

Większość zapisów dziennych (prawie wszystkie) składa się z dwóch części: kilka zdań o tym, co dzieje się „teraz”, które wyznaczone jest przez datę; potem powrót do przeszłości. Akcja

tego dziennika rozgrywa się więc na dwóch planach. Ale cza-
sowe przeciwstawienie „dziś” „kiedyś” to również napięcie między starością a młodością i wiekiem dojrzałym, między kształtem a stawaniem się, wreszcie między śmiercią a życiem. „Nie wiedziałem, że pagórki Berkeley będą ostateczne” — cytuje Miłosz jeden ze swoich wierszy. Ale jest to starość — powiedzmy — triumfalna, starość po życiu pracowitym, zbieranie owoców i chwały. A więc spotkania z czytelnikami, lektura wierszy, seminaria, odczyty, korekta „wierszy zebranych”, gale. Sfera życia codziennego to nie tylko uroczystości. Choć ledwie zaznaczona, jest ona ważną częścią „Roku myśliwego”. Bohater dziennika jakby chciał przez to powiedzieć: żyję nie tylko wspomnieniami, można mnie spotkać na ulicy, w ogródku, w księgarni.

Z satysfakcją i wielokrotnie notuje autor przejawy dobrej formy intelektualnej i fizycznej: „Czytanie wierszy wczoraj było udane. Trzymać uwagę sali, jakichś 600 osób, i dostać brawa (...) czytając w obcym języku, jest miodem dla ambicji”. Tak więc z jednej strony niezwykła witalność i energia, z drugiej — myśli o śmierci, świadomość kresu, ale zawsze nacechowana stoicyzmem.

„Rok myśliwego” to również dziennik wydarzeń dawno minionych, jego bohaterowie w większości już nie żyją, tylko pamięć może ich wskrzesić. Znajdujemy w dzienniku liczne portrety: żony Janiny, amerykańskich przyjaciół, Jeanne Hersch, Jana Pawła II, Jarosława Iwaszkiewicza, Ksawerego Pruszyńskiego, Józefa Mackiewicza. Wspomnienia o Iwaszkiewiczu i Pruszyńskim kierują naszą uwagę ku latom pięćdziesiątym i postawom pisarzy wobec stalinizmu i jego epigonów. Wracają po raz kolejny kwestie znane ze „Zniewolonego umysłu”, spory wokół motywów akcesu do komunizmu. Miłosz zdaje się być już znudzony tym tematem obowiązkowym, nieomal każdy piśmienny inteligent czuje się w obowiązku zająć pryncypialne stanowisko. Mimo to jednak Miłosz do sprawy powraca. Przytacza list Konstantego Jeleńskiego o ogłoszonej w *Twórczości* korespondencji poety z Wańkowiczem.

„Jego zdaniem słuszność była po stronie Wańkowicza, a moje argumenty były nieuczciwe i naznaczone niedopuszczalną pewnością siebie oraz *self-pity*. Doradza, żebym wziął byka za rogi i wreszcie napisał o mojej służbie zagranicznej po wojnie, nie kając się, ale też nie broniąc się na pozycjach nie do obrony”.

Miłosz przyznaje Jeleńskiemu rację, stwierdzając, że prawdziwe motywy „były nie do wyznania”, względnie wymagały

* Czesław Miłosz, „Rok myśliwego”, IL, Paryż 1990, str. 281.

„zbyt zawilej samoanalizy”. Szczęśliwie jednak diarysta oszczędza czytelnikowi owej analizy, poprzestając na stwierdzeniu: „kierowałem się jedynie pragnieniem: wyjechać. A potem się zobaczy”. Motywacja ta dla uważnego czytelnika „Rodzinnej Europy” nie jest niespodzianką (zobacz zwłaszcza esej „Intermezzo”).

O stalinizmie i dramacie Polski autor pisze trzeźwo i z koniecznym dystansem, zwracając uwagę na niedostrzegane na ogół strony sprawy. Nie waha się na przykład przywołać zdania Jakuba Bermana, który w rozmowie z Teresą Torańską mówi, że gdyby nie komuniści, z Polski zostałby placek (chodzi o rozmiar terytorium). „Trochę fałszuje — komentuje Miłosz — bo przed 1939 wcale nie leżała w ich zamiarach obrona terytorium, choć trzeba mu o tyle przyznać słusność, że żaden rząd pochodzący z wolnych wyborów nie dostałby Ziemi Zachodnich w подарunku od Wielkiego Brata”.

Podobny ton odnajdujemy we wspomnieniu o Jarosławie Iwaszkiewicz. Przypomina mi się rozmowa Jeleńskiego z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim o autorze „Pani z Wilka” w roku 1980 (*Kultura* nr 5). Podczas gdy Herling-Grudziński pozostał krytyczny, Jeleński nawet uległość Iwaszkiewicza wobec władz tłumaczył potrzebą podziału ról — współpraca z reżimem w takiej czy innej formie jest niezbędna dla zachowania pewnych wartości kulturalnych. Miłosz podejmuje ten wątek i bliższy jest Kotowi, pisząc, że wybór Iwaszkiewicza „można uznać za świadomie cyniczny i świadomie oportunistyczny. Z góry zakładał, że kolaborując trzeba płacić (...), to znaczy gotów był przyjąć poniżenie i nie powoływać się na honor. Jego decyzja była poważna i w porównaniu z nią szlachetna retoryka jego niezłomnych kolegów, Lechonia i Wierzyńskiego, robi wrażenie nieważkości”.

Zatrzymuję się dłużej nad tymi motywami, gdyż spokojny ton Miłosza, gdy mówi o tych sprawach, wydaje mi się właściwy i godny naśladowania (co oczywiście nie oznacza, że stanowisko poety jest *jedynie słuszne*). Nie idzie tu o ryczałtowe rozgrzeszenie (nie my go będziemy udzielać) ani o unieważnienie problemu. Trzeba jednak powiedzieć, że problem stał się już historyczny. Perspektywa wyłącznie polityczna deformuje obraz, zubaża psychologiczną rzeczywistość. Wyłącznie etyczne kryteria oceny zachowania się i postaw są niewystarczające. W portretach Iwaszkiewicza i Pruszyńskiego daje o sobie znać racjonalistyczna formacja Miłosza.

Jednakże „Rok myśliwego” nie jest przecież zbiorem wspomnień ani raptularzem, choć nie brak i zapisów „gospodarskich” w rodzaju „posadzona niedawno gardenia zakwitła”, wizyta w urzędzie podatkowym, jeleni obgryzi w nocy heliotrop,

chrzciny itp. Co sprawia, że jest to książka żywa i fascynująca, dzieło, którego lektura daje czytelnikowi tyle radości?

„Trzeba błogosławić dar umysłowej aktywności — notuje poeta. — Nawet jeżeli wiersze pisane w tym roku są ciemnej tonacji (...). Wiersze czy proza, rano czuję to samo podniecenie na myśl, że będę mógł zasiąść do biurka, tak jak w dzieciństwie myśląc, że zaraz pobiegnę do ogrodu na całodzienne hasanie”.

Całodzienne hasanie — jesteśmy blisko wyjaśnienia tytułu. Dziecko widzi świat jako ogród, który wtajemnicza je w swoje sekrety, ofiarowuje nieznanne. Polowanie to wyprawa zdobywczą, nawet jeżeli niczego się nie ustrzeli (polowania Tomasza Dilbina w „Dolinie Issy”). Na takie łowy wychodzi Miłosz. Świat jest dlań łowną zwierzyną, której rozmaitość jest niewyczerpana. To porównanie starego poety siadającego do pisania do małego chłopca, który rano wybiega do ogrodu, jest najlepszym może kluczem do książki Czesława Miłosza. To również metafora odsłaniająca sens biografii, „Rok myśliwego” jest bowiem także pytaniem poety o sens własnego życia („Tak więc próbuję zrozumieć moje życie”). Tylko tak powstaje wielka literatura: „odczucie piękna to może nic innego niż bardzo wysoki stopień zainteresowania” — napisał Miłosz prawie pół wieku temu. Formuła ta towarzyszy pisarzowi i jego czytelnikom do dziś.

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

Dwie antologie

Esej, wykwintne danie literackie, przeznaczony jest dla smakoszy. Sporządzany na wiele sposobów, z dodatkiem dowolnych ingrediencji, pozwala autorowi na całkowitą swobodę formy. Jest zarazem ćwiczeniem intelektualnym i stylistycznym. Wypada więc z satysfakcją odnotować pojawienie się ostatnio na rynku księgarskim w Stanach Zjednoczonych aż czterech książek eseistycznych polskich pisarzy i poetów, z uwagą odnotowanych

1. „Four Decades of Polish Essays”, edited by Jan Kott. Northwestern University Press, Evanston, Illinois, 1990, str. 403.

przez krytykę. Dwie z tych książek są antologiami, dwie pozostałe — wypowiedziami indywidualnymi. Sygnalizując jedynie tom szkiców Stanisława Barańczaka „Breathing Under Water” (Oddychanie pod wodą) i amerykańskie wydanie „Solidarity, Solitude” (Solidarność i samotność) Adama Zagajewskiego, pragnę zająć się w tym miejscu antologiami. *Nota bene* w jednej z nich znajdują się szkice obu wymienionych autorów.

Powszechnie wiadomo, że antologie są niezbędne, ale przy całej swojej przydatności są na ogół niemilosiernie przez recenzentów atakowane. Krytyk będzie z reguły kwestionował dany wybór i podsuwał swoją listę utworów, które powinny być zostać uwzględnione. Jakkolwiek jest to nieunikniony impuls, ważniejsza wydaje się inna sprawa, a mianowicie, jaki obraz świadomości zbiorowej autor antologii pragnął przedstawić. Jest to szczególnie interesujące w odniesieniu do zbioru przeznaczanego dla obcego, a nie rodzimego odbiorcy. Jan Kott w książce „Four Decades of Polish Essays”¹ postanowił zaprezentować czytelnikom anglojęzycznym coś w rodzaju wypisów z eseistyki polskiej w perspektywie historycznej. O ile zawartość blisko 400-stronicowego tomu stanowi pouczającą lekturę, tytuł całości wydaje się być wynikiem błędu arytmetycznego. Bo w istocie najstarszy chronologicznie tekst w tym zbiorze pochodzi z 1920 roku, a najnowszy — z końca lat osiemdziesiątych (też zresztą mylnie w książce odnotowany). Ponadto Kott we wstępie pisze o wyborze esejów z ostatniego półwiecza, gdy na tylnej okładce *nota informuje*, że książka zawiera „utwory najwybitniejszych pisarzy polskich obecnego stulecia”. Krótko mówiąc, tytułowych czterech dziesięcioleci nie można traktować jako ram czasowych. Czytelnik z pewnym zaskoczeniem znajdzie w tym woluminie teksty Brunona Schulza i Stanisława Ignacego Witkiewicza. W ogóle daty są w tej książce traktowane *ad libitum*. Zamieszczony w tym tomie tytułowy szkic zbioru Stempowskiego „Eseje dla Kassandry” nie może pochodzić z 1930 roku, jak to podaje antologia, choćby dlatego, że w tekście autor odwołuje się do wydarzeń z roku 1932. W rzeczywistości esej ten pochodzi z 1950 roku. Ale mniejsza o rachunkowość. Tom pod redakcją Kotta przynosi wielką różnorodność stylistyczną, bo autor antologii maksymalnie szeroko potraktował definicję eseju, włączając doń gawędę, aforyzmy, wykład, dialog i dziennik. Zbiór podzielony jest na cztery części, ale przyznam, że nie potrafię wytłumaczyć klucza tego podziału. Jeśli miał to być układ chronologiczny, skoro autor antologii gromadzi w części ostatniej głosy twórców pokolenia '68, to nie zastosował konsekwentnie tego porządku w trzech pierwszych częściach.

Robert Kostrzewa natomiast, znany czytelnikom *Kultury* z wywiadów z politykami i politologami amerykańskimi, przygoto-

wał do druku i poprzedził przedmową książkę pt. „Between East and West; Writings from *Kultura*”². Jego wybór jest nieco skromniejszy ilościowo i zamyka się na 270 stronicach. Kott w swojej antologii chcąc nie chcąc zaproponował — choćby na użytek cudzoziemski — hierarchię ważności w eseistyce polskiej ostatnich dziesiętków lat. Kostrzewa miał węższe zadanie, dokonując wyboru tekstów (a zatem nie tylko esejów) zamieszczonych w *Kulturze* w ciągu minionych dwudziestu lat. Dlaczego przyjął akurat takie ramy czasowe — łatwo wyjaśnić. Otóż równo dwadzieścia lat temu w Stanach Zjednoczonych ukazała się dwutomowa anglojęzyczna antologia *Kultury* pod redakcją Leopolda Tyrmanda, nakładem Free Press. Pierwszy tom nosił tytuł „Explorations in Freedom” drugi — „Kultura Essays”. W sumie była to obszerna, blisko 750-stronicowa publikacja, z przekładami wierszy, opowiadań, szkiców i artykułów współpracowników *Kultury*, zarówno polsko- jak obcojęzycznych, w tym Josifa Brodzkiego i Andrieja Siniawskiego. W antologii „Between East and West” znajdują się teksty wyłącznie polskich autorów. Kostrzewa podkreślił we wstępie, że nie zdołał już umieścić szkiców powstałych po wydarzeniach wiosny 1989 roku, które zapoczątkowały okres dynamicznych zmian w całej Europie wschodniej. Teksty ogłoszone w tym tomie nie straciły jednak na aktualności, pokazując tło przemian.

Nazwiska niektórych pisarzy powtarzają się w obu antologiach (Kołąkowski, Herling-Grudziński, Miłosz, Jeleński). Mało tego, na 19 autorów prezentowanych w antologii Jana Kotta dziewięciu należy do ścisłego kręgu *Kultury*, jak Stempowski, Vincenz, Wittlin. Toteż i tom w jego opracowaniu powstał w dużej mierze w oparciu o publikacje *Kultury* oraz Instytutu Literackiego. Do obu jednak książek teksty zostały wybrane pod nieco innym kątem. Kott chciał przedstawić współczesną myśl polską na tle europejskim, ograniczając zakres ściśle polskich kwestii. Celowo więc wybrał sporo tekstów dotyczących tzw. tematów wiecznych, w rodzaju rozpraw o św. Augustynie. I choć podkreślił we wstępie, że w poezji polskiej jak i w polskim eseju historia jest częściej i wyraźniej obecna niż metafizyka, to jednak jego antologia mogłaby zaświadczyć równie dobrze o silnej obecności tematyki metafizycznej w eseistyce. Motywem przewodnim zbioru „Four Decades of Polish Essays” jest rozważany w kategoriach filozoficznych los wygnańca lub ekspatrianta w kolejnych pokoleniach — od Józefa Wittlina do Wojciecha Karpińskiego. Najkrócej można by scharakteryzować zamysł Kotta-antology następująco: przedstawić Amerykanom Polaków

2. „Between East and West; Writings from *Kultura*”, Robert Kostrzewa, editor. Hill and Wang, New York 1990, str. 273.

jako pełnosprawnych Europejczyków, myślicieli w kategoriach uniwersalnych, bynajmniej nie zamkniętych w opłotkach polskości.

Antologia pod redakcją Kostrzewy jest bardziej zorientowana na sprawy polskie i większym stopniu odwołuje się do konkretnych wydarzeń. Autor starał się wybrać teksty o tematyce nurtującej Polaków w ostatnim dwudziestolecu. O ile w tomie pod redakcją Jana Kotta przeważają szkice literacko-filozoficzne lub manifesty artystyczne (jak Stanisława Ignacego Witkiewicza o teatrze czystej formy lub Jerzego Grotowskiego definicja aktora), o tyle w książce „Between East and West” nacisk pada bardziej na publicystykę i esej polityczny, przynajmniej w dwóch pierwszych częściach zatytułowanych „Gdzie żyjemy” i „Co myślimy”. Trzecia część tej antologii nosi tytuł „Co piszemy” i zawiera pięć opowiadań, w tym precyzyjne w opisie i przenikliwe wspomnienie oświęcimskie Bohdana Korzeniowskiego i opowieść w formie kroniki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „San Dragone” o konwersji na judaizm mieszkańców kalabryjskiej wioski, z tragicznym w konsekwencji finałem. Nawiasem mówiąc, hasła wywoławcze poszczególnych części w tej książce, na pozór atrakcyjne, są nieco na bakier z logiką, bo sugerują, że co innego myślimy, a co innego piszemy.

Zdaniem Kotta, poezja i eseistyka polska są tymi gatunkami, które najbardziej się rozwinęły w ciągu minionego półwiecza. Jak autor antologii podkreśla w przedmowie, doświadczenie ostatnich dziesięcioleci zyskało najbardziej polski i zarazem najbardziej uniwersalny wyraz w tych właśnie formach. Kott zwraca też uwagę jak wielu wybitnych poetów zajmuje się twórczością eseistyczną. Jerzy Stempowski — najświetniejszy twórca nowoczesnego esaju polskiego — zauważył natomiast, że esej stał się uprzywilejowaną formą wypowiedzi pisarzy emigracyjnych. Za dowód posłużyła mu praca zbiorowa „Literatura polska na obczyźnie, 1940–1960”. Rozdział o esaju autorstwa Józefa Bujnowskiego zajmuje blisko 50 stron i zawiera nazwiska kilkunastu twórców. Zastanawiając się nad przyczynami powodzenia eseistyki Stempowski doszedł do następującego wniosku: „Niespodziewany rozwój tej formy zdaje się być skutkiem warunków emigracyjnych, w których wszyscy piszący stali się w pewnym sensie eseistami. Mając do rozporządzenia tylko czasopisma, musieli streszczać się do 10-20 stron, pozbawieni możliwości metodycznej pracy musieli kontentować się próbą rozpoznania przedmiotu i sformułowaniu o nim tymczasowego sądu, co jest zasadniczym rysem esaju”³. Taka definicja esaju zgodna jest z pierwotnym znaczeniem tego słowa: próba.

3. Jerzy Stempowski: *Klimat życia i klimat literatury*, Czytelnik, Warszawa 1988.

Lektura obu antologii pozwala na wyodrębnienie kilku zasadniczych tematów obecnych w tych zbiorach. Są to: rozprawa z polskimi stereotypami, stosunek do Rosji, kwestie polsko-żydowskie, koncepcja Europy środkowej, nowoczesne pojęcie patriotyzmu. Esaj — nazwijmy go obywatelskim — jest silnie zaznaczony w antologii tekstów *Kultury*; znajdują się w tym tomie tak głośne swego czasu teksty jak „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy” Jana Józefa Lipskiego, „O naszej Europie” Miłosza, czy „Pomyślne proroctwa i pobożne życzenia laika na progu nowego pontyfikatu w wiecznej sprawie praw cesarskich i boskich” Kołakowskiego. W tomie pod redakcją Kotta ten nurt eseistyki polskiej ilustruje między innymi szkic Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, który wywołał nadzwyczaj gwałtowną polemikę ogólnopolską po ogłoszeniu w *Tygodniku Powszechnym*, oraz „Odczyt w Akademii Szwedzkiej” Miłosza. Kott pisze we wstępie, że szereg wybranych przezeń szkiców świadczy o „ranie historii”, tak silnie obecnej w świadomości polskiej. Wiąże się to z poczuciem solidarności z przegranymi, obowiązkiem odnotowania w literaturze rozmiarów cierpienia, i — mimo wszystko — uniknięciu zasadzek nihilizmu. „Rana historii” jest motywem przewodnim — jak podkreśla Kott — także szkicu „W obronie templariuszy” Herberta, eseju „Raj utracony” Józefa Czapskiego, poświęconego malarstwu Bonnarda, refleksji Zygmunta Kubiaka nad rozpaczą i wiarą, szkicu Herlinga-Grudzińskiego „O szarej godzinie”.

Kott zauważył, że wspólną cechą poezji i eseistyki jest to, iż przemawiają one w pierwszej osobie, nawet jeśli „ja” występuje w przebraniach i w maskach. Jednym z najsilniejszych „ja” w tym tomie jest głos Witolda Gombrowicza we fragmentach z „Dziennika”. Kott zalicza „Dziennik” do eseistyki, choć trafniejsza wydaje się być w odniesieniu do tego dzieła definicja „powieść autobiograficzna”. To raczej „Dziennik pisany nocą” Herlinga ma przede wszystkim cechy prozy eseistycznej. Niezależnie przekonywujące jest też dla mnie umieszczenie wyboru „Myśli nieuczesanych” Stanisława Ignacego Leca w antologii „Four Decades of Polish Essays”. Spierałabym się również z autorem antologii o umieszczenie szkicu Iwaszkiewicza o Petersburgu, czy Andrzeja Kijowskiego o świętym Augustynie. Sądzę, że w dorobku obu pisarzy znajdują się dużo ponętniejsze utwory. Antologię, jak wspominałem, zależało na udowodnienie, iż nie ma tematu, jakim Polacy nie zajmowaliby się. Swoją wizytówkę pisarską przedstawił w tomie opowieścią „Podróż na Wschód” — o dwóch wizytach w Pekinie rozdzielonych rewolucją kulturalną. Szkic ten pochodzi z najnowszej książki Kotta, „Przyczynek do biografii”. Anglosaski czytelnik jest być może bardziej zainteresowany właśnie ową specyfiką polską czy śród-

kowoeuropejską niż rozprawami polskich myślicieli o Pascalu. W tym sensie wybór tematów w zbiorze pod redakcją Kostrzewy bardziej spełnia oczekiwania. W większym też stopniu prezentuje teksty dotychczas nieznanie czytelnikowi anglojęzycznemu. W antologii Kotta znajduje się sporo utworów dostępnych już Amerykanom w edycjach książkowych — jak wykład noblowski Miłosza, wydany w polskiej i angielskiej edycji językowej w osobnej książce w 1981 r., jak „Dziennik” Gombrowicza, jak zbiór esejów Adama Zagajewskiego, dialog Wat-Miłosz z „Mojego wieku” czy „Barbarzyńca w ogrodzie” Herberta. Być może o takiej redakcji tomu zdecydowały względy finansowe. Jonathan Brent, redaktor wydawnictwa Northwestern University Press, jest zdecydowanym polonofilem i za namową Kotta ogłosił już sporo dzieł literatury polskiej w przekładzie na angielski, ale — jak w niemal każdej uniwersyteckiej oficynie wydawniczej — ma na ten cel bardzo skromny budżet. Antologia *Kultury* ukazała się w wydawnictwie komercyjnym i zawiera więcej tekstów niedostępnych dotychczas czytelnikowi anglosaskiemu.

Na koniec słowo o tłumaczach. Ich nazwiska również powtarzają się w obu tomach. Wymienię w tym miejscu kilkoro: Lillian Vallee, Jarosława Andersa, Jadwigę Kosicką, wyróżniających się wkładem pracy do tych antologii i jakością przekładu. W zasadzie wszystkie utwory czyta się po angielsku gładko, z wyjątkiem „Refleksji o moim życiu” Stanisława Lema, przełożonych przez jego przyjaciela-pisarza, Austriaka, chyba słabo znającego idiom amerykański. Przyznam, że wyjątkowo dobrze wypada po angielsku proza Stempowskiego, i jego „Księgozbiór przemysłników” jest majstersztykiem także w przekładzie. Doskonale brzmi też po angielsku eseistyka Herlinga i Józefa Czapskiego.

Renata GORCZYŃSKA

Między Sanem a Zbruczem

Książka Macieja Kozłowskiego „Między Sanem a Zbruczem”¹ jest lekturą na czasie, mimo że opisuje przeszłość sprzed dziesięcioleci. Byłaby zresztą na czasie od dziesięcioleci, ale obecnie, gdy dokonuje się zmiana paradygmatów ustrojowych, nabiera szczególnej

1. M. Kozłowski, *Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-1919*. Wyd. „Znak”, Kraków 1990, s. 312, nakład 10.000 egz.

aktualności. Kozłowski co prawda zajmuje się wycinkiem stosunków polsko-ukraińskich, ale wycinkiem istotnym, w dużej mierze określającym stosunki między sąsiadującymi narodami. Jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że książka, wynik długoletnich studiów, trafiła na rynek właśnie teraz, gdy kształtują się struktury, które będą miały przemożny wpływ na określenie stosunków między Polską a Ukrainą.

Wykształcony Polak wie, że w 1918 i 1919 roku toczyły się walki z jakimiś Ukraińcami, że obiektem tych walk były Lwów i Galicja Wschodnia, ale nie wie, że walki te nie toczyły się przeciwko „jakimś Ukraińcom”, ale przeciwko ukraińskiemu państwu. Na pewno, jeśli nie należy do bardzo wąskiego grona specjalistów, nie jest mu znana nazwa tego państwa. Co więcej, i co gorsze, nie zdaje sobie sprawy, że państwo to zostało zniszczone przez polskie zwycięstwo. Nie trafiło dotąd do powszechnej świadomości, że wielki naród ukraiński jest i będzie najbliższym sąsiadem polskiego.

W tej sytuacji popularnie napisana, ale będąca wynikiem gruntownych przemyśleń książka Macieja Kozłowskiego, na równi historyka, co publicysty krakowskiego *Tygodnika Powszechnego*, nie tylko wypełnia lukę, ale może również spełnić ważną funkcję w przełamaniu zastarzałych stereotypów, zwłaszcza, że erudycji towarzyszą walory pióra i, co może ważniejsze, programowe odejście od tak częstego wśród historyków w Polsce ciasnego, archaicznego pojmowania interesu narodowego.

Na dobro autora należy także zapisać, że niezależnie od pozytywistycznego wykładu, wprowadził również szerszą refleksję historyczną. Jego zasadnicza teza zawiera się w stwierdzeniu, że wojna polsko-ukraińska 1918-1919 roku nie tylko miała fatalne znaczenie dla losów wciągniętych w nią narodów, ale na przebieg długich dziesięcioleci zaciążyła na losach świata, że miała nie mniejsze znaczenie niż bitwa pod Warszawą w sierpniu 1920 roku, określona przez d'Abernona jako „osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”. Tylko, dowodzi Kozłowski, o ile polska wygrana pod Warszawą zagroziła bolszewikom drogę do Europy, to wojna polsko-ukraińska miała zupełnie przeciwstawne znaczenie, w walnym stopniu przyczyniła się do zachowania projektu rosyjskiego imperium przez bolszewików, ze wszystkimi stąd płynącymi skutkami zarówno dla Europy, jak i dla skłóconych narodów.

Można tu zarzucić zacieśnienie pola widzenia, konflikt polsko-ukraiński był elementem szerszego zjawiska, które nazywamy „bałkanizacją” Europy Środkowej i Wschodniej. Poza konfliktem o Galicję Wschodnią ujawniło się tu wówczas kilka innych destrukcyjnych rywalizacji, jak polsko-czeska, czesko-węgierska itd. Wprowadzając te poprawki trzeba jednak zaznaczyć, że w twierdzeniu autora jest dużo racji. Kwestia ukraińska zajmuje w Europie szczególne miejsce; naród ukraiński jest jedynym wielkim narodem pozabawionym niepodległości; posiadanie Ukrainy było i jest podstawą imperium rosyjskiego, konflikt polsko-ukraiński o Galicję Wschod-

nią w wielkim stopniu przyczynił się do utrwalenia rosyjskiego panowania nad Ukrainą i całego stąd wynikającego łańcucha wydarzeń i zjawisk. „Pierwsza w pełni przez Polaków wygrana wojna kosztowała Polskę więcej niż niejedna dramatyczna klęska” (str. 13). Kozłowski dowodzi, że zajęcie Galicji Wschodniej i zniszczenie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej spowodowało, iż sojusz z Petlurą w kwietniu 1920 r. i podjęta w ślad za tym wyprawa kijowska „...z góry skazane były na klęskę” (str. 13).

Autor dużo miejsca poświęca prehistorii konfliktu. Na uwagę zasługuje tu umiejętność wiązania czasu i dostrzeganie zjawisk w ich *dhugim trwaniu*. Nie ze wszystkimi sformułowaniami autora można się zgodzić. Sąd, że „...wyrok na Rzeczypospolitą zapadł pod Korsuniem i Żółtymi Wodami, pod Zbarazem i Beresteczkiem” (str. 18) jest chyba uproszczeniem. Nawet jeśli uznać kwestię ukraińską za rozstrzygającą dla bytu Rzeczypospolitej, to wyrok ten został wydany przed powstaniem Chmielnickiego, w wyniku nieudolności polityki nie mogącej zdecydować się ani na uśmierzenie Kozaków i narzucenie Unii, ani na równouprawnienie Rusi i prawosławia. Klęski militarne były nie wyrokiem, ale jego egzekucją.

Ciekawy jest rozdział zatytułowany „Kto wymyślił Ukrainców?”. Kozłowski daje tu wykład, jak powstała pokutująca po dziś dzień teoria, że naród ukraiński jest najlepszym wynalazkiem niemieckiej propagandy. Sformułował ją ponoć jako pierwszy Florian Ziemiałkowski w połowie ubiegłego wieku, w związku z politycznymi posunięciami gubernatora Galicji, hrabiego Stadion, inspirowana również „rabacją”, ale Kozłowski przyłącza się do zdania austriackiego historyka M.v.Sala, że „hrabia Stadion nie musiał wymyślać Rusinów w 1948 roku. On ich tylko odnalazł” (str. 35).

Słusznie widząc, że „...ruch ukraiński budzi się do życia od razu w wyraźnej opozycji do polskości”, Kozłowski stawia pytanie, czy było to nieuchronne i odpowiada, że „niestety, tak” (str. 37). Polskość była do tego stopnia dominująca, że „...propagatorzy ukraińskiej odrębności musieli niejako sztucznie stworzyć przeciw temu barierę...”, podobnie, pisze autor, jak to uczynili nieco później Litwini. Oczywiście, jeśli jakieś zjawisko powstało i stało się dominujące, to dlatego że podsumowanie wszystkich wektorów dało taki a nie inny wynik, co jest banalnym rozumowaniem we wszelkich systemach deterministycznych. Sądzę natomiast, że uzasadnienie podsumowania jest nieco za proste. Jako przykład podważający tezę Kozłowskiego mogą tu służyć stosunki fińsko-szwedzkie. Fiński ruch narodowy też rodził się w warunkach dominacji szwedzkości, mimo to dominantą stosunków była i jest symbioza. Jest to temat dla oddzielnych rozważań, którego nie da się przedstawić w dwóch zdaniach. Zauważmy tu tylko, że konflikt polsko-ukraiński w Galicji Wschodniej w połowie ubiegłego wieku miał charakter nie tylko narodowy, ale i społeczny, może nawet przede wszystkim społeczny, jeśli wcale nie Ukraińcy, lecz polscy chłopcy mordowali polskich ziemian, „ciarachów”.

Skłonny jestem wyciągnąć wniosek, że autor za poważnie traktuje ciąg historyczny, zbyt mało poświęcając uwagi zjawiskom społecznym. Ale do tego wrócę dalej. Natomiast słuszne mi się zdaje podkreślenie roku 1848 i wydarzeń Wiosny Ludów jako cezury rozwoju ukraińskiego ruchu narodowego. Zresztą Kozłowski przekonująco pisze o tym, że na antypolskości młodego ruchu ukraińskiego zaciążył brak wyobraźni polskich przywódców w Galicji. W ślad za Handelsmanem Kozłowski akcentuje natomiast dalekowzroczność księcia Adama Czartoryskiego, który w dalekim Paryżu dostrzegł nieuchronność powstania narodu ukraińskiego. Niestety, jego polityka wówczas nie zaowocowała, a uzależnieni politycznie i psychicznie od Habsburgów Ukraińcy nie potrafili się wyemancypować do samodzielnej, dalekowzroczej polityki. Późniejsze tendencje moskalofilskie autor tłumaczy szokiem porozumienia austriacko-polskiego po 1866 roku (str. 49 *pass.*)

Próby porozumienia obu narodów podejmowane były z kilku stron, ale najpełniejszy wyraz znalazły w kontaktach lewicy. Ze strony ukraińskiej będą to radykałowie, nazwiska nie byle jakie, bo Drahomaniw, Franko, Pawlyk, ze strony polskiej — socjaldemokraci, ale współpracy tej „...położy kres nowe, tak na gruncie ukraińskim, jak i polskim zjawisko; integralny zaborczy nacjonalizm (str. 58). Można i w tym miejscu zgłosić zastrzeżenie, że ten kres nie był nigdy pełny, przynajmniej z polskiej strony, i nie tak wczesny, ale generalnie racja jest po stronie autora, życie polityczne Galicji Wschodniej na przełomie wieków zostało zdominowane przez partie nacjonalistyczne, a Galicja stała się terenem zaciekłej walki, objawiającej się czasem we wręcz dzikich ekscesach obu stron. Kozłowski obarcza Narodową Demokrację odpowiedzialnością za permanentne zaognianie stosunków polsko-ukraińskich.

Cenny jest rozdział VI, zatytułowany „Czyj kraj?”. Autor dowodzi tu, że tragedia Galicji Wschodniej bierze się z tego, że nie była ona ani ukraińska — choć Ukraińcy stanowili większość ludności — ani polska, choć polska mniejszość odgrywała rolę w administracji, gospodarce i kulturze. W rozdziale tym zwraca uwagę staranna analiza rozmaitych obliczeń demograficznych.

Smutną refleksję budzi zdanie, podsumowujące okres do 1918 roku, że „...bądź co bądź nigdy, ani wcześniej ani później, czy w okresie Polski niepodległej, czy po drugiej wojnie światowej, nie było na ziemiach polskich tak liberalnego systemu, jaki po roku 1866 zapewniła Galicji Austria” (str. 97). Stąd brał się lojalizm austriacki, cechujący nie tylko Ukraińców, ale i polskich polityków.

Autor zwraca uwagę, że proklamowanie państwa ukraińskiego na terenie Galicji Wschodniej nastąpiło już 18 października 1918 roku we Lwowie, ale nie zostało dostrzeżone przez polskich polityków, stąd więc zaskoczenie, gdy w dniu 1 listopada Ukraińcy opowiedzieli się za Austro-Węgrami, wyprzedzając polskie oderwanie się od rozpadających się Austro-Węgrów. Zaślepienie politycznych i wojskowych działaczy endeckich spowodowało, że nie tylko nie dostrzeżono działań ukraiń-

skich, ale i zlekceważono otrzymywane sygnały o ukraińskim ożywieniu wojskowym. Wbrew potocznym twierdzeniom o „austriackiej intrydze” nie ma — dowodzi Kozłowski — żadnych dowodów, by w proklamowaniu ukraińskiej niepodległości maczali palce politycy austriaccy, ślady są wątpliwe, a wszystkie narody podwójnej monarchii miały we Wiedniu jakichś swoich rzeczników, mieli takich i Polacy.

Walka o Lwów i wojna polsko-ukraińska ma — dowodzi autor — dwie strony. Dla przedstawienia owego rozdwojenia autor przytacza wystąpienie młodziutkiego działacza pepesowskiego, Wacława Brunnera, który stojąc na stanowisku przynależności Lwowa do Ukrainy, „...odznaczy się ...jako jeden z dzielniejszych walczących we Lwowie Polaków” (str. 136).

Pomińmy opis działań wojennych jako zjawisk incydentalnych, zwłaszcza że znany jest ich *facit*, poprzestańmy na problemach politycznych. Walczący Lwów znalazł się natychmiast w centrum uwagi polskiej opinii publicznej i manipulacji. Narodowa Demokracja „...hasłem pomocy dla Lwowa posługiwać się będzie jako orężem w decydujących o kształcie Rzeczypospolitej tygodniach” (str. 161). Zarówno Piłsudski jak i dowodzący w wojnie przeciwko ZURL brygadier Roja byli przeciwni eskalacji wojny z Ukraińcami, obaj zdawali sobie sprawę, do jakiego stopnia konflikt z Ukraińcami burzy racjonalną koncepcję odbudowy państwa i zabezpieczenia jego trwałych interesów.

Kozłowski przypisuje dużą rolę mianowaniu 19 listopada dowódcą wszystkich polskich sił, operujących we Wschodniej Galicji generała Tadeusza Rozwadowskiego — zbliżony do Narodowej Demokracji oficer był zaciekle przeciwnikiem niepodległej Ukrainy.

Wbrew potocznemu przeświadczeniu o ukraińskich okrucieństwach, szerzonych przez polską propagandę i wbrew odpowiedniej propagandzie ukraińskiej, autor dowodzi, że wojna — przynajmniej początkowo — toczyła się nie tylko z zachowaniem norm, ale z dużą dozą rycerskości. Sposób prowadzenia owej wojny „...dla nas, po doświadczeniach, jakie do wojowania wniosły ustroje totalitarne, wydaje się wprost niewiarygodny” (str. 171).

Dużo miejsca autor poświęca zarówno różnym polskim spontanicznym dążeniom do załagodzenia konfliktu, jak i próbom kompromisowego rozwiązania, jakich nie brakło w otoczeniu Piłsudskiego, szczególnie w grupie skupionej wokół pisma *Rząd i Wojsko* oraz wśród pepesowców. Również tu autor idzie pod prąd powszechnego, niestety, stereotypu, zgodnie z którym przynależność Galicji Wschodniej do Polski była ponoć aksjomatem wszystkich polskich grup politycznych. Egzemplifikację problemu można by poszerzyć, bowiem autor nie wykorzystał całego dostępnego materiału. Historyka w tym miejscu uderzyć musi niewykorzystanie stenogramów sejmowych, źródła szczególnie ważnego, jako że wszystkie grupy polityczne właśnie w sejmie składały deklaracje programowe. Ten brak powoduje, że w pracy np. nie pojawia się nazwisko Mieczysława Niedziałkowskiego, głównego teoretyka, zresztą i prak-

tyka PPS w sprawach narodowościowych i w ogóle wschodnich. Nie podważa to jednak zasadniczej słuszności wykładu i wniosków.

Kompromisu jednak nie osiągnięto, głównie z powodu uporu strony ukraińskiej, politycy ZURL ani razu nie zdobyli się na to, by zasiąść przy wspólnym stole z życzliwymi im polskimi politykami. Ta koncepcja „wszystko lub nic” miała tragiczne konsekwencje. Przewaga polskich sił była tak znaczna, że musiały po półrocznych walkach zgnieść ukraiński opór.

Po drodze jednak zaszedł wypadek, który miał dla Polski dalekosiężne konsekwencje, mianowicie pogrom we Lwowie w dniu 22 listopada 1918 roku, w dniu wyparcia zeń oddziałów ukraińskich. Fakt ten, znany polskim historykom, jest na ogół przemilczany, jako nazbyt nieprzyjemny. Kozłowski, który w ogóle nie uchyla się od spraw przykrych i którego praca jest w dużej mierze wyzwaniem rzuconym stereotypom, nie tai prawdy o pogromie, nie przemilcza też problemu odpowiedzialności polskiego dowództwa, zwłaszcza kpt. Mączyńskiego. Można co prawda dyskutować, czy odpowiedzialność Roi nie została potraktowana zbyt pobłaźliwie, ale jest to dla historii sprawa drugorzędna. Autor dowodzi, że ów pogrom wyrządził zarówno doraźne, jak i trwałe szkody Polsce.

Nie jest zamiarem recenzenta streszczenie pracy. Powtórzę więc tylko już wcześniej wyrażony sąd o dużej wartości książki. Myślę, że nie podważą tej zasadniczej oceny zarówno powyżej zaznaczone braki, jak i te, które przedstawię poniżej. Jak pionierską by książka Kozłowskiego nie była, nie jest ona pierwszą i jedyną publikacją w tej dziedzinie. Jeśli można w ostateczności zgodzić się na opuszczenie wskazanego w tego rodzaju pracy rozdziału przedstawiającego stan badań i literatury, to trudno się zgodzić z opuszczeniem szeregu istotnych pozycji w wykazie bibliograficznym, w którym znalazło się miejsce dla wielu prac dosłownie marginalnych lub wręcz nieistotnych. Szczególnie uderzające jest dla mnie opuszczenie monumentalnej pozycji Aleksandra Bocheńskiego, Stanisława Łosia i Włodzimierza Bączkowskiego pt. „Problem polsko-ukraiński w ziemi czerwieńskiej”, wydanej w 1938 roku. Nie rozumiem pominięcia badań Walentyny Najdus. Nie pojawia się nazwisko Józefa Łobodowskiego.

Do swoich prac, pisanych przed wieloma — a także niezbyt wieloma — laty żywiły mieszane uczucia, niemniej są, istnieją i niejedno zdanie wytrzymało próbę czasu, a niektóre z nich były przedrukowane przez samizdat, nawet w kilku wydaniach. Myślę, że i autor recenzowanej pracy się z nimi zetknął, jeśli nie poprzez *Kulturę* lub *Aneks*, to poprzez podziemne oficyny. Upomnę się więc o nie, zwłaszcza o te, które poświęcone są zagadnieniom ukraińskim. Czynię to tym bardziej, że szereg nie tylko ustaleń, ale sformułowań Kozłowskiego bardzo przypomina mi moje własne ustalenia i zdania, co oczywiście cieszy, ale — jak widać — i smuci.

I wreszcie ostatnie zagadnienie: książka nasuwa pytanie o zakres wolności słowa w PRL w 1990 roku. Autor nie liczy się z

utartymi stereotypami, dowodzi ich fałszywości, czym wielokrotnie chyba naraził się na gniew samozwańczych opiekunów narodowej przeszłości. Chwała mu za to. Ale nie zdobył się na równie obiektywną ocenę działalności hierarchów rzymskokatolickich. Przecież załamanie się w 1913 roku podjętych przez Michała Bobrzyńskiego prób porozumienia polsko-ukraińskiego (nawiasem mówiąc — też jeden ze zwrotnych momentów historii) było nie tylko dziełem Narodowej Demokracji, której jątrzące działania nie odniosłyby skutku, gdyby nie wymierzone w Bobrzyńskiego przysłowiowe ongiś w Galicji „trzy pastorały”. Faktem bowiem jest, że konflikty w Galicji Wschodniej miały również wymiar wyznaniowy, a działania polskiej hierarchii w owym czasie nie zawsze były nacechowane ewangeliczną pokorą i miłością bliźniego. Trudno się zgodzić z tym, że nazwisko arcybiskupa obrządku ormiańskiego Teodorowicza ani razu nie pada, mimo omawiania spraw, w których brał on wybitny udział. A przecież znalazło się miejsce dla obiektywnej oceny kleru greckokatolickiego. To są oczywiście najprostsze i najbardziej bezsporne przykłady, wzbudzają one jednak niepokój.

Józef LEWANDOWSKI

Dorose dzieci uciekinierów niemieckich

23 października w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Berlinie odbył się wieczór autorski Ursuli Höntsch-Harendt. Współorganizatorem imprezy było niedawno utworzone Towarzystwo Dobrosąsiedzkich Stosunków z Polską.

Pierwsza książka autorki ukazała się w roku 1986 i stanowiła w ówczesnej NRD swoiste wydarzenie, gdyż podejmowała temat będący przez cały okres powojenny w tym państwie rodzajem tabu. Poświęcona jest bowiem problemom wysiedleń Niemców z dawnych terenów wschodnich. Zatytułowana „*Wir Flüchtlingskinder*” („My, dzieci uciekinierów”), opowiada o losie Niemców, którzy w zimie 1945 roku opuścili Legnicę. Powieść kończy się w roku 1950, w chwili utworzenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Cała ta problematyka, mająca bogatą bibliografię w literaturze zachodnionieemieckiej, uznawana była w NRD do połowy lat osiemdziesiątych za objaw tendencji rewizjonistycznych i jako taka po prostu nie istniała. Pojawienie się debiutu Ursuli Höntsch było więc wydarzeniem wykraczającym daleko poza problematykę czysto literacką i zostało

zyczliwie odnotowane przez Adama Krzemińskiego w warszawskiej *Polityce*. Książka, już przetłumaczona i opatrzona wstępem Krzemińskiego, ma się ukazać niebawem nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego i będzie kolejnym utworem — po opowieści Christiana Grafa von Krockow „Czas kobiet”, opublikowanej przez warszawską oficynę CDN — który przybliży tę żywą wciąż w Niemczech problematykę czytelnikowi polskiemu.

W czasie wieczoru autorskiego w polskim ośrodku autorka czytała fragmenty drugiej już powieści z zaplanowanej trylogii. Zatytułowana „*Wir sind keine Kinder mehr*”^{*} czyli „Nie jesteśmy już dziećmi”, opisuje korespondencyjną przyjaźń między główną bohaterką poprzedniego utworu, Marianną, a mieszkającą w Legnicy polską koleżanką. Książka — interesująca w tej warstwie, która poświęcona jest ideologicznemu reżimowi, w którym żyje w latach pięćdziesiątych NRD-owska młodzież — ukazuje swoistą nierównomierność procesów społecznych w Polsce i u naszych zachodnich sąsiadów. Właśnie dzięki korespondencji ze swą polską przyjaciółką bohaterka dowiaduje się o rzeczywistych, a nie przekłamanych przez wschodniemiecką propagandę przyczynach wydarzeń w Polsce — takich jak choćby wydarzenia polskiego Października 1956 roku. Akcja powieści kończy się w roku 1961.

Obie książki, jak wyjaśniła autorka w trakcie dyskusji, pisane były ze świadomością ograniczeń, które nakładała cenzura, a tym samym nie do końca były w stanie oddać prawdę na temat czasu, który opisują. Zapewne tom trzeci, w którym Marianna będzie już kobietą w starszym wieku, przyniesie uzupełnienie świadomych przemilczeń i niedopowiedzeń — również w kwestii stosunków polsko-niemieckich. Jedno nie ulega wątpliwości — oba opublikowane już utwory zmierzają do zrozumienia zachodzących po roku 1945 procesów historycznych i ich wpływu na kształtujący się w Niemczech wschodnich obraz Polaków. Pisarka, z zawodu będąca historykiem, nie pozostawia wątpliwości co do swego stosunku w kwestii utraty przez Niemcy przedwojennych terytoriów wschodnich i konieczności uznania obecnych realiów. Zarazem, co wydaje się istotne, nie pozostawia też wątpliwości co do emocjonalnych związków z utraconymi miejscami rodzinnymi. Nie jest rzeczą przypadkiem, że jej bohaterka koresponduje z kimś, kto mieszka w opuszczonej przez nią Legnicy, miście, które — podobnie jak Gdańsk czy Mazury — jest obecnie elementem wspólnego pejzażu obu kultur, niemieckiej i polskiej. Ta właśnie sprawa była też przedmiotem dyskusji zamykającej spotkanie autorskie Ursuli Höntsch.

L.S.

* Ursula Höntsch *Wir sind keine Kinder mehr*, Mitteldeutscher Verlag, Halle-Leipzig 1990, str. 263.

Niemiecki katalog polskiej prasy niezależnej

Wielokrotnie przy różnych okazjach wspominałem o tym, że między Niemcami i Polakami istnieje rażąca dysproporcja we wzajemnej wiedzy o sobie. Ta niekorzystna dla Polski asymetria dotyczy w szczególności publikacji — od przewodników turystycznych i słowników poczynając, a kończąc na bardzo specjalistycznych opracowaniach naukowych. Warto przy okazji zwrócić uwagę na fakt, że dysproporcja ta znacznie się najprawdopodobniej w najbliższym okresie zmniejsza. Dowodem na to jest wydany w Warszawie tom szkiców autorów niemieckich dotyczący kultury politycznej w RFN, opracowany przez Franciszka Ryszkę i Gerda Meyera. We wstępie profesor Ryszka stwierdza: „Do rąk czytelnika przekazujemy pierwszą w języku polskim poważną książkę na temat kultury politycznej społeczeństwa zachodniemieckiego”. Można już dziś mieć nadzieję, że podobnych tomów w najbliższych latach ukaże się więcej.

Póki co jednak, w Niemczech wciąż liczba publikacji poświęconych Polsce jest większa niż analogicznych wydawnictw o naszych zachodnich sąsiadach u nas. Jednym z najnowszych przykładów jest opracowana w ramach programu Forschungsstelle Osteuropa przy Uniwersytecie w Bremie bibliografia polskiej prasy niezależnej z lat 1976-1989*. Tom jest dziełem Angeli Murche-Kikut, która od lat zajmuje się gromadzeniem w bremeńskiej bibliotece polskich wydawnictw podziemnych. Tamtejsze zbiory można bez przesady określić jako jedne z najbardziej kompletnych w Europie. Muszę przyznać, że nawet mnie, człowieka, który od początku nie tylko brał udział w tworzeniu niezależnego obiegu, lecz także starał się w miarę możliwości ogarnąć oraz opisać jego zasięg, zaskoczyło bogactwo zaprezentowanych w katalogu tytułów. Ma rację autorka książki, przywołując we wstępie słowa z piosenki Jana Kelusa o dokonanej w Polsce „papierowej rewolucji”.

Przyjęta we wprowadzeniu zasada periodyzacji prasy niezależnej na trzy okresy jest w zasadzie słuszna. Pierwszy okres, obejmujący lata 1976-1980, praktycznie do wydarzeń sierpniowych, to czas kształtowania się niezależnego obiegu. Drugi okres to czas jawnego działania „Solidarności”. I tutaj pojawiają się pewne problemy, których autorka bibliografii chyba nie uwzględniła w dostatecznym stopniu, zaliczając bez komentarza do „drugiego obiegu” także wyda-

* Angela Murche-Kikut (oprac.) *Unabhängige Periodika aus Polen 1976-IV 1989. Bestandskatalog*. Forschungsstelle Osteuropa an der Universität Bremen. Bremen 1990, str. 277.

wane w tym czasie biuletyny związkowe. Rzecz w tym, że choć ukazywały się one w postaci nieocenzurowanej, to jednak zgodnie z odpowiednimi przepisami zezwalającymi na pominięcie cenzury. W tym samym czasie jednak ukazywały się jednocześnie pisma, które nie podlegały związkowi i tym samym naruszały obowiązujące „prawo”. Tylko te ostatnie można zaliczyć do grupy czasopism niezależnych, gdyż na takiej samej zasadzie jak biuletyny związkowe, poza kontrolą cenzury, ukazywały się także inne wydawnictwa objęte zapisem, który w świetle prawa zwalniał je od takiej kontroli — na przykład biuletyny PAP-owskie czy partyjne. Do takich należał na przykład biuletyn organizacji partyjnej przy Związku Literatów Polskich, zaś tego rodzaju publikacje nie zostały w wykazie — i słusznie — odnotowane.

Katalog opracowany przez Angelę Murche-Kikut dzieli się na dwie podstawowe części. Pierwsza to alfabetyczny wykaz tytułów prasy niezależnej wraz z ich opisem oraz wykazem numerów będących w posiadaniu biblioteki w Bremie. Druga część ujmuje owe czasopisma w grupy tematyczne — periodyki związkowe, rolnicze, poświęcone literaturze itp. Można założyć, że wykaz nie obejmuje kompletnie pism wydawanych w Polsce poza zasięgiem cenzury, lecz najprawdopodobniej takim wykazem nie dysponuje jeszcze żadna instytucja. Pewne jest natomiast, że jest to najbardziej kompletny z dotąd publikowanych katalogów i tym samym stanowi on niezbędne kompendium dla tych wszystkich, którzy interesują się rozwojem i historią wydawnictw podziemnych w Polsce.

L.S.

Nadesłane nowości wydawnicze

KORPOWSKI (Bolesław). *Śmigłem i piórem. Publikacje i wspomnienia*. Str. 144. (Wyd. Polska Fundacja Artystyczna, Melbourne 1990).

MAĆKOWSKA (Maria). *Pomocnicza Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych w okresie 2 wojny światowej*. Str. 144. (Wyd. Veritas Foundation, Londyn 1990).

PLATTER (Dana). *Spętanie w obcości*. Str. 92. (Wyd. nie podane, Szwecja 1990).

ARTZI (Zygmunt). *Erdreich, Wenasok, Artzi — to ja*. Spisała na podstawie opowiadania i zredagowała Miriam Thau. Str. 192. (Wyd. Eked, Israel 1989).

Opus sacrum. Wystawa ze zbiorów Barbary Piaseckiej-Johnson. Zamek Królewski w Warszawie. Warszawa 1990. Str. 400. (Wyd. IRSA-Verlag, Wiedeń 1990).

LUKAS (Stanisław). *Jaksa*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. Polish Studies at Macquarie University, Sydney 1989).

- IWAŃSKA (Alicja, red.). *Fale emigracji polskiej. Zbiór prac przygotowanych w związku z symposium odbyłym w Londynie w dniu 24-go lutego 1990*. Str. 72. (Wyd. Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Londyn 1990).
- FREDRO-BONIECKI (Tadeusz). *Zwycięstwo księdza Jerzego. Rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim*. Str. 231 i nlb. (Wyd. NOWA, Warszawa 1990).
- HEN (Józef). *Nikt nie woła*. Str. 342 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990).
- GÓRA (Jan OP). *Gość wiecznego domu. O Romanie Brandstaetterze*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. „W drodze”, Poznań 1990).
- MŁYNEK (Władysław). *Śpiewające zbocza*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Profil, Ostrava 1989).
- POBÓG-MALINOWSKI (Władysław). *Na rumuńskim bezdrożu (fragmenty wspomnień)*. Str. 86. (Wyd. Warszawska Oficyna Wydawnicza Gryf, Warszawa 1990).
- FARYŚ (Janusz). *Stanisław Stroński. Biografia polityczna do 1939 roku*. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Uniwersytet Szczeciński, Szczecin 1990).
- BRODA (Marzena). *Światło przeszczeni*. Str. 46. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1990).
- DARSKI (Józef). *O dezinformacji*. Str. 80. (Wyd. Wydawnictwo O.N.-a, 1990).
- PROKOP (Jan). *Przez podobieństwa*. Str. 80. (Wyd. Libertas 1989).
- Katyń — problemy i zagadki*. Str. 216. (Opr. Niezależny Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej, wyd. PoMost, Warszawa 1990).
- THOM (Françoise). *Drewniany język*. Z francuskiego przeł. Izabela Bielicka. Str. 148. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- RYSIEWICZ (Adam). *Zagadnienia retoryki w analizie poezji polskiej przelomu XVI i XVII wieku*. Str. 130. (Wyd. IBL PAN, Ossolineum 1990).
- SUCHAR (Tomasz). *Synagoga „Pod Białym Bocianem”*. Str. 32. (Wyd. autor, Wrocław 1990).
- NAWROCKI (Grzegorz). *Polak z Polakiem*. Str. 154. (Wyd. Słowo, Warszawa 1990).
- 18 dni Sierpnia. Solidarność*. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. OMNIA, Warszawa 1990).
- HOLZER (Jerzy). *Solidarność 1980-1981. Geneza i historia*. Str. 369 i 3 nlb. (Wyd. Agencja Omnipress, Warszawa 1990).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1973-1979*. Str. 352. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- DASZKIEWICZ (Krystyna). *Uprowadzenie i morderstwo ks. Jerzego Popiełuszki*. Str. 453 i 3 nlb. (Wyd. SAWW, Poznań 1990).
- MEYSZTOWICZ (Jan). *Czas przeszły dokonany. Wspomnienia ze służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1932-1939*. Str. 258 i 22 nlb. (Wyd. Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989).
- GRZESIK (Julian). *Alija, tom I. Historia narodu, jego rozproszenie i zgromadzenie. Biblia i fakty*. Str. 180. (Wyd. nie podane, Lublin 1989).
- GRZESIK (Julian). *Alija, tom II. Martyrologia Żydów europejskich*. Str. 162. (Wyd. nie podane, Lublin 1989).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Dwa dni z Aniołem*. Str. 129 i 3 nlb. (Wyd. SAWW, Poznań 1990).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Grisza, ja tiebie skażu...* Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. SAWW, Poznań 1990).
- ABRAMOW-NEWERLY (Jarosław). *Alianci*. Powieść. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. „Versus” i Wydawnictwo „Białowieża”, Białystok 1990).
- SMOSARSKI (Józef). *Oblicza świąt*. Str. 186. (Wyd. Więź, Warszawa 1990).

- WACYK (Antoni). *Mit polski — Zadruga*. Str. 136 i 24. (Wyd. kserograficzne drugie, nakładem Wilhelma Kwaternika-Unibora z Londynu, Wrocław 1990).
- MARKOWSKI (Stanisław). *Fotografie/Photography 1980-1989*. Album. Str. 115 i 10 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- MAGAŁA (Sławomir). *Fragment socjologiczny*. (Nadbitka ze *Studiów Socjologicznych* nr 2/1989, str. 175-187).
- KEDZIELA (Paweł). *Korespondencja Stefana Żeromskiego z Józefem Jedliczem*. (Nadbitka z *Ruchu Literackiego* nr 6/1988, str. 433-442).
- KANDZIORA (Jerzy). *Retoryka „Miesiący” Kazimierza Brandysa*. (Nadbitka z *Pamięnika Literackiego* nr 4/1989, str. 101-135).
- Entre la logique et la foi. Entretien avec Joseph-M. Bocheński recueillis par Jan Parys*. Z polskiego przeł. Eric Morin-Aguilar. Str. 351 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher (Szwajcaria) 1990).
- WITCZYŃSKA (Olga). *La reine oubliée. Anna Yaroslavna — reine de France. Récit historique*. Str. 164. (Wyd. Université ukrainienne libre, Paris-Munich 1990).
- Documents du Deuxième congrès national du syndicat polonais indépendant Solidarność*. Str. 58. (Wyd. Bureau de coordination à l'étranger de NSZZ Solidarność, Genval, Belgia 1990).
- L'Europe en guerre, septembre 1939 - juin 1940*. Str. 200. (Wyd. Association des Professeurs d'Histoire et de Géographie, Paryż 1990, cena F. 60).
- MAREK (Edmond). *Servitude et grandeur de l'enseignement du polonais à l'université de Toulouse (de l'origine à mai 1968)*. Str. 54 i 8 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1990).
- Opus sacrum. Catalogue of the Exhibition from the Collection of Barbara Piasecka-Johnson. Royal Castle in Warsaw*. Warsaw 1990. Str. 400. (Wyd. IRSA-Verlag, Vienna 1990).
- BIAŁOSTOCKI (Jan). *The Message of Images. Studies in the History of Art*. Str. 309 i 5 nlb. (Wyd. IRSA-Verlag, Vienna 1988).
- Artibus et historiae. An Art Anthology*. Wyd. IRSA-Verlag, Vienna 1989).
- Critical Theory Today. The Frankfurt-School: How relevant is it today? Die Frankfurter Schule: Wie aktuell ist die kritische Theorie?* Str. 240. (Wyd. Universitaire Pers Rotterdam, The Hague 1990).
- UGGLA (Andrzej Nils). *Polish Affairs in Sweden during World War II. (Ur Relations between Poland and Sweden)*. (Wyd. PAN, Oddział w Gdańsku, Ossolineum 1990).
- NOWICKI (Stefan) *The Defamation of the Poles*. Str. 68 i 2 nlb. (Wyd. nakładem autora, Australia 1989).
- SIERON (Martha). *Dictionary of Polish-English and English-Polish Culinary and Related Terms*. Str. 200. (Wyd. Artex Publ., Stevens Points WI, USA, 1990).
- SIENKIEWICZ (Henryk). *Charcoal Sketches and Other Tales*. Przeł. Adam Zamojski. Str. 212. (Wyd. Angel Books, Londyn 1990).
- HEIDUK (Franz). *Oberschlesches Literatur-Lexikon. Biographisch-bibliographisches Handbuch. Teil 1: A-H*. Str. 184 i 4 nlb. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1990).
- Der Wunsch, Europäer zu sein? Nation und Europa. Ein deutsch-polnisches Symposium zum 1. September 1989 in Krakau*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1990).
- MICKIEWICZ (Adam). *Konrad Wallenrod*. Przeł. Arthur Ernst Rutra. Str. 76. (Wyd. Lohengrin Verlag, Rendsburg RFA, 1990).
- Unabhängige Periodika aus Polen 1976-IV 1989. Bestandskatalog*. Str. 277 i 3 nlb. (Wyd. Foschung-

stelle Osteuropa an der Universität Bremen, Bremen 1990).
GRZESIK (Julian). *Alija. Band I. Geschichte des Volkes, seine Verstreuerung und erneute Sammlung. Die Bibel und die Fakten.* Str. 166. Z polskiego przełożyła Ewa Grzesiuk. (Wyd. nie podane, Lublin 1989).
GRZESIK (Julian). *Alija. Band II. Martyrium der europäischen Juden.*

Str. 142. Z polskiego przełożyła Ewa Grzesiuk. (Wyd. nie podane, Lublin 1989).
GRZESIK (Julian). *Alija. Band III. Der israelische Messias. Die Bibel und die Tatsachen.* Str. 182. Z polskiego przełożyli Ewa Grzesiuk, Herbert Ulrich, Jolanta Dominiczak. (Wyd. nie podane, Lublin 1989).

Czy Wolna Europa jest potrzebna?

Artykuł Leszka Szarugi na temat Radia Wolna Europa mocno mnie zdziwił. Zarówno w treści jak i w formie. Nawet jeśli Autor zdecydował przemilczeć bezsporne zasługi tej rozgłośni w zwalczaniu komunizmu w Polsce (a zdecydował) i zajął się stanem na dziś — to ton tej wypowiedzi wzbudził mój najwyższy niepokój. Nie godzi się długoletniej działalności RWE kwitować słowem „kramik”, który Amerykanie powinni szybko zamknąć, redaktorów „posłać na zieloną trawę”, a budynek przeznaczyć na „Muzeum Zimnej Wojny”. Taki niepotrzebnie zjadliwy styl przypomina tylko język epoki, którą Szaruga pochował. Twierdzi bowiem stanowczo, że w wolnej Polsce Wolna Europa straciła rację bytu. Jest „anachronizmem”. Nie byłbym tego taki pewien. Aż tak dobrze z tą naszą demokracją chyba nie jest.

RWE przez blisko czterdzieści lat swej działalności zdobyła sobie niezwykle kapitał zaufania, czego nie da się niestety powiedzieć o naszych publikatorach, które „odkłamują się” dopiero od roku. Tak szybko wiarygodności się nie zdobywa. Przez te trudne lata dorobiła się sztabu wybitnych redaktorów i znakomitych współpracowników. Takich znawców przedmiotu jak Leopold Unger, Tadeusz Żenczykowski, Leopold Łabędź, Tadeusz Nowakowski czy Bohdan Osadczyk trudno znaleźć w naszych odrodzonych mediach, podobnie jak świetnie wprowadzonych korespondentów zagranicznych typu Macieja Morawskiego czy Wojciecha Wasiutyńskiego. Ludzie ci od lat są ci sami, nie zmieniają swoich poglądów i nie muszą niczego nadrabiać, to też ważne.

Poza tym Wolna Europa to nie tylko polityka i serwis informacyjny. To również świetne audycje literackie, oświatowe, muzyczne. Na przykład dział kulturalny prowadzony znakomicie przez wybitnego naszego pisarza Włodzimierza Odojewskiego poświęca w swych programach dużo więcej miejsca obecnym zagrożeniom kultury narodowej związanym z nagłym urynkowaniem niż krajowe środki przekazu. Jest to głos istotny, z którym władze się liczą. Nie rozumiem, w imię czego wyzywać się tak cennego sojusznika? RWE

Polnische Buchhandlung

KSIEGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

stojąc niejako na uboczu, z zewnątrz naszych narastających politycznych sporów widzi pewne rzeczy wyraźniej. Zachowując jednocześnie obiektywizm i bezstronność w wielu wypadkach jest czynnikiem moderującym, łagodzącym napięcia. Szaruga wyśmiewa sprawozdania sejmowe z Warszawy *via* Monachium. Sam jednocześnie rozprawia się z Wolną Europą *via* Paryż. Dlaczego? Dlaczego tak robi, mając w kraju wolną, demokratyczną prasę? Dlatego, że autorytet paryskiej *Kultury* jest nieporównywalnie wyższy od odradzających się dopiero naszych periodyków. Liczy się firma, a nie miejsce. A skoro już chodzi o rzekomy absurd tych sprawozdań, to warszawski korespondent Aleksander Jerzy Wieczorkowski to robi inteligentniej, krócej i błyskotliwiej od swoich kolegów z TV, i ja osobiście wolę jego słuchać.

Swoją propozycję likwidacji RWE Szaruga argumentuje głównie demokratycznymi zmianami w kraju. Tymczasem RWE to nie tylko kraj. To okno na świat dla Polaków w kraju, ale jednocześnie tradycyjne centrum łączące Polaków rozsianych na całym świecie. To zasłużony i sprawdzony ośrodek emigracyjny, ze swoją działalnością społeczną, polonijną. Głos RWE słuchany jest w Kanadzie, a nawet w Australii. Dlaczego nie radio Warszawa? Bo znów liczy się tradycja firmy. I ludzkie nawyki. RWE jest wciąż szybsza, lepiej zorientowana, bardziej profesjonalna. W imię czego, pytam, ten zasłużony sztab ludzi posyłać „na zieloną trawkę”, a żmudnie wznoszoną budowlę na ochotnika rozwałać? Szaruga mówi, że w imię podatnika amerykańskiego. Żal mu jego pieniędzy wyrzucanych w błoto. To bardzo szlachetne, że w dobie ciężkiego kryzysu w Polsce i o braciach Amerykanach pomyślał. Co im jednak w zamian proponuje? Jeszcze kosztowniejszą imprezę. Jakąś ponadnarodową rozgłośnię typu fasadowego, która by w duchu Helsinek zjednoczyła podzieloną Europę! Ta piramidalna bzdura dopiero pochłonęłaby morze pieniędzy!

Nie, nie. Wypowiedź jest tak kuriozalna, że w pierwszej chwili potraktowałem ją jako pastisz. Może to zresztą celowa prowokacja, żart dla wywołania dyskusji? Ponieważ jednak tej ironicznej struktury mogą nie złapać Amerykanie i rzecz potraktować serio, chwyciłem za pióro. Przykro by bowiem było, gdyby to co przez blisko czterdzieści lat ideologicznej wojny w eterze nie udało się komunistom — udało się nagle Szarudze! To by dopiero był żart historii. O taki zamysł mimo wszystko nie podejrzewam wybitnego poety i krytyka Leszka Szarugi, który przecież sam związany był z kręgami opozycji demokratycznej i współpracował z Radiem Wolna Europa. Nie burzy się przecież zasłużonej firmy działającej od 1952, z odpowiedzialnością udziałów, o takim kapitale moralnym własnymi rękami tylko dlatego, że inne wielkie zakłady w Polsce upadają. Ten na szczęście nie upada. I nie należy go na siłę likwidować w ramach urynkowania.

Jarosław ABRAMOW-NEWERLY

19 września 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem uwagi pana Leszka Szarugi na temat rozgłośni polskojęzycznych nadających z Zachodu. W związku z tą lekturą i ja mam kilka uwag.

Po pierwsze, pan Szaruga, który przecież Zachód nieco poznał, nie powinien do jednego worka „rządowego” pakować Głosu Ameryki, Radia France Internationale, Wolnej Europy i Serwisu Światowego BBC. Dwie pierwsze rozgłośnie są rzeczywiście rządowe, choć po ich programach łatwo poznać różny zakres ingerencji programowej władz francuskich i amerykańskich. Wolna Europa rozgłośnią rządową nie jest. Jest finansowana przez Kongres Stanów Zjednoczonych, który z rządem może utożsamiać tylko ktoś, kto nie słyszał o zasadzie trójpodziału władzy, leżącej u podstaw konstytucji amerykańskiej. Zaś BBC World Service, który znam najlepiej, w ogóle nie jest organizacją państwową w żadnym sensie lecz korporacją, prowadzącą samodzielną politykę redakcyjną (Foreign Office daje jedynie pieniądze i wyznacza ilość godzin na antenie różnym językom).

Po drugie, pan Szaruga ma i nie ma zarazem racji pisząc, że audycje (RWE) przestają mieć sens. Ma rację, że nie chce słuchać z Zachodu o tym, co dzieje się w Sejmie, skoro w Warszawie może to samo obejrzeć w telewizji albo z galerii dla obserwatorów. Ale nie ma racji, jeśli uważa, że w Polsce już absolutnie wszystko o wszystkim można powiedzieć bez żadnych obaw i nie ma racji podwójnie, jeśli sądzi, że poziom polskich mass-medium dorównał już zachodniemu. Wystarczy tu przypomnieć awantury o kontrolę nad radiem i telewizją, o polaryzację polityczną polskiej prasy, piszącej różnymi językami o tych samych faktach i nie po dżentelmeńsku spierającej się o te fakty. Wystarczy przypomnieć sobie niezbyt kryształowe rodowody wielu dziennikarzy na najbardziej eksponowanych stanowiskach, ogólną niewiedzę Polaków o świecie, brak pieniędzy na zorganizowanie sieci reporterów, stałych i lotnych, na całym świecie. Są to wszystko fakty, które przemawiają za utrzymaniem polskich serwisów przez rozgłośnie zachodnie, niezależnie od wewnętrznych układów politycznych w Polsce, nie obciążonych dziedzicznym brakiem zaufania słuchaczy, bogatych i powiązanych z najlepszymi sieciami zbierania informacji na świecie. Jeśli te rozgłośnie brzmią nieco anachronicznie, to dlatego, że być może też szukają jeszcze formuły programowej na nowe czasy (polskie media bynajmniej jej jeszcze nie znalazły!). Może należy przy tym zachować odmienne pole widzenia na sprawy polskie? Może powinny więcej mówić o świecie poza Polską? Może warto w tym miejscu przypomnieć oślawionego słonia i powiedzieć sobie szczerze: onże słon ma swoje własne, bogate życie poza strapieniem sprawą polską.

A do tego wszystkiego jest jeszcze argument wolnorynkowy: któż to słyszał wyrzekać się różnorodności towaru (i to z importu), tym bardziej, gdy się go dostało za darmo?

Na marginesie tych uwag dodam, że poznałem tu, w Londynie sporo polskich dziennikarzy radiowych i telewizyjnych, przyjeżdżających w ramach brytyjskiego Funduszu *Know-How*, żeby sobie obejrzeć pracę zachodnich mass-mediów. Otóż zauważyłem, że część nie jest w stanie wyżyć się starych przyzwyczajęń (mówiąc stare myślę o nie tak dawnych jeszcze czasach, sprzed kilku zaledwie lat), niektórzy zaś traktują tutejsze środki przekazu z niebywałą wprost nonszalancją. Pewne „młode, utalentowane pióro” z *Gazety Wyborczej* użalało się po Londynie, że w redakcji tygodnika *Economist* nie miało z kim trzech słów zamienić z sensem. Po lekturach owego „pióra”, wyrokującego z pewnością siebie Sołżenicyna w macierzystej *Gazecie Wyborczej* o wszystkim i wszystkich skłonny jestem mu przyznać rację: rzeczywiście trudno mu było sensownie rozmawiać z dziennikarzami *Economista*. „Pióro” jest skrajnym przykładem, ale nie odosobnionym. Czy dziennikarzy Wolnej Europy lub BBC należy odesłać na zieloną trawkę, aby oddać „rząd dusz” pióropuszowi nowego dziennikarstwa polskiego, zanim się jeszcze opierzy?

Oj, nie czas jeszcze umieszczać polskich rozgłośni na Zachodzie w „muzeum zimnej wojny”, jak się wyraził pan Leszek Szaruga. Warto też jeszcze jakiś czas posłuchać, z kim to „młode pióra” nie mają o czym rozmawiać. A za pięć lat — zobaczymy. Zaś pomysł pana Szarugi z rozgłością europejską bardzo dobry, tylko czy koniecznie trzeba wszystko zaczynać od nowa?

Z poważaniem,

Grzegorz GÓRNICKI

Warszawa, 21 października 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym napisać kilka słów w sprawie artykułu Leszka Szarugi na temat Wolnej Europy. Ten atak wydał mi się absolutnie przedczesny. W sytuacji tak złożonej w kraju (pomijam złożoną sytuację międzynarodową), w przededniu wyborów prezydenckich, kiedy to trzeba będzie wybierać właściwie między dwoma kandydatami Kościół i kiedy może to w rezultacie oznaczać dalszą klerykalizację życia w Polsce — z tymi wszystkimi żenującymi sprawami, jak choćby projekt ustawy przeciwko przerywaniu ciąży, mnożącymi się uroczystościami, niekończącymi się kazaniem i święceniami armat

— czy nie lepiej poczekać, nie śpieszyć się? Przecież każdy niezależny głos wpływający na opinię społeczną, pomagający zachować krytyczność sądów, jest tak cenny. Uważam, że taką rolę spełnia nadal RWE. W Polsce wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do słuchania tego radia, to jest nawyk ukształtowany przez lata rządów komunistycznych. I teraz, w tej niepewnej sytuacji, kiedy często nie bardzo wiadomo o co chodzi kłócącym się liderom politycznym, ludzie słuchają Wolnej Europy. Trudno też przecenić kulturotwórczą rolę rozgłośni.

Jednym słowem wydało mi się, że Szaruga nie rozumie tych tak istotnych społecznych i politycznych uwarunkowań, które przemawiają za pozostawieniem Wolnej Europy w spokoju.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia, wyrazy szacunku i ukłony

Kazimierz ORŁOŚ

Monachium, 26 września 1990

Drogi Panie Redaktorze!

Ja w sprawie „Co zrobić z Wolną Europą?” Głowię się nad tym obecnie monachijscy Zieloni (*Die Grünen*), wysuwając szereg wniosków ekologicznie pożytecznego (*umweltfreundlich*) wykorzystania obszernych pomieszczeń Rozgłośni. Uprzednio wiele farby drukarskiej zużyły w tej materii *Trybuna Ludu*, *Żołnierz Wolności*, nawet *Nowe Drogi*, podejmując odczono sugestię pewnego amerykańskiego senatora (był taki, nazywał się Fullbright) złożenia zwłok RWE „na cmentarzu polityki zimnej wojny”. To było blisko 20 lat temu, teraz pomysł ten podjął w „Wolnej trybunie” wrześniowej *Kultury* (str. 150-152) Leszek Szaruga, modyfikując radykalne zalecenie Fullbrighta opcją przekształcenia Rozgłośni w „dochodowe Muzeum Zimnej Wojny”.

Właściwie nic to dla mnie nowego, mogłem to zlekceważyć, zastanowił mnie jednak napastliwy i pogardliwy ton wypowiedzi p. Szarugi — to głównie, ponadto zaś fakt, że wyczytałem to w *Kulturze*, w której miałem zaszczyt nieraz się wypowiadać. Zagrał też sentyment do instytucji, w której mnie już nie ma, ale w której przepracowałem z dużym zadowoleniem i prawdopodobnie pożytkiem 27 lat. Według tego co można się dowiedzieć od p. Szarugi, RWE to „kramik”, który należy rozwiązać, a redaktorów tej „anachronicznej imprezy” posłać „na zieloną trawkę”.

Tyle odnośnie *modus*. Parę słów *ad rem*. Szaruga proponuje

utworzenie „ponadnarodowej europejskiej rozgłośni, której 'udziałowcami' mogłyby być wszystkie państwa związane porozumieniem z Helsinek". Rozgłośnia taka zajmowałaby się „problemami integracji, dialogu, wyjaśniania różnych postaw” itp. itd., krótko mówiąc taki „trzeci koszyk”. Takie coś „można sobie wyobrazić”, argumentuje. Jestem zdania, że jeśli pytanie co zrobić z Wolną Europą „nie jest z sufitu”, jak nas p. Szaruga zapewnia, propozycja „ponadnarodowej europejskiej rozgłośni” jest trochę z księżycą.

Szaruga zagalopował się też implikując, jakoby Rozgłośni nie interesował odgłos na jej audycje. „Czas by może przeprowadzić odpowiednie badania” postuluje. Sprawdziłem: odnośny dział nadal istnieje i prowadzi badania, nawet bezpośrednio na terenie kraju.

Być może, dla p. Szarugi „nie ulega wątpliwości”, że słuchaczy jest teraz mniej, ale tak niepostrzeżenie działalność i rola RWE nie przechodzi. Świadczyć o tym może takie wyznanie naczelnego redaktora *Rzeczypospolitej* (26-27 V 1990) z okazji otwarcia w Warszawie biura Rozgłośni:

„Przyznam szczerze, że nigdy nie marzyłem, iż dożyję takiej chwili. Wolna Europa była obecna w naszym trudnym życiu od kolebki. Wychowaliśmy się na tej rozgłośni, ale nie śniliśmy, że dożyjemy chwili, że będą razem z nami. Sto lat.

Dariusz Fikus”

Nie jest wykluczone, że do owego „wychowania od kolebki” przyczynił się również p. Szaruga, był bowiem przez wiele lat regularnym współpracownikiem RWE i korzystał z pieniędzy łożonych na Wolną Europę przez „amerykańskiego podatnika”, o którego interesy tak się teraz zatroszczył.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku

Kazimierz ZAMORSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

21.9.90

W Krakowie odbyły się Krakowskie Targi Wydawnicze, w których wzięło udział 77 oficyn wydawniczych, które zaoferowały ponad 2 tys. tytułów. Na targach została zorganizowana wystawa dorobku *Kultury* i Instytutu Literackiego w Paryżu.

7.10.90

Zmarł w Krakowie w wieku 92 lat Tadeusz Kudliński, pisarz i teatrolog.

22.10.90

Sąd Wojewódzki w Łodzi rozpatrywał sprawę Adama Ochockiego, autora książki pt. „Elita zdradza tajemnice”, w której Alina Grabowska, redaktor audycji Radia Wolna Europa, została m.in. nazwana „obcą agentką”. Adam Ochocki został za to zniesławienie skazany za wpłacenie miliona złotych na Polski Czerwony Krzyż, przeproszenie p. Grabowskiej na łamach prasy, usunięcie wszystkich obraźliwych i nieprawdziwych sformułowań w następnych wydaniach książki. Nadto Sąd Wojewódzki zasądził od niego 450 tys. zł kosztów procesu. W trakcie rozprawy Adam Ochocki wyraził skruchę.

30.10.90

Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat Adam Uziębło, generał brygady w stanie spoczynku, wybitny matematyk, więzień stalinowski, w latach 70-tych prezes Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej, współorganizator Konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość”. Tak jak i Jego Ojciec był zaprzyjaźniony z redakcją *Kultury*.

14.11.90

Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Adolf Rudnicki, literat. W jednym z najbliższych numerów omówimy jego twórczość. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat Franciszek Szlachcic, b. minister Spraw Wewnętrznych i b. działacz PZPR.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4.9.90

Po ciężkiej chorobie zmarł w Chicago w wieku 72 lat Marek Gordon, poeta (tomy wierszy: „Zabawki z majoliki”, „Muza miast” oraz zbiór esejów pt. „Katedra”).

25.9.90

Zmarł w Nowym Jorku Włodzimierz William Falencki, finansista i filantrop, związany z polskim życiem kulturalnym.

29.9.90

Najwyższy sąd szwajcarski, Trybunał Federalny w Lozannie, stwierdził, że obecność krzyża w szkołach jest sprzeczna z neutralnością religijną przewi-

dzianą w konstytucji szwajcarskiej. Decyzja ta zamyka długą „walkę o krzyże”, trwającą w Szwajcarii już sześć lat.

1.10.90

Gazeta pomorska podaje, że według oceny polskiego MSZ w Niemczech mieszka około 1,5 mln. osób pochodzenia polskiego: w RFN 1,4 mln, w Berlinie Zachodnim 60 tys., a na terenie b. NRD — 25 tys. W RFN działa ponad 100 organizacji polonijnych i emigracyjnych na ogół o małej ilości członków i nie odgrywających żadnej poważniejszej roli.

23.10.90

W Domu Kombatantów Władysław Żeleński wygłosił odczyt pt. „Walki I dywizji grenadierów we Francji w czerwcu 1940 r.”.

26.10.90

Nieoceniony „prezydent RP na Uchodźstwie”, Juliusz Nowina-Sokolnicki, odznaczył Matkę Boską Częstochowską wielką wstęgą Orderu św. Stanisława. Jednocześnie generał zakonu OO Paulinów i przeor klasztoru na Jasnej Górze, oraz inni Paulini otrzymali krzyże komandorskie Orderu *Polonia Restituta*. Poprzednio odznaczenia „Pana Prezydenta” otrzymali: Lech Wałęsa i ks. Jankowski z Gdańska.

30.10.90

Bernard Guetta, wieloletni korespondent *Le Monde* w Moskwie, Waszyngtonie i Warszawie, opuścił redakcję *Le Monde* i został dyrektorem dwutygodnika *L'Expansion*. Grupa *L'Expansion* bardzo intensywnie interesuje się Europą środkowo-wschodnią i jest m.in. współdziaławcem polskiego tygodnika *Gazeta Bankowa*.

9.11.90

Z działalności Instytutu Polskiego w Paryżu: recital piosenek Antoniny Krzysztoń przy akompaniowaniu Marka Walawendera; pokaz nowego filmu Agnieszki Holland „Europa, Europa”; ks. prof. J.M. Bocheński, OP wygłosił odczyt w języku francuskim pt. „Réflexions sur la crise spirituelle”; 13 listopada — wieczór autorski Zbigniewa Herberta; 24 listopada br. miał miejsce wieczór dla uczczenia 10-lecia powstania stowarzyszenia Solidarité France-Pologne, 12 listopada br. Jacques de Chalendar wygłosił odczyt w języku francuskim na temat „La coopération franco-polonaise vue par un Français”. Jacques de Chalendar jest Inspektorem Generalnym Skarbu Państwa i prezesem fundacji France-Pologne.

10.11.90

W paryskim Domu Kombatantów odbyło się walne zebranie Wspólnoty Polsko-Francuskiej, poświęcone w pierwszym rzędzie zacieśnieniu współpracy z Krajem. M.in. przyszłoroczny uniwersytet letni Wspólnoty ma się odbyć w Polsce, zapewne w Pułtusk. ■ Prezydent R.P. na Wygnaniu mianował gen. dywizji Stanisława Władysława Maczka generałem broni, a generała Klemensa Rudnickiego generałem dywizji. Jednocześnie Rząd R.P. na Wygnaniu uchwalił przeniesienie w stan spoczynku oficerów i podoficerów służby stałej, a do pospolitego ruszenia oficerów i podoficerów rezerwy oraz szeregowców. *No comment* — jak mówią Anglicy.

11.11.90

Zmarł w Rio de Janeiro w wieku 84 lat Maciej Feldhuzen, dziennikarz. Studia uniwersyteckie odbył w Wiedniu, Londynie i Holandii, podczas II wojny światowej był żołnierzem polskim w Szkocji, następnie korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej *Dziennika Polskiego* w Londynie przy I Armii Kanadyjskiej i I Dywizji Pancerniej gen. Maczka, a po wojnie redaktorem tygodnika *Polonia* w Brukseli. Od 1948 r. mieszkał w Brazylii, gdzie był korespondentem londyńskiego *Dziennika Polskiego* i *Kultury*.

14.11.90

3 maja 1991 r. ukaże się w Stanach Zjednoczonych trylogia Henryka Sienkiewicza, w przekładzie na angielski W.S. Kuniczaka, wydana przez Jacka Gałązkę z Hippocrene Books.

15.11.90

Zmarła w Londynie Barbara Mękarska-Kozłowska, pisarka, harcerka „Szarych Szeregów”, redaktorka pism młodzieżowych.

16.11.90

Zmarł w Londynie w wieku 86 lat Karol Zbyszewski, znany pisarz polityczny, sprawozdawca sportowy, dziennikarz, wieloletni redaktor naczelny *Dziennika Polskiego* w Londynie.

19.11.90

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się recital fortepianowy Aleksandra Woronickiego, zorganizowany staraniem Wspólnoty Polsko-Francuskiej przy pomocy Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Dochód z tego recitalu został przeznaczony na Polski Dar Narodowy.

20.11.90

W domu Kombatantów w Paryżu Eliazar Szerewski-Sereski wygłosił odczyt o II dywizji strzelców pieszych we Francji w 1939-1940 roku.

22.11.90

W dniach 22-23.11. odbyła się w Lille sesja nt. *Literatura i kultura wygnañców — utracona ziemia*, na której m.in. omawiano polską literaturę emigracyjną od XIX w.

KRONIKA KANADYJSKA

W dniach 5-8.10. odbył się w St. Catharines XXXI Walny Zjazd Delegatów na Kongres Polonii Kanadyjskiej, na którym wybrano nową władzę na następną dwuletnią kadencję. Wyłoniony został odnowiony zarząd, na czele którego stanął 42-letni adwokat Marek Malicki, urodzony w Anglii, wychowany i wykształcony w Kanadzie. ■ Z oświadczenia prez. Malickiego i wypowiedzi innych działaczy wynika, iż należy oczekiwać zasadniczych zmian w formie i treści działania KPK, dostosowania się do zmienionej rzeczywistości w Polsce. ■ Fundacja im. Władysława i Nelly Turzańskich przyznała

nagrody na rok bieżący: Maciejowi Jaśkiewiczowi za działalność na polu muzycznym (założyciel Tow. Muzycznego, dyrygent), Adamowi Tomaszewskiemu za całokształt twórczości literackiej, Markowi Skwarnickiemu za twórczość poetycką oraz publicystykę kanadyjsko-polonijną. ■ Ponadto przyznano następną roczną dotację na profesurę historii polskiej na Univ. of Toronto oraz dotację dla KUL.

B.H.

KRONIKA SZWEDZKA

Historyczne zmiany w Europie środkowo-wschodniej spowodowały dramatyczny bieg wypadków w Sowietach i chwilowo odsunęły Polskę na boczny tor. Znakomity analityk Wschodu z poważnego pisma *Svenska Dagbladet*, Rikard Swartz, uważa, że „zachodzące zmiany nie wystarczą dla stabilizacji demokracji w tym rejonie. Konieczna jest całkowita zmiana mentalności jej ludności. Spowodowana ona jest mentalnym manicheizmem. Wytworzyły się drastyczne podziały na 'my' i 'oni'. Demokracja wymaga kompromisu i silnych, trwałych koalicji. Polska jest przykładem tej mentalności, z Lechem Wałęsą, który tęskni za kierownictwem silnej ręki i wykazuje brak cierpliwości, a dla społeczeństwa stara nomenklatura jest wymarzoną kozłem ofiarnym. Ludzie zapominają, że demokracja na Zachodzie wyrosła powoli. Proces ten zaczął się od rewolucji francuskiej. Na Wschodzie zaś narody żądają demokracji natychmiast”. ■ Analizując rozwój sytuacji w Polsce, tutejsze *mass-media* zmieniły całkowicie swój pogląd na Wałęsę. *Svenska Dagbladet* w artykule pt. „Polska tragedia” pisze: „Wałęsa sam przyspieszył proces rozkładu 'Solidarności', a Polsce nie jest potrzebny kryzys polityczny, bo wydarzenia światowe zwiastują Europie Wschodniej raczej trudne czasy”. Wg liberalnego a bardzo poczytnego *Expressen* Polska znalazła się „na krytycznym zakręcie szych reform. Wszystko zawisło na jednej szali. Przyspieszanie reform w takiej sytuacji zawiera poważne niebezpieczeństwa. Wałęsa natomiast kieruje się wyłącznie osobistymi ambicjami”. ■ Z przybyciem do Sztokholmu Tomasza Jastruna, nowego kierownika Instytutu Polskiego, instytucja ta rozwija bujną działalność. Brak mi miejsca na wliczenie wszystkich spotkań, imprez, wystaw, koncertów i seansów filmowych, jakie odbyły się ciągu zaledwie paru miesięcy. Wymieńmy tylko najważniejsze: udany wieczór autorski znanego szwedzkiego poety Tomasa Transströmera, którego wiersze, tłumaczone na polski przez Leonarda Neugera, recytował Tomasz Jastrun, spotkanie z prof. Jerzym Dietlem oraz Czesławem Bieleckim i

ministrem Edukacji Henrykiem Samsonowiczem. Prawdziwym wydarzeniem w dziedzinie polskiej kultury w Szwecji było sympozjum 6 października w Instytucie Polskim poświęcone Gombrowiczowi z udziałem uczonych, krytyków literackich oraz tłumaczy ze Szwecji i Polski. Z Francji przybyła wdowa po pisarzu, Rita Gombrowicz. Kilka tygodni przed sympozjum wielkie skandynawskie wydawnictwo Bonniers wydało pierwszy tom „Dziennika” w wyborowym tłumaczeniu Andersa Badegarda. W związku ze wspomnianym sympozjum Królewski Teatr Dramatyczny zorganizował 7 października wieczór gombrowiczowski, na którym aktorzy odegrali sceny z „Iwony” i „Ślubu” i odczytali fragmenty z „Dziennika”. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Ponadto została zorganizowana wystawa ilustrująca życie Gombrowicza oraz wystawy polskich i szwedzkich malarzy, których prace związane są z Polską (Acke Oldenburg, scenograf Gombrowicza w Sztokholmie), koncerty i wystawy książek polskich. ■ Należy tutaj przypomnieć o wielkim wysiłku Katarzyny Gruber, która stworzyła w Bibliotece Nobla największy ze wszystkich szwedzkich bibliotek zbiór polskiej literatury pięknej. Chodzi tu nie tylko o oryginalne polskie wydawnictwa, ale także o literaturę szwedzką i obcojęzyczną zajmującą się polską literaturą i polskimi pisarzami. Dzięki pomocy Biblioteki Nobla udało się wysłać co miesiąc setki tomów polskiej literatury do bibliotek w Polsce w okresie największych represji. Katarzyna Gruber odznaczona przed przejściem w tym roku na emeryturę przez Rząd Polski na Emigracji Złotym Krzyżem Zasługi, w dalszym ciągu część swego czasu poświęca polskiej sekcji Biblioteki Nobla. Akademia Szwedzka również odznaczyła Katarzynę Gruber Złotym Medalem Zasługi. ■ Staraniem Tow. Przyjaciół *Kultury* i Stowarzyszenia Polek w Szwecji odbyło się m.in. 8 sierpnia udane spotkanie z Henrykiem Wujcem z bardzo liczным udziałem miejscowej Polonii. Następnie były spotkania ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem i innymi politykami z Polski. Założone stosunkowo niedawno Stowarzyszenie Katolików zaprosiło marszałka Senatu Andrzeja Stelmachowskiego. Interesujący wieczór literacko-muzyczny miał miejsce 25.10 w OPON-ie, Ośrodku Polskich Organizacji Niepodległościowych. Organizatorzy: Tow. tow. Przyjaciół *Kultury*, Polek w Szwecji i Przyjaciół Biblioteki OPON-u. Niestety, politycy polscy na ogół unikali spraw zasadniczych, kontrowersyjnych, topiąc sedno rzeczy w krasomówstwie. Zbliżające się wybory w Polsce rzucają już swój cień. Politycy nie chcą wypowiadać się jasno. Dziwne że brak wśród Polaków mówców, którzy potrafiliby skupić uwagę publiczności oratorstwem. Jedynym wyjątkiem był Jacek Kuroń. Prelegenci, jak się wydaje, nie zdawali sobie sprawy, że część emigracji, zainteresowana politycznie, ma dostęp do prasy i *mass-mediów* międzynarodowych, wśród których znajdują się międzynarodowi eksperci, że odbywają się częste już wyjazdy do Polski i z Polski, że emigracja ma doskonały pogląd na sytuację całej Polski, a nie tylko poszczególnych regionów. Do tego dodać należy

naszą możliwość lepszej niż w Polsce oceny sytuacji międzynarodowej, a Rosji i Niemiec w szczególności. Zauważyłem ku mojemu zdziwieniu, jak słabo wielu prelegentów zna się na polityce międzynarodowej, jak zajęci byli wewnętrznymi, zbliżającymi się wyborami, głusi na zmiany w Rosji, bardziej dramatyczne od polskich. A przecież los tego imperium, zajścia na Bliskim Wschodzie, w Azji i na Pacyfiku to w ostatecznym rozrachunku historii jest alfą i omegą także i Polski. ■ Powstały niedawno Polski Związek Katolików zaprosił marszałka Andrzeja Stelmachowskiego i Leszka Moczulskiego na spotkania. Na zapytanie obecnych, dlaczego dwaj wybitni działacze starej nomenklatury otrzymali monopol dystrybucji ropy, marszałek Senatu odpowiedział, że nie ma czym się przejmować — jeśli oni wzbogacą się, to wzbogaci się również Polska. Na inne pytanie, czy zamierza on kandydować na stanowisko prezydenta, Stelmachowski odpowiedział dowcipnie, że siedzi w poczekalni, zawsze do czegoś przydać się może. Moczulski także nie okazał się trybunem, jakiego spodziewano się po kontrowersyjnym przywódce grupy opozycyjnej. Wcale nie reprezentował ekstremy, raczej był to jowialny starszy pan, uważający, że Lech Wałęsa, przynajmniej na początek, okaże się prezydentem umiarkowanym, gotowym słuchać swoich doradców. Wasz korespondent nie po raz pierwszy stawiał prelegentom obozu rządzącego zarzut, że w Polsce ciągle unika się szczerzej dyskusji o Sowietach. Czy nie ma instytutów badania Sowietów, jak tu na Zachodzie? J.J. Lipski przyznał mi rację, a na zarzut, że stracono dwa lata czasu na stanowcze postawienie w Moskwie sprawy wycofania wojsk sowieckich, Stelmachowski odpowiedział, że rozpoczęte obecnie rozmowy toczą się opieszale; Rosjanie czynią trudności, pomimo że rozumieją nasz punkt widzenia. ■ W czasie wizyty Henryka Samsonowicza, ministra Edukacji RP, odbyły się rozmowy z rządem szwedzkim w sprawie zacieśnienia współpracy na polu wychowania młodzieży. Poświęcono uwagę sprawie nauczycieli języka polskiego dla dzieci polskich uczęszczających do szwedzkich szkół. ■ Opinia koncentruje się słusznie na konflikcie Bliskiego Wschodu, od którego zależy nie tylko dobrobyt Europy, ale i pokój światowy. Szwecja, chociaż bierze w ONZ udział w potępieniu Iraku, jednak zgodnie ze swoją neutralnością czynnego wojskowego udziału nie bierze. Spotkało się to z krytyką sporej części *mass-mediów*, a zwłaszcza premiera Danii w czasie jego niedawnej wizyty w Oslo. Mała Dania bierze symboliczny udział w akcji na Bliskim Wschodzie, kierując tam jeden pomocniczy okręt wojenny. ■ Penetracja obcych łodzi podwodnych do archipelagu sztokholmskiego i zakazanych stref wojskowych trwa. Dalsza powściągliwa reakcja rządu wywołuje protest dowództwa wojskowego. Ostrożność wobec krajów bałtyckich oburza społeczeństwo i powoduje poniedziałkowe demonstracje (z udziałem także Polonii). Vytautas Landsbergis, prezydent Litwy, w czasie niedawnej wizyty w Oslo ostro skrytykował rząd szwedzki za to, że dotychczas nie odwołał swego uznania z 1940 roku inkorporacji

trzech państw bałtyckich przez Związek Sowiecki. Czytamy w jednym z czołowych tutejszych dzienników: „Bałtowie uczynili już wielki krok naprzód w kierunku uzyskania niepodległości, Kreml szczęśliwie nie zachowuje się jak Saddam Hussein, ale Stockholm wciąż powstrzymuje się przed granicami w tej sprawie w otwarte karty”. ■ W pierwszych dniach września odbyła się w miejscowości Ronneby, w południowej Szwecji, zainicjowana wspólnie przez premierów Szwecji i Polski konferencja bałtycka poświęcona obronie środowiska w tym rejonie. ■ W Stockholmie przebywali pod koniec października: minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk oraz prezes Głównego Urzędu Cel Tomasz Bartosiewicz, który w rozmowach ze swym szwedzkim odpowiednikiem ustalał celne podstawy zniesienia wiz w ruchu dwustronnym między Polską i Szwecją. Celnicy obu państw mają razem przeprowadzać kontrole na promie. Obywatele polscy handlujący nielegalnie w Szwecji będą karani grzywną, a nawet zatrzymaniem paszportu przez stronę polską. Nie będzie się też wydawać paszportów osobom łamiącym prawo kraju pobytu. Prezes Bartosiewicz powiedział, że wszystko jest już gotowe do podjęcia politycznej decyzji w sprawie terminu zniesienia wiz. ■ Polityka wobec uchodźców, przepisy i praktyka różnią się w poszczególnych krajach skandynawskich. Wg *Nowin*, organu państwowej fundacji czasopism dla emigrantów *Invandrantidning*, Finlandia i Szwecja stanowią dwa przeciwległe bieguny: w r. 1989 o azyl w Finlandii ubiegało się 175 osób, a w Szwecji 30.000. Szwecja daje obecnie prawo pobytu jedynie uchodźcom w rozumieniu konwencji genewskiej z r. 1951 i osobom których sytuacja jest szczególnie niebezpieczna. W Finlandii obowiązuje jedynie Konwencja genewska, ale dawano tam prawo pobytu również w innych wypadkach. Obecnie dyskutuje się tu wprowadzenie pojęcia *uchodźcy de facto*? Pojęcie to powstało gdyż Konwencja genewska nie obejmuje wszystkich okoliczności, które sprawiają, że ludzie stają się uchodźcami. Nowa ustawa o cudzoziemcach ma wejść w życie dopiero w marcu 1991. Uzyskanie azylu czy prawa pobytu i pracy będzie, naszym zdaniem, w Szwecji jeszcze bardziej utrudnione a to ze względu na kryzys ekonomiczny, jaki Szwecja w tej chwili przeżywa. Staraniom Polaków nie pomagają przyjeżdżający tłumnie do południowej Szwecji polscy handlarze. ■ Telewizja szwedzka nie zaniedbuje przypomnienia widzom wstrząsającej przeszłości ostatniej wojny i okropności hitleryzmu w Polsce, a także teraźniejszej biedy. Wstrząsający film o „Trójkacie Śmierci” ze Śląska zrobił tu wielkie wrażenie, niewątpliwie przyczyni się to do wzmożenia akcji charytatywnej na rzecz Polski. Społeczeństwo szwedzkie zawsze było i jest czułe na niedolę ludzi. Obok Czerwonego Krzyża działa tu charytatywnie potężna organizacja „Rädda Barnet” (Ratujcie Dziecko), zaangażowana m.in. w tzw. Trzecim Świecie. Przypomnieć chciałbym chyba w Polsce nieznaną akcję pomocy, kierowaną przez podziemie i AK w czasie drugiej wojny, akcją, która szła do Polski za pośrednictwem działających jeszcze wtedy w Polsce przedstawicie-

li przedwojennego szwedzkiego przemysłu. Czynili to z narażeniem własnego życia. Począwszy od 16 października wyświetlane są także zamówione przez tutejszą TV filmy dokumentarne Składkowskiego, zamieszkałego w Szwecji od 1981 roku. ■ Stosunki Szwecji z trzema narodami bałtyckimi od zarania dziejów były bliskie. Dotyczy to zwłaszcza Estonii, gdzie część ludności wybrzeża, a szczególnie wysp, była szwedzka. W 1944 r., po drugiej inwazji sowieckiej i deportacjach, napłynęła stamtąd do Szwecji pierwsza wielka fala uchodźców wojennych. Małymi łodziami, topiąc się nieraz w morzu, w krótkim czasie przybyło do Szwecji około 30 tys. osób. Zostali przyjęci jak bracia, szybko się zaaklimatyzowali i zajmują obecnie wiele wybitnych stanowisk. Estończycy są bardzo aktywni w gospodarczym życiu Szwecji. Należy pamiętać, że Estonia i połowa dzisiejszej Łotwy od początku XVIII wieku połączone były ze Szwecją. Niestety rząd szwedzki, zagrożony w latach 1941-1945 z dwóch stron, przez Niemcy i Sowiety, prowadził wobec Sowietów politykę nazbyt ostrożną i uznał aneksję trzech państw bałtyckich do Związku Sowieckiego, co na długi okres czasu pogorszyło stosunki z Bałtami. Tym niemniej Szwedzi tolerowali istnienie w Szwecji estońskiego rządu emigracyjnego, zwanego oficjalnie Komitetem Estońskim. Tutaj przebywał również prezydent Estonii. Ostatnim prezydentem i współtwórcą niepodległości był Konstanty Päts, wywieziony do Sowietów, gdzie zmarł. ■ Stosunki Szwecji z Litwą były o wiele mniej serdeczne niż z Estonią. Dał temu niedawno wyraz prezydent Litwy, Landsbergis. Bałtowie pamiętają, że Szwecja i Niemcy były pierwszymi krajami, które uznały sowiecką aneksję trzech państw bałtyckich. Pierwsza okupacja miała miejsce już 1 stycznia 1940 r. 18 lipca tegoż roku bank Szwecji, w którym Litwa zdeponowała część swojego złota (1.274 kg, a Estonia 2.906), pośpieszył się aby to złoto wydać Sowietom. Formalna aneksja tych krajów miała miejsce dopiero trzy tygodnie później. Szwajcaria, Francja i Stany Zjednoczone, gdzie także przechowywano bałtyckie złoto, odmówiły wydania go Rosjanom. Incydent ten przypominał obecnie światu Anders Küng, poseł do Parlamentu szwedzkiego z ramienia Partii Liberalnej, z pochodzenia Estończyk, przewodniczący Kongresu Estończyków w Szwecji. Wystąpił z wnioskiem zwrócenia Litwie złota, a przynajmniej udzielenia jej pożyczki odpowiadającej wartości tego bezprawnie wydanego Sowietom majątku. Anders Küng nazwał ówczesne postępowanie Szwecji „niemoralnym i sprzecznym z prawem międzynarodowym”. Stosunki szwedzko-litewskie uległy ostatnio znacznej poprawie, a to dzięki dwukrotnej wizycie w Szwecji Kazimierzy Prunskiene, premiera rządu litewskiego. ■ Będąc w październiku br. w Szwecji, p. Prunskiene przyjęła w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przedstawicieli 20 polskich organizacji niepodległościowych w osobach Andrzeja Olkiewicza i Norberta Żaby, którzy wręczyli jej deklarację popierającą dążenia niepodległościowe Litwy. P. Prunskiene wzruszona naszą inicjatywą, gdy powiedziałem jej, że moja rodzina pochodzi z Inflant, czyli Wielkie-

go Księstwa Litewskiego odpowiedziała po polsku: „A mój dziad był Polakiem, nazywał się Stankiewicz i mieszkał w Polsce”. ■ Rozmowy p. Prunskiene z rządem szwedzkim dotyczyły głównie ochrony środowiska, wymiany gospodarczej i kulturalnej. W czasie konferencji w Ronneby na temat ochrony przyrody powołano wspólną organizację przedstawicieli krajów nadbałtyckich. Premier Szwecji zaznaczył, że zależy mu na udziale Litwy w tej organizacji. Jak wiadomo Litwa zbojkotowała tę konferencję, gdyż nie pozwolono jej wystąpić w charakterze niezależnego państwa, a tylko w zespole delegatów Związku Sowieckiego.

Norbert ŻABA

Sprzedam
z własnych zbiorów
oryginalny obraz (z ekspertyzą)
pędzla Januarego Suchodolskiego

ODSIECZ WIEDNIA
(koniec 18-go wieku)

M. DANCYGIER
6000 Frankfurt/Main
Kaiserstr. 61; Niemcy
tel. (49 69) 63 82 15 oraz 23 46 37

Listy do Redakcji

Drogi Panie Redaktorze!

W październikowej *Kulturze* (nr 10/517) p. Krzysztof Gawlikowski twierdzi, że kolejni ministrowie czy premierzy odwiedzający Polskę spotykali się z Lechem Wałęsą, gdyż „inaczej groziłaby im po prostu porażka wyborcza we własnym kraju” (podkreślenie moje).

Czy p. Gawlikowski istotnie wierzy, że czołowi politycy zagraniczni spotykali się z Wałęsą dla uniknięcia porażki wyborczej we Francji, w Anglii lub w Ameryce, a nie — powiedzmy — dla subtelnych dyskusji polityczno-intelektualnych z potencjalnym kandydatem na prezydenta? Czy może — cytując autora w innym miejscu tegoż artykułu — to pochopne twierdzenie jest jeszcze jednym z objawów potępianej przez niego naszej „narodowej tromtadracji nieodpowiedzialnych deklaracji”?

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Brisbane, 19 sierpnia 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jerzy Grot-Kwaśniewski w Kronice Australijskiej i Nowozelandzkiej (*Kultura* 9/516) napisał, że dotychczas tylko jeden poseł wywodzący się z polskiej grupy etnicznej został wybrany do parlamentu stanowego. Chodziło o posła z Nowej Południowej Walii.

Nie jest to zupełnie ścisłe. W Queensland posłanką z ramienia Partii Narodowej (farmerów) była przez dwie kadencje Polka (władająca poprawnie jęz. polskim). W drugiej kadencji była przez pewien czas ministrem Zdrowia. Obecnie jest również jeden poseł wywodzący się z polskiej grupy etnicznej. Reprezentuje on Partię Pracy. Nie zmienia to oczywiście w niczym głównej tezy notatki, że polska grupa etniczna jest słabo widoczna w australijskim życiu politycznym.

W nrze 10/517 *Kultury* ukazał się artykuł Jerzego Bonieckiego pt. „Dlaczego lubię Australijczyków”. Autor napisał, że w Australii nie można nikomu „załatwić” pracy przez protekcję. Jest to prawda. Natomiast nie zga-

dzam się, że jedyne co można zrobić to pomóc przy napisaniu życiorysu itp. Kiedy przyjechałem do Australii, znałem dobrze język angielski oraz zasady, jakie obowiązują w krajach demokratycznych przy ubieganiu się o pracę. Natomiast nie znałem nikogo z mego środowiska zawodowego. Napisałem koło stu podań o pracę do firm, które się ogłaszały w gazetach. Wszystkie odpowiedzi były jednakowej treści: moje kwalifikacje są za wysokie bądź, że przepraszają, ale nie powiodło mi się tym razem (to w przypadku, kiedy moje kwalifikacje nie były za wysokie). Moim problemem był mój wiek (około 40 lat), doktorat, stypendium ONZ i fakt, że pracowałem w swoim zawodzie w kilku krajach poza Australią. Czynniki te powodowały, że do niższych stanowisk byłem istotnie *overqualified*, a wyższych bali się mi oferować. Udało mi się uzyskać tzw. *interview* w trzech przypadkach. 1. Na jednym z uniwersytetów, kiedy przed oficjalną rozmową miałem możliwość porozmawiać z profesorem, który się zainteresował moją sprawą. 2. Kiedy poparł moje podanie Polak pracujący w instytucji, gdzie ubiegałem się o przyjęcie (człowiek ten zupełnie mnie nie znał, niemniej nie wahał się zaryzykować swojej reputacji). W trzecim wypadku bardzo znany profesor Uniwersytetu Queenslandzkiego po otrzymaniu listu, w którym prosiłem o pomoc przy szukaniu pracy odpisał mi, że nic mi nie może zaoferować na uniwersytecie, ale uważa za skandal, że człowiek z moimi kwalifikacjami nie może znaleźć odpowiedniego stanowiska i dlatego jeżeli się zgodzę, to on chętnie się podejmie pośrednictwa w znalezieniu mi pracy. Oczywiście przyjąłem jego ofertę z wdzięcznością, którą żywię do dziś. Słowa dotrzymał, w miesiąc po tym miałem *interview* w firmie inżynirycznej, gdzie dostałem pracę. Profesor ten na moją prośbę rozmawiał z innym polskim inżynierem, którego zatrudnił dorywczo przez parę lat dopóki tamten nie dostał przyzwoitego stanowiska (w innej instytucji). Do instytucji, w której pracuję obecnie, dostałem się dzięki dobremu słowu Polaka, który wcale nie zajmował tam wysokiego stanowiska, natomiast cieszył się bardzo dobrą opinią. Zastępca naczelnego dyrektora, który był przewodniczącym zespołu przeprowadzającego rozmowę ze mną, powiedział mi później: „Przyjąłem Cię, bo polecił Cię W.B. Wszyscy Polacy, którzy pracowali w komisji byli sumienni i bardzo dobrze wypełniali swoje obowiązki w czasie, kiedy mieliśmy duże trudności ze znalezieniem pracowników”.

Otóż to, wszystko zależy od tego kto popiera i w jakiej formie jest to robione. Przecież w życiorysie podaje się nazwiska tzw. „referentów”, czyli osób, którzy mogą coś powiedzieć o ubiegającym się o pracę. Podejrzewam, że Pan Jerzy polecił kogoś, kto na to nie zasługiwał i nie bardzo ma ochotę narażać na szwank swoją dobrą reputację. Jeżeli tak jest, bardzo dobrze go rozumiem. Ja starannie czytam życiorys przed podjęciem decyzji, czy pomóc czy nie. Nie jest to idealne, ale w ten sposób choć trochę jestem w stanie zorientować się, w jakich instytucjach w Polsce delikwent pracował. Oczywiście nie należy polecać nikogo, kto choć trochę nie jest związany z zawodem polecającego. W takim przypadku polecenie pachnie protekcją i jest to bardzo źle widziane.

Uwagi te podaję ku przestrodze rodaków, którzy myślą, że w krajach demokratycznych praca na nich czeka. Zdobyć pracę jest bardzo trudno, szczególnie jeśli ubiegający się o pracę nie ma miejscowych referencji. Na własnej skórze przekonałem się, że nazwiska światowej sławy Amerykanów a nawet Brytyjczyków nie robią wielkiego wrażenia, ponieważ nikomu nie chce się tego sprawdzać, bo to kłopot i koszt, a kandydatów na każde stanowisko jest kilku.

Jerzy Boniecki krytykuje również australijski system nauczania. Sprawę

tę walcuje się od dłuższego czasu w środkach masowego przekazu. Być może, że system ten istotnie nie jest najlepszy. Tyle tylko, że młodzi inżynierowie, z którymi ja się stykam, są przygotowani do podejmowania samodzielnych decyzji i mają spory zasób praktycznych wiadomości. Nie wspomina tu nawet o umiejętności programowania komputerów, co w epoce informatyki jest sprawą zasadniczą. Każdy z nich z reguły potrafi biele pisać programy co najmniej w dwóch językach (najczęściej Fortran i „C” lub Turbo-Pascal). Nasi często wyrażają się o ich wiedzy dość pogardliwie. Podejrzewam, że wynika to tylko z obawy przed przyznaniem się do własnych braków w wykształceniu. Osobiście wolę ich system nauczania od polskiego. Moje dzieci (obydwoje już na uniwersytetach), które zaczynały naukę w PRL też uważają australijski system za lepszy, z zastrzeżeniem, że tylko dla tych co chcą się uczyć. Tutaj duży nacisk kładzie się na samodzielne myślenie ucznia, a mniej na wtłaczanie wiadomości do głowy. Doprowadza to często do przesady, bo jak smarkacz nie chce się uczyć, to nikt go nie zmusza. W ten sposób spora część ludności popada we wtórny analfabetyzm, bo szkoła nie utrwaliła w nich podstawowych umiejętności jak czytanie, pisanie i liczenie.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Wojciech POPLAWSKI

Offenbach, 22.10.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając artykuł Renaty Gorczyńskiej pt. *Recesja, depresja (Kultura nr 10)* napotkałem zdanie „...w Stanach Zjednoczonych ukazuje się rocznie około 800 tysięcy tytułów”. Zastanawiająca to nieco liczba, bo jak bym dostępnym powszechnie danych nie przeliczał, nijak dojść do owych 800 tysięcy nie mogę. Ostatni rocznik *Encyclopedia Britannica* podaje, iż Stany Zjednoczone są piątym co do wielkości wydawcą światowym (po RFN, Wlk. Brytanii, ZSSR i Chinach): w r. 1989 ukazało się w USA 47.489 tytułów książkowych („z wyłączeniem publikacji rządowych, książek sprzedawanych wyłącznie w ramach subskrypcji, dysertacji i broszur”), 3.731 periodyków i 1.646 gazet, co w sumie daje 52.866 tytułów. Mnożąc to nawet przez dwa (aby włączyć owe publikacje wyłączone — przy założeniu, iż rzeczywistość ukazuje się ich 145 dziennie), dalecy jesteśmy od liczby podanej przez p. Gorczyńską — chyba że zaczniemy wliczać wszelkie druki reklamowe, rozkłady jazdy, książki telefoniczne, cenniki, katalogi firmowe i wystawowe, nuty, mapy, atlasy itp. O ogólnej liczbie egzemplarzy nie ma zaś co wspominać, bo przy milionowych nakładach rozmaitych czytadł można by zapewne doliczyć się 800 milionów, a nie tysięcy, skąd więc owa zagadkowa liczba?

Pozostaję z poważaniem

Grzegorz SOWULA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Izydor Jędrychowski, Kanada: — Pana artykułu „Opowieści biblijnych ciąg dalszy” nie zamieścimy. Wysyłanie tego rodzaju artykułu do *Kultury* jest chyba nieporozumieniem.

Dr Dariusz Kruze, Szwajcaria: — Listu pana nie zamieścimy, gdyż uważamy artykuł p. Kaczmarka za słuszny i obiektywny. Jest to opinia podzielana dosyć szeroko w kraju.

Jan Kowalski, Londyn: — Pana listu otwartego nie zamieścimy. W zasadzie nie zamieszczamy tekstów anonimowych, a poza tym Pana rozważania są i niecisłe, i bałamutne.

„*Odra*”, *Polska:* — Pana „Uwag o jednoczących się Niemcach” nie zamieścimy. Tekst jest anonimowy, a Pana rozważania co najmniej niecisłe.

J.S., Kraków: — Pana listu do Redakcji nie zamieścimy, gdyż jest on niestykany spóźniony. O napaściach na Józefa Mackiewicza pisaliśmy wielokrotnie, bardzo wyraźnie potępiając nieuzasadnioną nagonkę na niego, która opierała się jedynie na plotkach i poszlakach. Powracanie do tych spraw nie ma sensu, tym więcej, że Józef Mackiewicz jest dziś jednym z najpopularniejszych pisarzy polskich.

160

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1990

Spis autorów

ABRAMOW-NEWERLY Jarosław, ADAMCZYK Zdzisław Jerzy, AGOPSOWICZ Monika, AL-HARIZI Juda, (amp.). — BAKULA Bogusław, BASOW Dymitrij, BEREŚ Stanisław, BEREŚ Witold, BERLIŃCZYK, BERTRAND Aloysius, BESANÇON Alain, B.H., BIENIASZ Stanisław, BIEREZIN Jacek, BOCHENSKI Józef Maria, O.P., BONIECKI Jerzy, BRANDYS Marian, BRAUN Kazimierz, BRODA Marzena, BRŃSKI M., BRZEZIŃSKI Zbigniew, BUBNICKI Rafał, BULANDA Andrzej. — CHARŁAMP Witold, CHODAKOWSKI Jan, CHYB Manana, CHYLIŃSKA Kamila, CISŁO Maciej, CZABAŃSKI Krzysztof, CZECH Mirosław, CZEKAJEWSKI Jan. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARSKI Józef, DOBOSZ Andrzej, DOBROWOLSKA Małgorzata, DZIEWIĘCKA Małgorzata. — „ERRATA”. — FELDHUZEN Maciej, FLORCZAK Zbigniew, FRAJLICH Anna, FRANCZYK Jan L., FRIEDRICH Heinz, FRÓG Jan. — GARLIŃSKI Józef, GAWLIKOWSKI Krzysztof, GEREMEK Bronisław, GIEDROYC Jerzy, GŁOWACKI Janusz, GORCZYŃSKA Renata, GÓRNICKI Grzegorz, GRABKA Józef, GRABOWSKI Leon J., GRIGORIANC Siergiej, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUPIŃSKI Rafał, GRUSZCZYK Wiesław, GUMPER Piotr. — HALIKOWSKA Teresa, HARIASZ Krzysztof, HAUPT Zygmunt, HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, (de) HERNANDEZ-PALUCH Maria, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HURWIC Józef. — IWANIUK Wacław. — JAMER Czesław, JASTRUN Tomasz, JERZ Tomasz, JEŻEWSKI Krzysztof, JUREWICZ Aleksander. — KACHNIARZ Jakub, KACZMAREK Robert, KACZMARSKI Jacek, KASPRZYK Krzysz-

tof, KATZ HEWETSON Janina, KISZCZAK Czesław, KISZCZAK Maria Teresa, KIZNY Tomasz, KLEJNOWSKI Jarosław, KŁOCZOWSKI Paweł, KONTEK Tadeusz, KORZENIEWSKI Bohdan, KOSSOWSKA Stefania, KOWALCZYK Andrzej Stanisław, KOZŁOWSKI Maciej, KRAWIEC Jan, KRUCZEK Adam, KRZECZUNOWICZ Andrzej, KRZYŻANOWSKI Wojciech, KUŚMIEREK Józef, KUZIO Taras. — LARBAUD Valéry, LASKOWICZ Krystyna, LASOTA Irena, LENCZEWSKI Tomasz, LENDYEL Laszlo, LEOPOLITA, LEWANDOWSKI Józef, LEWANDOWSKI Roman, LIS Bogdan, LIZAKOWSKI Adam, LORYS J., L.S. — ŁĘGIEWSKI Zbigniew K., ŁUCZAK A. — MACHNIEWICZ Jacek K., MAGALA Sławomir, MAMOŃ Agata, MARCZEWSKI Jan, MARTINOWA Halina, MAURER Jadwiga, MEKARSKA-KOZŁOWSKA Barbara, MIANOWICZ Tomasz, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI J., MOKRY Włodzimierz, MOND Jerzy, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MORELEWSKI Jan F., MROŻEK Sławomir, MYŚLIWSKI Wiesław. — NASIELSKI Adam, NENEMAN Władysław, NĘDZYŃSKI Stefan, NIC Barbara, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKOŃ Barbara, ORŁOŚ Kazimierz, OSADCZUK Bohdan. — PACZOWSCY Maria i Bohdan, PALICKI Seweryn, PAWŁOWSKI Janusz, PEDZIWOŁ Aureliusz Marek, PIEKARSKA Teresa, PINIOR Józef, PO CZU I, POLCUL FOUNDATION, POLITECHNIKA BIAŁOSTOCKA, POMIAN Krzysztof, POPŁAWSKI Wojciech, POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI, POSPIESZALSKI Antoni, POWICHROWSKI Lech K., PRENDOWSKA Krystyna, PROKOP Jan, PRYZYSTAWA Jerzy. — RADRIZZANI René, REDAKCJA, REDAKCJA „KULTURY”, REXROTH Kenneth, ROGATKO Bogdan, ROMASZEWSKI Zbigniew, ROMER Andrzej T., RUMI Dżelaluddin, RUTKOWSKI Krzysztof, RZĄD RP NA UCHODŹSTWIE. — SCHWARZENBERG Karl Johann, SIEMION Piotr, SKALMOWSKI Wojciech, SMECZ, SOLIŃSKI Leszek, SOŁTAN Jerzy, SOSNOWSKI Leszek, SOUFFLET Gerard, SOWUŁA Grzegorz, SPINELLI Barbara, SPOŁECZNA SŁUŻBA UKRAIŃCÓW W KANADZIE, SPOLSKA Maria, SPOROŃ Henryk, STANKIEWICZ Artur, STANKIEWICZ Zygmunt, STANOSZ Barbara, STRZEMBOSZ Maciej, SUBOTOWICZ-ROMANOWA Galina, STYRNA-NAWROCKA Jadwiga, SZAJNERT Mariusz, SZARUGA Leszek, SZENGEŁAJA Irakli. — ŚCIGAŁA Andrzej. — TASSART Jean, „THE INDEPENDENT”, TU FU, TUSZYŃSKA Agata. — UNGER Leopold. — VINCENZ Andrzej, VUJICIC Petar. — WANG CZIEN, WASIAK TAYLOR Regina, WIERGANOWSKA Wira, WISZNIEWSKI Andrzej,

WOLICKI Krzysztof, WOŁĘGA-WRZOSEK Elżbieta, WOROZYLSKI Wiktor, WYSZOMIRSKI Michał, WYRWA Tadeusz. — ZAMORSKI Kazimierz, ZBYSZEWSKI Waław, ZENOWICZ, ZIELIŃSKI Marek, ZIEMIĘCKA Zofia, ZIETKIEWICZ Grzegorz, ZJAZD ZWIĄZKU UKRAIŃCÓW W POLSCE, ZRALEK Peter. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

ABRAMOW-NEWERLY Jarosław: *Gdyby Bata kupił Stalina?* (3/510).

(amp.): *Kronika austriacka* (5/512).

BERLIŃCZYK: *Narodziny nowych Niemiec* (11/518).

— *U progu Czwartej Rzeszy* (10/517).

B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).

BIENIASZ Stanisław: *Górny Śląsk* (4/511).

— *Niebezpieczny zakręt w stosunkach polsko-niemieckich* (12/519).

— *O autonomię dla Górnego Śląska* (11/518).

CHYLŃSKA Kamila: *Zjednoczenie widziane od wewnątrz* (6/513).

DZIEWIĘCKA Małgorzata: *I co dalej?* (10/517).

FELDHUZEN Maciej: *Ameryka Łacińska w ogniu* (3/510).

GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (10/517).

GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Chińska mozaika etniczna* (9/516).

— *Poszukiwanie nowego miejsca Polski w świecie* (10/517).

GEREMEK Bronisław: *Odpowiedź na list J. Giedroycia do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego* (4/511).

GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (9/516).

KACZMAREK Robert: *Międzynarodowe czynniki rozwoju gospodarczego* (12/519).

— *Nostalgia i skuteczność polityczna* (5/512).

KONTEK Tadeusz: *Pytania pod adresem pana Simonsa* (5/512).

KRZECZUNOWICZ Andrzej: *Czy nowe Święte Przymierze?* (3/510).

— *Konflikt izraelsko-palestyński* (1/508-2/509).

— *Konflikt konstytucyjny a przyszłość Quebecu* (9/516).

— *Trzecia droga — jej zalety i wady* (5/512).

LEOPOLITA: *Nazwać po imieniu* (3/510).

MONDRY Janusz: *Budowanie nowej Europy* (9/516).

— *Japońska wizja lat 90-tych* (12/519).

— *Przyszłość stosunków japońsko-sowieckich* (4/511).

OD REDAKCJI: *List Jerzego Giedroycia do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego w sprawie niepodległości Litwy* (4/511).

PAWŁOWSKI Janusz: *Pałapka geopolityki* (5/512).

POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI (PPP): *W sprawie wyborów Prezydenta i Parlamentu Rzeczypospolitej* (11/518).

POWICHROWSKI Lech K.: *List do Redakcji w sprawie utworzenia nowego Instytutu Europy Wschodniej* (11/518).

PROKOP Jan: *Czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze* (7/514-8/515).

REDAKCJA „KULTURY”: *Prezydent RP* (11/518).

Stanowisko Rządu RP na Uchodźstwie w sprawie polskich ziem wschodnich (7/514-8/515).

SZAJNERT Mariusz: *Kronika amerykańska* (1/508-2/509, 3/510, 6/513, 9/516, 10/517, 11/518).

TUSZYŃSKA Agata: *Pamięć na talony* (3/510).

Uchwała Rady Naczelnej NiD (6/513).

UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli:*

— *Ale kino...* (5/512).

— *Narzeczona Frankensteinia czyli cztery noce Szeherazydy* (10/517).

— *Pieśń o Nibelungach, ale bez pierścienia* (4/511).

— *Ziemia niczyja?* (7/514-8/515).

Wydarzenia miesiąca (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).

Z ostatniej chwili (9/516).

ZIETKIEWICZ Grzegorz: *Kronika niemiecka* (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515).

ZRALEK Peter: *Widziane w Tiranie* (9/516).

ŻABA Norbert: *Kronika szwedzka* (6/513, 12/519).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Wspólnota kulturowa a nacjonalizmy* (4/511).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (4/511, 7/514-8/515, 12/519).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BRANDYS Marian: *Kanar* (11/518).

GŁOWACKI Janusz: *Kwadratura koła* (6/513).

- HAUPT Zygmunt: *Cyrk* (6/513).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dżuma w Neapolu* (5/512).
 — *Kiel Barabasha* (10/517).
 JUREWICZ Aleksander: *Lida* (1/508-2/509).
 KORZENIEWSKI Bohdan: *Grzech* (1/508-2/509).
 MROŻEK Sławomir: *Flaga* (4/511).
 — *Nieostrożność* (1/508-2/509).
 ORŁOŚ Kazimierz: *Martwe jezioro* (7/514-8/515).
 ZENOWICZ: *Wrażenia naukowca z Moskwy* (5/512).

Utwory poetyckie

- BIEREZIN Jacek: *Język gestów* (7/514-8/515).
 BRODA Marzena: *Grudniowe noce* (11/518).
 — *Max Ernst: Oczy ciszy* (11/518).
 CISŁO Maciej: *Ale mówmy o czym innym* (7/514-8/515).
 — *Kurz osiada* (7/514-8/515).
 — *Zło tkwi w istnieniu* (7/514-8/515).
 IWANIUK Waław: *Każdy z nas nosi w sobie załączki wielkości* (10/517).
 KACZMARSKI Jacek: *Lalka czyli polski pozytywizm* (10/517).
 LIZAKOWSKI Adam: *Opis kosmosu dzieciństwa* (11/518).
 — *Pieszycze-Miasto* (3/510).
 MIŁOSZ Czesław: *Powrót* (3/510).
 — *T'ang* (3/510).
 — *Przekłady z angielskiego* (1/508-2/509):
 PO CZU I: *Nocując u starca nad strumieniem*. — *Po zebraniu jesiennych podatków*. — *Szaleńczo śpiewając w górach*. — *Wyruszając wcześniej rano*.
 TŪ FU: *Goście*. — *Świt zimowy*. — *Zachód słońca*.
 WANG CZIEN: *Południe*.
 — *Nowe przekłady* (I) (12/519):
 AL-HARIZI Juda: *Błyskawica*. — *Lutnia*. — *Słońce* (przekład z języka hebrajskiego).
 BERTRAND Aloysius: *Murarz* (przekład z francuskiego).
 LARBAUD Valéry: *Obrazy* (przekład z francuskiego).
 REXROTH Kenneth: *Serce Heraklesa*. — *Sygnatura wszystkich rzeczy* (przekład z angielskiego).
 RUMI Dżelaluddin: *...Powoli, powoli, odłączaj się* (przekład z angielskiego).
 STRZEMBOSZ Maciej: *Z Symonidesa* (5/512).

Sprawy krajowe

- BIENIASZ Stanisław: *Regionalizacja i federalizacja* (10/517).
 CHARŁAMP Witold: *Dziennik zewnętrzny* (3/510, 4/511).
 GRUPIŃSKI Rafał: *Starość Wallenroda* (7/514-8/515).
 HARIASZ Krzysztof: *Ignorancja, arogancja, cynizm* (10/517).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (11/518).
Humor krajowy (10/517).
 KACZMAREK Robert: *Pierwszy stracony rok* (9/516).
 MAGALA Sławomir: *Niestety nie nowe* (5/512).
 MARCZEWSKI Jan: *Program gospodarczy rządu Mazowieckiego* (1/508-2/509).
 MONDRY Janusz: *Fiasko Daihatsu w Polsce* (7/514-8/515).
 OKOŃ Barbara: *I Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek* (1/508-2/509).
Oświadczenie Wydawnictwa PoMost (1/508-2/509).
 POMIAN Krzysztof: *Książka w niebezpieczeństwie* (3/510).
 — *Wstęp do artykułu W.A. Zbyszewskiego „Zmartwienia pesymisty”* (9/516).
 POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI (PPP): *W sprawie nomenklatury* (1/508-2/509).
 — *W sprawie polityki gospodarczej rządu* (5/512).
 — *W sprawie wyborów do samorządu terytorialnego* (4/511).
 PROKOP Jan: *W rok po Magdalence* (4/511).
 ROMASZEWSKI Zbigniew: *Trudne drogi demokracji* (9/516).
 SMECZ: *Z ukosa* (6/513, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).
 SOSNOWSKI Leszek: *Nowy ustrój: fiskalizm* (7/514-8/515).
 STANKIEWICZ Artur: *Brojlernia* (1/508-2/509).
 WOLICKI Krzysztof: *List od kiepskiego wyborcy* (11/518).
 — *Do przodu i pod górę* (12/519).
 — *W spadku po imperium zła* (9/516).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Zmartwienia pesymisty* (9/516).
 ZIEMIĘCKA Zofia: *Czytając prasę* (10/517, 11/518, 12/519).
 Z ostatniej chwili: *Japońska pomoc gospodarcza dla Polski* (3/510).
- Sąsiedzi
- (amp): *Jesień praska* (3/510).
Apel Towarzystwa Polsko-Litewskiego w W. Brytanii (7/514-8/515).
 BERLIŃCZYK: *List z Berlina* (9/516).
 CZECH Mirosław: *Zmiany wśród Ukraińców w Polsce* (6/513).

- DARSKI Józef: *Kronika litewska, białoruska i ukraińska* (5/512, 6/513, 10/517, 11/518, 12/519).
- GEDROYC Jerzy: *Apel do uczestników konferencji polsko-ukraińskiej* (6/513).
- KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).
- MAMOŃ Agata: *...Obowiązani są opuścić teren* (7/514-8/515).
- MONDRY Janusz: *Na Zaolziu po 22 latach* (6/513).
- OSADCZUK Bohdan: *Cóż dalej, Panowie Polacy?* (9/516).
— *Podróż do Kijowa* (11/518).
— *Zbliżenie polsko-ukraińskie* (6/513).
- PACZOWSCY Bohdan i Maria (tłumacze) ob. Barbara Spinelli.
- ROMER Andrzej T.: *Lithuania revisited* (4/511).
Rozmowa z Litwinem (9/516).
- SPINELLI Barbara: *Los litewskiej demokracji* (5/512), z włoskiego przełożyli Bohdan i Maria Paczowscy.
Uchwała Senatu RP: Do Narodu Białoruskiego (9/516).
Uchwała Senatu RP: Do Narodu Ukraińskiego (9/516).
Ukraińska Fundacja w Krakowie (7/514-8/515).
- ZIĘTKIEWICZ Grzegorz: *Kronika niemiecka* (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515).
- ZJAZD ZWIĄZKU UKRAIŃCÓW W POLSCE: *Do społeczeństwa polskiego* (6/513).
- ŻAGIELL E.: *Kronika litewska* (1/508-2/509).

O religii bez namaszczenia

- CZEKAJEWSKI Jan: *Nauczanie religii w szkołach* (11/518).
- FELDHUZEN Maciej: *Wybuch protestantyzmu w Brazylii* (9/516).
Kościół i związki wyznaniowe w Polsce (11/518).
- POSPIESZAŁSKI Antoni: *Jezuici* (12/519).
— *Katolicy, prawosławni, unicy i inni* (10/517).
— *Opus Dei* (6/513).
— *Refleksje na czasie* (1/508-2/509).
- ZIELIŃSKI Marek: *Praga warta mszy* (7/514-8/515).
- MORAWSKI Dominik: *Biskupi ze Wschodniej Europy na Synodzie* (12/519).

Wywiady „Kultury”

- AGOPSOWICZ Monika: *Początek końca pieriestrojki*. Rozmowa z Tarasem Kuzio (7/514-8/515).

- AGOPSOWICZ Monika i CHYB Manana: *Wielonarodowość — słabość czy bogactwo*. Rozmowa z Irakli Szengełaja (5/512).
- BUBNICKI Rafał: *Dyktatorzy nie lubią fotoreporterów*. Rozmowa z T. Kizny z Agencji „Dementi” (1/508-2/509).
- DOBROWOLSKA Małgorzata: *Od demokracji do racji stanu*. Rozmowa z prof. Andrzejem Wiszniewskim (7/514-8/515).
- HERNANDEZ-PALUCH de Maria: *Polska w UNESCO*. Rozmowa z delegatem do UNESCO min. Wł. Nenemanem (12/519).
- KACZMAREK Robert: *Dzieje wspólnych interesów*. Rozmowa z Gerardem Soufflet (1/508-2/509).
— *Za czy przeciw energii nuklearnej*. Rozmowa z Jean Tasart (7/514-8/515).
- KOZŁOWSKI Maciej: *Wielobarwny bukiet kwiatów*. Rozmowa z Włodzimierzem Mokrym (3/510).
- LEWANDOWSKI Roman: *Życie i obowiązki na obczyźnie*. Rozmowa ze Stefanem Nędzyńskim (7/514-8/515).
- PEDZIWIOL Aureliusz Marek: *Jakaś Afryka proszę Pana!* Rozmowa z Józefem Kuśmierkiem (3/510).
— *Konsultanci*. Rozmowa z ks. Karl Johannem von Schwarzenbergiem (4/511).
— *O ukrytych milionach, trzeciej drodze, nadziei i entuzjazmie*. Rozmowa z Józefem Piniorem (5/512).
- ZIELIŃSKI Marek: *Przewrót od góry*. Rozmowa z Siergiejem Grigoriancem (12/519).

Polemiki — Wolna Trybuna

- ABRAMOW-NEWERLY Jarosław, GÓRNICKI Grzegorz, ORŁOŚ Kazimierz, ZAMORSKI Kazimierz: *Czy Wolna Europa jest potrzebna?* (12/519).
- BEREŚ Stanisław: *Odpowiadam na zarzuty* (5/512).
- BESANÇON Alain: *Adamowi Michnikowi w odpowiedzi* (6/513).
- CZABAŃSKI Krzysztof: *A po roku zabłyśnie słońce* (1/508-2/509).
- KLEJNOCKI Jarosław: *„Trzy oddechy literatury emigracyjnej”* — *Krytyka* (5/512).
- KRAWIEC Jan: *Polemika z Tadeuszem Kontkiem* (7/514-8/515).
- LENDYEL Laszlo: *Nowy kształt Europy: powrót do Wersalu* (10/517).
- MARTINOWA Halina: *Z każdym będziemy rozmawiać, ale nie z Jaruzelskim* (7/514-8/515).
- RADRIZZANI René: *Polemika z M.E. Żółtowską* (7/514-8/515), przekład z francuskiego.

- SPOROŃ Henryk: *Jeszcze o Górnym Śląsku* (11/518).
 STANOSZ Barbara: *Jeśli nie zdarzy się cud...* (11/518).
 SZARUGA Leszek: *Co zrobić z Wolną Europą?* (9/516).

Sprawy i troski

- BONIECKI Jerzy: *Dlaczego lubię Australijczyków* (10/517).
Imprezy Klubu im. J. Mieroszewskiego (12/519).
 JERZ Tomasz: *Pęknięty mur* (1/508-2/509).
 LASKOWICZ Krystyna: *Polskie archiwalia w Instytucie Hoovera* (6/513).
 LASOTA Irena: *Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE) w Nowym Jorku* (4/511).
Oświadczenie Jana Chodakowskiego (10/517).
Pieniądze społeczne tematem tabu (9/516).
Polski dom (12/519).
Rozliczenia (7/514-8/515).
 SIEMION Piotr: *Ameryko, pomóż, bo ciężko* (11/518).
 SIKORA Wojciech: *Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1987-89* (5/512).
 SOWULA Grzegorz: *Przypisanie do ziemi* (6/513).
Sprawozdanie Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą (7/514-8/515).
 STYRNA-NAWROCKA Jadwiga: *Odchodzą w przeszłość* (9/516).
 SZARUGA Leszek: *Życie w luce* (6/513).
The German Marshall Fund (12/519).
 TUSZYŃSKA Agata: *Nie jestem rasistką...* (6/513).

Ci, co odeszli

- KATZ HEWETSON Janina: *Kornel Filipowicz — pożegnanie* (5/512).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Eileen Frances Garlińska* (6/513).
 ROGATKO Bogdan: *Andrzej Banach — właściciel realności* (5/512).

Kronika kulturalna

- BAKUŁA Bogusław: *Poezja jako przetrwanie* (11/418).
 BEREŚ Stanisław: *Trzy oddechy literatury emigracyjnej* (1/508-2/509).
 BEREŚ Witold: *Drugi obieg: historia, sława, zmierzch* (11/518).

- B.H.: *Ukraińskie instytuty naukowe w Kanadzie* (5/512).
 BOCHENSKI J.M., OP: *Duchowa sytuacja czasu* (3/510).
 BULANDA Andrzej i SOŁTAN Jerzy: *Rozmowy o architekturze* (6/513).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Myśli o Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie* (4/511).
Dni literatury polskiej we Francji (12/519).
 DOBOSZ Andrzej: *O czytaniu listów* (5/512).
 — *O podróżach* (9/516).
 FLORCZAK Zbigniew: *Osmoza* (9/516).
 FRAJLICH Anna: *Kształt bukszpanu ożeniony czy zamężny?* (1/508-2/509).
 FRIEDRICH Heinz: *List do red. J. Giedroycia* (3/510), przekład z niemieckiego.
Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim (11/518).
 GORCZYŃSKA Renata: *Recesja, depresja* (10/517).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Caravaggio: światło i cień* (6/513).
 KATZ HEWETSON Janina: *Piotr Rawicz, pisarz zapomniany* (3/510).
 KOSSOWSKA Stefania: *Stulecie Zofii Kozarynowej* (11/518).
 MOND Jerzy: *Stypendia im. Stanisława Lama* (1/508-2/509).
 MYŚLIWSKI Wiesław (opr. Krystyna PRENDOWSKA): *Twożenie nie jest aktem stadnym...* (12/519).
Nagroda dla tłumaczy im. Konstantego A. Jeleńskiego (1/508-2/509, 7/514-8/515).
Nagroda Fundacji Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich (3/510).
Nagroda im. Adolfa Bocheńskiego (3/510).
Nagroda im. Jana Strzeleckiego (3/510).
Nagroda im. Ksawerego Pruszyńskiego przyznana przez PEN-CLUB (3/510).
Nagroda PEN-CLUBU (3/510).
Nagroda PULS-u (3/510).
Nagroda Towarzystwa Naukowego KUL-u (3/510).
Nagrody (12/519).
Nagrody Fundacji Jurzykowskich za rok 1989 (3/510).
Nagrody „Kultury” za rok 1989: Michał HELLER — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Wojciech KAPIŃSKI — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza (1/508-2/509).
Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy (3/510).
Nagrody Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Viareggio (3/510).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Laudatio z okazji nagrody Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych przyznanej redaktorowi „Kultury”* (3/510).

- RUTKOWSKI Krzysztof: *Co to jest Artest?* (7/514-8/515).
 SKALMOWSKI Wojciech: *Mickiewiczowski „wskrzesiciel narodu”* (1/508-2/509).
 SZARUGA Leszek: *Martwica* (5/512).
 WYSZOMIRSKI Michał: *Armstrong z Krakowskiego Przedmieścia* (4/511).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BIENIASZ Stanisław: *Ogromna strata* (5/512).
 BRONSKI M.: *Mickiewicziana z Bitburga* (10/517).
 DOBOSZ Andrzej: *O bibliografii* (10/517).
 — *O kąpielach w Radzyminie* (11/518).
 GORCZYŃSKA Renata: *Archipelag New York* (IV) (3/510).
 — *Berberova — późne kwitnienie* (1/508-2/509).
 — *Dwie antologie* (12/519).
 — *Flannery O'Connor — sztuka deformacji* (4/511).
 — *Nelson Algren bard slumsów Chicago* (7/514-8/515).
 — *Rozmowa mistrza Samuela ze śmiercią* (6/513).
 GRABOWSKI Leon J.: *Polacy w Australii* (11/518).
 HALIKOWSKA Teresa: *Tłumaczyć siebie: dwa języki, dwa życia* (7/514-8/515).
 HELLER Michał: *„Lodolamacz” a historia* (1/508-2/509).
 HEYDENKORN Benedykt: *Ameryka kanadyjska* (3/510).
 — *Polacy w Brytyjskiej Kolumbii* (5/512).
 Instytut Literacki w Kraju (5/512).
 KOWALCZYK Andrzej Stanisław: *Rok Miłosza* (12/519).
 LEWANDOWSKI Józef: *Między Sanem a Zbruczem* (12/519).
 — *Recenzja bez adresata* (5/512).
 L.S.: *Doroste dzieci uciekinierów niemieckich* (12/519).
 — *Niemiecki katalog polskiej prasy niezależnej* (12/519).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).
 ROGATKO Bogdan: *U kresu* (4/511).
 RUTKOWSKI Krzysztof: *Księga Powtórzonego Przejścia* (11/518).
 — *Zarys historii wspólnot europejskich* (9/516).
 SOWULA Grzegorz: *Bigos bez kapusty* (11/518).
 ŚWIDERSKA Hanna: *Polska społeczność w Wielkiej Brytanii* (1/508-2/509).
 WASIAK TAYLOR Regina: *Cud nad Tamizą* (5/512).
 ZIELIŃSKI Marek: *Pomysł na pismo* (9/516).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- PO CZU I: *Wiersze* (1/508-2/509) w przekładzie Czesława Miłosza.
 REXROTH Kenneth: *Wiersze* (12/519) w przekładzie Czesława Miłosza.
 RUMI Dżelaluddin: *...Powoli, powoli, odłączaj się* (12/519) przekład Czesława Miłosza.
 TU FU: *Wiersze* (1/508-2/509) w przekładzie Czesława Miłosza.
 WANG CZIEN: *Południe* (1/508-2/509) w przekładzie Czesława Miłosza.

Z języka francuskiego

- BERTRAND Aloysius: *Murarz* (12/519) w przekładzie Czesława Miłosza.
 LARBAUD Valéry: *Obrazy* (12/519) w przekładzie Czesława Miłosza.

Z języka hebrajskiego

- AL-HARIZI Juda: *Wiersze* (12/519) w przekładzie Czesława Miłosza.

Z języka niemieckiego

- FRIEDRICH Heinz: *List do redaktora Giedroycia* (3/510).

Z języka włoskiego

- SPINELLI Barbara: *Los litewskiej demokracji* (5/512) przekład Maria i Bohdan Paczowscy.

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1990 (12/519).

Listy do Redakcji

ADAMCZYK Zdzisław J. (4/511). BEREŚ Stanisław (3/510). BONIECKI Jerzy (4/511). BRAUN Kazimierz (3/510). GRABKA Józef (9/516). GRUSZCZYK Wiesław (6/513). GUMPER Piotr (7/514-8/515). HELLER Michał (Adam Kruczek) (10/517). HURWIC Józef (3/510). JAMER Czesław (10/517). JASTRUN Tomasz (Witold Charlamp) (5/512). JEZEWSKI Krzysztof (9/516). KACHNIARZ Jakub (11/518). KASPRZYK Krzysztof (7/514-8/515). KISZCZAK Czesław (6/513). KISZCZAK Maria Teresa (4/511). KRZYŻANOWSKI Wojciech (10/517). LASKOWICZ Krystyna (5/512). LENCZEWSKI Tomasz (5/512). LEOPOLITA (3/510). LORYS J. (10/517). ŁĘGIEWSKI Zbigniew K. dr (11/518). ŁUCZAK A. (1/508-2/509). MACHNIEWICZ Jacek K. (1/508-2/509). MAURER Jadwiga (3/510). MEKARSKA-KOZŁOWSKA Barbara (6/513). MIANOWICZ Tomasz (3/510, 9/516, 11/518). MIRSKI J. (1/508-2/509). MORELEWSKI Jan F. (6/513). NASIELSKI Adam (12/519). NIC Barbara (4/511). PALICKI Seweryn (7/514-8/515). POPŁAWSKI Wojciech (1/508-2/509, 12/519). PROKOP Jan (3/510). PRZYSTAWA Jerzy (5/512, 7/514-8/515). SOLIŃSKI Leszek (3/510). SOŁTAN Jerzy (9/516). SOWULA Grzegorz (12/519). SPOLSKA Maria i WIERGANOWSKA Wira (4/511). STANKIEWICZ Zygmunt (7/514-8/515). SZEPTYCKI Jerzy (9/516). ŚCIGAŁA Andrzej (7/514-8/515). VINCENZ Andrzej (1/508-2/509). VUJICIC Petar (9/516). WOŁĘGA WRZOSEK Elżbieta (4/511). WOROSZYLSKI Wiktor (1/508-2/509). WYRWA Tadeusz (9/516).

Odpowiedzi Redakcji (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 7/514-8/515, 10/517, 12/519).

Różne

BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Sprostowanie* (3/510).
FRANCZYK Jan L. i FRÓG Jan: *Sprostowanie w sprawie Społecznego Komitetu Pomocy Litwie* (11/518).
KŁOCZOWSKI Paweł: *Czy „Polityka” przeprosi* (4/511).

Komunikat Centrum Kultury i Informacji Litwy (11/518).
Komunikat Fundacji im. Kościelskich w Genewie (4/511).
Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim (11/518).
Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (9/516).
Komunikat nagrody dla tłumaczy im. Konstantego A. Jeleńskiego (9/516).
Od Redakcji (3/510, 6/513, 12/519).
POL-CUL FOUNDATION: *Komunikat* (4/511, 9/516).
POLITECHNIKA BIAŁOSTOCKA: *Komunikat* (4/511).
REDAKCJA: *Pro domo sua* (4/511).
REDAKCJA „KULTURY”: *Do prenumeratorów* (10/517).
Sprostowanie Redakcji (3/510).
Tydzień kultury chrześcijańskiej w Paryżu (11/518).
Wpłaty na Fundusz „Kultura” (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517, 11/518, 12/519).
Wpłaty na Internet Liceum Ukraińskiego w Legnicy (3/510, 5/512, 7/514-8/515, 9/516, 11/518).
Wpłaty różne (1/508-2/509, 3/510, 4/511, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517).
WYDAWNICTWO „ERRATA”, SZCZECIN: *Oświadczenie* (1/508-2/509).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury”
w roku 1990

Tom 456 — Zbigniew Brzeziński: *Wielkie bankructwo. Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku*. Str. 276.
Tom 457 — *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939. Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciala*. Str. 448.
Tom 458 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 91-szy). Str. 240.
Tom 459 — Bernard Nowak: *Cztery dni Łazarza*. Str. 142.
Tom 460 — Zbigniew Herbert: *Elegia na odejście*. Str. 48.
Tom 461 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 92-gi). Str. 240.
Tom 462 — Czesław Miłosz: *Rok myśliwego*. Str. 282.
Tom 463 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 93-ci). Str. 240.
Tom 464 — Agata Tuszyńska: *Rosjanie w Warszawie*. Str. 122.
Tom 465 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 94-ty). Str. 240.

Dla orientacji czytelników podajemy spis zawartości Zeszytów Historycznych wydanych w 1990 roku.

Zeszyt 91-szy — Jacek Trznadel: *Stan wojenny (czas generała)*; Bolesław Druker: *Dwie rewolucje*; Jan Ciechanowski: *Przystąpienie Anglii do wojny*; Henryk Godulski: *Na Zaolziu (1 maja 1945 - marzec 1947)*; Agata Tuszyńska: *Modlitewnik „na polskom jazykie”*; Andrzej Suchcitz: *Sprawa nadania gen. Komorowskiemu Krzyża Komandorskiego orderu Virtuti Militari*; Józef Kuropieska: *Jak kandydowałem na senatora*; Katsuyoshi Watanabe: *Notatka z rozmów z płk. dypl. Antonim Sanojcą, szefem I Oddziału KG AK*; Michał Komar, Krzysztof Lang: *Myśmy już o tym mówili, proszę pana (wywiad z płk. Antonim Skulbaszewskim)*; *Jak Stalin rozpełtał wojnę domową w Polsce w 1944 r.*; *Obóz koncentracyjny w Łambinowicach 1945-1946*; Piotr Wandycz: *In memoriam*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Rafał Bubnicki: *Duch Orwella*; Jerzy Korczak: *W kręgu legendy Rydza-Śmigłego*; Tadeusz Wyrwa: *Francuska misja wojskowa w Polsce w latach 1919-1932*; Zb. Brzeziński: *O wizycie w Moskwie i Katyniu*; Antoni Skarbek: *Mój udział w wypadkach majowych 1926 roku*; Nina Kozłowska: *Zakończenie batalii Aleksandra Tiplta o honor żołnierzy polskich spod Monte Cassino*.

Zeszyt 92-gi — Andrzej Friszke: *Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942*; Leszek Brzoza: *Niedoszła konferencja dyplomatów polskich w 1953 r.*; Karolina Lanckorońska: *O powstaniu i organizacji studiów wyższych dla żołnierzy Drugiego Korpusu*; Krystyna Jaworska: *Ośrodki akademickie Drugiego Korpusu na terenie Włoch*; Piotr Wandycz: *Wspomnienie o Henryku Wereszyckim*; Jacek Kubiak, Iwona Kubiak-Burszta: *De Gaulle, Polska i dyplomacja epoki Października (rozmowa z ambasadorem St. Gajewskim)*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. I)*; Konstanty St. Kamiński: *Polacy w Szwajcarii (1832-1863)*; Bogdan Stachewicz: *O przygotowaniu wojny raz jeszcze*; Dr Marian Woźniak: *W odpowiedzi na „Konspirację poznańską”*; Jerzy Korczak: *Odpowiadam dr. M. Woźniakowi*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Janusz Rakowski: *E. Kwiatkowski — OZN — Rydz-Śmigły*; Maksym Boyko: *Ukraińskie wołyniana na emigracji*.

Zeszyt 93-ci — Jerzy Polaczek: *Losy patrolu kpt. „Wani”*; W. Dworzyński: *Sprawa „prezydentury”*; Tadeusz Wyrwa: *Likwidacja ambasady RP przy Watykanie w latach 1958 i 1972*;

Kajetan Bieniecki: *Frantic*; Jan Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Tadeuszem Pełczyńskim*; Andrzej Zahorski: *Tadeusz Łepkowski (21 I 1927 — 16 XII 1989)*; Z.S. Siemaszko: *Ks. prałat Stanisław Belch*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. II)*; Tomasz Leniczewski: *Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza „Radostawa” z 8 września 1945*; *Polska w końcu 1945 r. w ocenie podziemia niepodległościowego*; *UB a PSL po ucieczce Mikołajczyka — listopad 1947*; Benedykt Heydenkorn: *Etapy likwidacji ukraińskiej autonomii*; Z.S. Siemaszko: *Wilno 1939-41*; Jerzy Krzyżanowski: *Drugi brzeg Oku*; Jan Nowak: *Rozmowa z Władymirem Horbowym*; Andrzej Kempfi: *Śladami Rejtana*; Józef Kowalski: *Drobny przyczynek do polskiego antysemityzmu*.

Zeszyt 94-ty — Adam Uziębło: *Desowietyzacja i resowietyzacja Ludowego Wojska Polskiego po przełomie październikowym*; Janusz Kurtyka: *Na szlaku AK (NIE, DZS, WiN)*; Jan Ciechanowski: *Spór o naczelne dowództwo pomiędzy gen. W. Andersem i gen. T. Borem-Komorowskim*; Agata Tuszyńska: *Trzy pomniki*; Włodzimierz Sznarbachowski: *Bolesław Piasecki: od skrajnej antysemickości do projektów współpracy*; Ks. Stanisław Ryżko: *Kronika parafii Łabiszyn*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. III)*; *Dziennik walk powstańczych Oddziału „A” (Kedyw-Kolegium AK)*; Tomasz Mianowicz: *„Polskie paradoksy” z perspektywy historyka*; *Dokument o zależności PRL od ZSSR w sierpniu 1945 r.*

Numery *Kultury* marcowy (3/510), wrześniowy (9/516) i grudniowy (12/519) mają po 176 stron.

KSIĄŻKI

Andrzej Stanisław Kowalczyk:	<i>Rok Miłosza</i>	120
Renata Gorczyńska:	<i>Dwie antologie</i>	123
Józef Lewandowski:	<i>Między Sanem a Zbruczem</i>	128
L.S.:	<i>Dorosłe dzieła uciekinierów niemieckich</i>	134
L.S.:	<i>Niemiecki katalog polskiej prasy niezależnej</i>	136
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	137

WOLNA TRYBUNA

Jarosław Abramow-Newerly, Grzegorz Górnicki, Kazimierz Orłoś, Kazimierz Zamorski:	<i>Czy Wolna Europa jest potrzebna?</i> ...	141
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki kanadyjska i szwedzka</i>	147
A. Nasielski, W. Poptawski, G. Sowula:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159
—	<i>Indeks Autorów i tematów „Kultury” za rok 1990</i>	160

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France
N° d'imprimeur 3462-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Prenumerata		
	Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zh. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególnie dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 465 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY CZWARTY

zawiera opracowania: Adam Uziębło: *Desowietyzacja i resowietyzacja Ludowego Wojska Polskiego po przelomie październikowym*; Janusz Kurtyka: *Na szlaku AK (NIE, DZS, WiN)*; Jan Ciechanowski: *Spór o naczelne dowództwo pomiędzy gen. W. Andersem i gen. T. Borem-Komorowskim*; Agata Tuszyńska: *Trzy pomniki*; Włodzimierz Sznarbachowski: *Bolesław Piasecki: od skrajnej antyniemieckości do projektów współpracy*; Ks. Stanisław Ryżko: *Kronika parafii Łahiszyn*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. III)*; *Dziennik walk powstańczych Oddziału „A” (Kedyw-Kolegium AK)*; Tomasz Mianowicz: *„Polskie paradoksy” z perspektywy historyka; Dokument o zaleźności PRL od ZSSR w sierpniu 1945 r. oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 47 F